ZNAK

MIESIĘCZNIK

STEFAN KARD. WYSZYŃSKI,
ŚW. AUGUSTYN, NORWID:
MYŚLI O PRACY

J. KOKOT, W. AULEYTNER,
KS. J. MAJKA, S. WILKANOWICZ i in.:
WYDAJNOŚĆ PRACY W POLSCE – TECHNOKRACJA I SPRAWY ROBOTNICZE – DOKĄD ZMIERZA KAPITALIZM – WSPÓŁPRACA MIĘDZYNARODOWA

NA ŚWIĘTA JÓZEFA ROBOTNIKA I NMP POŚREDNICZKI WSZYSTKICH ŁASK

O HEMINGWAYU – CO TO JEST STRESS – POLEMIKA Z RUSSELLEM

KRAKÓW

ROK X MAJ (5) 1958

47

REDAGUJE ZESPÓŁ

Hanna Malewska, Maria Morstin-Górska, Stefan Swieżawski, Stanisław Stomma, Jerzy Turowicz, Stefan Wilkanowicz, Jacek Woźniakowski, Jerzy Zawieyski.

Redaktor Naczelny: **Jacek Woźniakowski**

Sekretarz Redakcji: **Stefan Wilkanowicz**

Adres redakcji: Kraków, Sławkowska 32, I p. tel. 556-21

Redakcja przyjmuje: we wtorki i piątki, godz. 11—14.

Adres administracji: Kraków, Wiślna 12, I p. tel. 213-72.

Administracja przyjmuje codzień, od godz. 9—13.

PRENUMERATA

	w kraju	zagranicą
Cena pojedyńczego zeszytu	10.— zł	14.— zł
Prenumerata kwartalna (za 3 n-ry)	30.— zł	42.— zł
Prenumerata roczna (za 12 n-rów)	120.— zł	168.— zł

Prenumeratę krajową należy wpłacać na konto administracji
PKO Kraków Nr 4-9-831
lub na konto „Ruchu", Kraków, Worcella 6, PKO 4-6-777.

Wpłaty przyjmują również urzędy pocztowe i listonosze.

Prenumeratę zagraniczną należy wpłacać na konto PKWZ „Ruch"
Warszawa, ul. Wilcza 46 — PKO 1-6-100024
lub na konto administracji PKO Kraków Nr. 4-9-831.

Maszynopis otrzym. 15. III. 58. Papier druk. sat. V kl. 61 x 86 60g. Druk ukończ. w maju 1958
Format A5 Ark. druk. 8 Nakład 7000+200 egz.

Krakowskie Zakłady Graficzne Zakład nr 7. Kraków, ul. Kazimierza Wielkiego 95. Zam. 176. S-81

Janina Marcinkiewicz

ZNAK MIESIĘCZNIK ROK X — Nr 47 (5)
MAJ 1958
KRAKÓW

MYŚLI O PRACY

...Nie ma takiej pracy, w wykonywaniu której człowiek byłby zamknięty wyłącznie w sobie. W każdej pracy ludzkiej jest nawiązanie do pracy już dokonanej. Powstaje więź dziejowa w samej pracy: praca dokonywana wiąże całą przeszłość z przyszłością. Cokolwiek weźmiemy do rąk w przebiegu pracy, widzimy tam zamkniętą w określone kształty, ucieleśnioną pracę przeszłości. Ta praca, którą dołączamy do już dokonanej, będzie w przyszłości podjęta przez naszych następców, którzy ją rozwiną, ulepszą może i poprowadzą dalej. Podobnie wiąże się człowiek, który obecnie pracuje, z tym, który pracował przed nim, i z tym, który po nim przyjdzie. Istnieje jakieś szczególne „świętych obcowanie" w pracy i przez pracę. Jest to więź historyczna.

Ale w pracy każdej dostrzegamy nie tylko więź dokonań rzeczowych. Tkwi w niej przede wszystkim więź myśli ludzkiej. W każdej niemal pracy usiłujemy odszukać jej ideę przewodnią, myśl w niej zawartą. Albo też zaszczepiamy w niej myśl nową, własną, którą rzucamy w dzieło jak rolnik rzuca ziarno w glebę; myśl, która stanie się ciałem może dopiero w przyszłości i owoc stokrotny wyda pokoleniom nowym. Przejmując pracę poprzedników naszych ze czcią staramy się odczuć ich najbardziej wewnętrzne myśli, wczuć się w ducha ich poczynań.

Więź powstająca w pracy ludzkiej jest promieniem miłości. Bo praca jest właściwie miłością, jest okazywaniem, świadczeniem miłości. Ukryta w ciężkiej nieraz i żmudnej pracy miłość nie zawsze zdradza swoją obecność, bo pot i znój oblicza przysłania jej jasność. Ale jakżeż często zdradza swą czujną obecność nie tylko w chwili narodzenia się nowego dzieła, ale w bólu konania dawnych.

Praca jest dążeniem człowieka do człowieka: nie może ona zmierzać w pustkę. Zawsze wiąże nas z ludźmi, jeśli nie wprost, to przynajmniej pośrednio. Nie ma takiej pracy, która w jakiś ta-

jemniczy sposób nie wiązałaby nas z ludźmi. Nawet ta, co zmierza ku Bogu, szczególnie ta.

Praca uczy nas wzajemnej posługi i tworzy sposobność do jej okazywania. Poprzez nasz związek z bliźnimi budzi się w nas poczucie potrzeby posługi i wola dążenia z posługą. Bylibyśmy bardzo zawstydzeni i upokorzeni, gdybyśmy nie mogli wywdzięczyć się jakąś pracą...

Czyńcie sobie ziemię poddaną — jest to powszechna mobilizacja Boża, wezwanie do pracy na ziemi. Ogłaszając to wezwanie Bóg widział ziemię taką, jaką stanie się ona w wyniku pracy ludzi. Widział Bóg rody, pokolenia, plemiona i ludy, narody, całe wieki i epoki, które w uległej służbie Bogu będą szły przez ziemię dorzucając do dzieła Bożego coraz to nowe doskonałości, wykrzesane Bożą siłą w pracy. Dokonał Bóg mobilizacji myśli i woli rozumnego i przewidującego człowieka, który obejmie swym zdobywczym trudem nie tylko własne potrzeby, ale i tych, którzy po nim żyć będą na tej ziemi. Dzięki temu właśnie zabezpieczył z góry dobra dla nie narodzonych jeszcze pokoleń, sprawił, że ziemia będzie istotnie poddana ojcowskim troskom Boga, że dostarczy wszystkich środków potrzebnych do tego, by człowiek żyjący na ziemi osiągał niebo.

Czyńcie sobie ziemię poddaną — to znaczy zdobywajcie środki, które umożliwią wam życie aż do tego nieznanego kresu, w którym pozostawiwszy zdobyte dobra żyjącym, sami oddacie się w pełni Bogu.

Czyńcie sobie ziemię poddaną — to znaczy stwarzajcie takie warunki życia, w których moglibyście osiągnąć doskonałość życia doczesnego i wolność dążenia do Boga.

W tym dążeniu zawarta jest najważniejsza doczesna miara dobra powszechnego: takie zaspokojenie potrzeb życiowych, by bez przeszkód człowiek mógł oddać się czci Boga. W tym najwyższym dobru, jakim jest zbawienie wieczne, jest też zamknięcie potrzeb wszystkich ludzi.

Służba przez pracę rozszerza nasze serce i obejmuje wszystkich bliźnich naszych w duchu miłości ich dusz i ciał, ich dóbr doczesnych i wiecznych...

Praca nawet doczesna, prowadzona w świetle założeń nadprzyrodzonych, dla pełni swej owocności domaga się życia wewnętrznego. Kto mieszka we mnie a Ja w nim, ten wiele owocu przynosi. Tylko taka praca może nas wewnętrznie odmieniać.

Zwolnienie się od życia wewnętrznego pod wpływem nadmiaru pracy odbija się na wartości naszej pracy, wtedy bowiem ujawnia się w niej brak cnót osobistych, o który może rozbić się każde dzieło. Nie pomogą wówczas najbardziej pociągające idee: gdy zabraknie

powiązania życia wewnętrznego z życiem czynnym, upadnie dzieło prowadzone, jak wiele innych upadło, o czym poucza historia zakonów.

Natomiast powiązanie tych dwóch dróg wiodących do jednego dzieła kształtuje w nas — z pomocą pracy — cnoty tak pożyteczne i owocne w pracy osobistej, a tym bardziej zbiorowej.

W naszym zwykłym, codziennym dniu nieraz doznajemy wiosennego tchnienia radości z pracy, która nagle idzie nam „jak z płatka". Cóż to się dzieje? Może modlitwa lepiej poszła? A może Bóg dobry uśmiechnął się do nas wymowniej, a my zdołaliśmy pochwycić ten uśmiech; płynie stąd i radość, i pogoda w pracy, tworząc atmosferę gotowości i łatwości współdziałania...

...Może zdarzyć się niekiedy, że pod wpływem nadmiaru pracy, podyktowanej miłością bliźnich ucierpią nasze ćwiczenia duchowe. Ale ta smutna konieczność nie może stać się regułą. Każda praca czynna jest nowym obowiązkiem dodanym do już istniejącego, który powinien być w pełni zachowany.

Praca czynna wymaga nawet więcej jeszcze czujności, większego nasilenia życia wewnętrznego. Problem ten stanął ongiś w na wskróś społecznym dziele kardynała Ferrari, któremu mnożyły się niemal w dłoniach zadania rozpraszające gromadkę Towarzystwa św. Pawła w licznych pracach apostolskich. Zrozumiano wtedy, że dla podołania obowiązkom trzeba pozyskać sobie Ducha Bożego, że trzeba dokonać takiego przesunięcia zajęć, by można było nie ustawać w modlitwie. I oto modlitwą wypełniono wszystkie wędrówki po ulicach miast, wszystkie autobusy i pociągi. Tą drogą usiłowano uratować swoje życie wewnętrzne z lawiny prac apostolskich.

Z obfitości bowiem serca usta mówią. *Praca czynna ma być przejawianiem życia wewnętrznego, a nie na odwrót. Tylko to, co zostało przez nas przemyślane i przemodlone, można bezpiecznie dać innym...*

...Na nowo ma być rozwiązany problem życia wewnętrznego. To już nie zagadnienie „Maria czy Marta", ale to zagadnienie „Maria w Marcie". Rozwiązujemy je w codziennej pracy czynnej — z obfitości bowiem serca usta mówią.

Rozwiązujemy je, wypełniając polecenie Chrystusa: Tak niechaj świeci światłość wasza przed ludźmi, aby widzieli dobre czyny wasze — *uczynki* — i chwalili Ojca waszego...

Stefan Kardynał Wyszyński

Wyjątki z książki *Duch pracy ludzkiej*, wyd. III, Poznań 1957, Księgarnia św. Wojciecha.

JÓZEF KOKOT

O WYDAJNOŚCI PRACY W POLSCE

UWAGI WSTĘPNE

Sprawy objęte tytułem niniejszego artykułu nie schodzą od szeregu miesięcy ze szpalt prasy polskiej, zwłaszcza odkąd z odpowiednim naciskiem poddano je dość gruntownej analizie ekonomicznej na XI Plenum KC PZPR. Właśnie ten ekonomiczny styl dyskusji omawianych zagadnień, połączony — przynajmniej w diagnozie i zasadniczych wskazaniach terapii — z odstąpieniem od metody ujmowania ich wyłącznie w kategoriach administracji i reakcji formalno-prawnych, zachęca do przyjrzenia się przedmiotowi dyskusji z pewnego niezbędnego dystansu naukowo-badawczego, chociaż — dosłownie i jak najbardziej na serio — *nostra res agitur. Nostra* — całego Narodu, *nostia* — każdego z nas, gdyż zahacza o interesy osobiste, o warunki życiowe każdego Polaka. Uświadomienie sobie tego pociąga za sobą nie tylko konieczność uzyskania niefarbowanego, beznamiętnego i naukowego rozeznania rzeczywistości, lecz również obowiązek zajęcia określonej postawy moralnej i uczuciowej wobec tej rzeczywistości i wypływających z niej nakazów w zakresie polityki ekonomicznej i socjalnej naszego państwa.

Nasilenie zawartych w prasie codziennej i czasopismach danych statystycznych i drobnej, konkretnej faktury z omawianej dziedziny zwalnia autora w zasadzie od obowiązku szczegółowego ich referowania, które byłoby w dużej mierze powtarzaniem rzeczy znanych, pozwalając natomiast na skupienie się na samej kryjącej się za tymi materiałami problematyce. Problematyki aktualnej niesposób zaś ująć i zrozumieć należycie, jeżeli nie popatrzymy na nią z odpowiedniej perspektywy historycznej i w pewnych ujęciach porównawczych.

TŁO HISTORYCZNE

1. Na przestrzeni 150-lecia 1795—1945 Polska została dwukrotnie poddana zabiegowi wymazywania jej z mapy Europy. Ten uni-

cestwiający zabieg chirurgiczny, podejmowany obydwa razy w chwili odżywania prężności gospodarczej i podejmowania dalekosiężnej inicjatywy ekonomicznej naszego państwa, wypływał oczywiście nie z obiektywnej sytuacji Polski, lecz z chęci jej unicestwienia, zwłaszcza przez Prusy i politykę prusko-niemiecką, nie dającą się pogodzić z istnieniem niepodległej Polski. Dlatego też obydwie próby likwidacji Rzeczypospolitej były nie tylko zamachem na państwowość polską, lecz w równej mierze na egzystencję samego narodu. Szczególnie jaskrawą w tej mierze lekcję przyniosła pruska polityka germanizacyjna na ziemiach polskich zdobytych przed rozbiorami i w trakcie rozbiorów oraz ludobójcza okupacja hitlerowska z czasów II wojny światowej, która doprowadziła naród polski — według niezwykle trafnego wyrażenia Osmańczyka — do granicy upływu krwi.

Te konsekwencje polityczne i etniczne agresji na Polskę przesłaniają nam na ogół sprawę może jeszcze donioślejszą, a mianowicie fakt wywołania przez rozbiory oraz pogłębienia przez okupację z a c o f a n i a   g o s p o d a r c z e g o naszego kraju. Wyrażało się ono (i nadal się wyraża) kompletnym niedoinwestowaniem Polski w dziedzinie przemysłu, rolnictwa, transportu i usług, głęboką dewastacją oraz sięgającymi podstaw egzystencji narodowej zniszczeniami wojennymi. Sprawą może najgroźniejszą w swoich konsekwencjach był atak na jakość polskiego człowieka, obliczony na jego degenerację fizyczną i na obniżenie, względnie niedopuszczenie do podniesienia jego kultury ogólnej, a przede wszystkim wywołujący zahamowanie rozwoju zawodowego społeczeństwa polskiego, odcięcie go od dopływu rozwijającej się w świecie kultury technicznej jako masowego zjawiska społecznego decydującego o wzroście wydajności pracy ludzkiej i podnoszeniu się stopy życiowej społeczeństwa.

2. Podstawowe konsekwencje przedstawionego wyżej stanu rzeczy sprowadzają się do następujących zagadnień:

a) w tym czasie, kiedy Europa przeżywała pełny cykl rewolucji przemysłowej i przejście z wieku pary w wiek elektryczności, Polska na olbrzymiej większości swego terytorium stała niemal całkowicie w miejscu. Zwiększyło to dysproporcje pomiędzy Polską a jej sąsiadami, zwłaszcza Niemcami, w sposób, który może najlepiej charakteryzują wyliczenia pewnego czeskiego rzeczoznawcy wojskowo-ekonomicznego z okresu poprzedzającego konflikt sudecki i II wojnę światową. Polska — wg tych danych — mogła wystawić 75 dywizji, lecz uzbroić — tylko 20 (z własnej produkcji stali), Cze-

chosłowacja natomiast mogła wystawić tylko 42 dywizje, lecz uzbroić z własnej produkcji potrafiłaby 40 dywizji. A oto inne liczby — w roku 1937 Polska produkowała 3,6 miliardów kWh energii elektrycznej, Niemcy — 50 miliardów kWh, Czechosłowacja — 4,0 miliardów kWh, ZSRR — 40,5 miliardów kWh, Anglia 28,8 miliardów kWh, Francja — 17,6 miliardów kWh itd. Moc silników zainstalowanych w przemyśle i w elektrowniach wynosiła w Polsce w 1936 roku 3,0 miliony KM, a już około roku 1930 wynosiła w Anglii 17,8 mil. KM, we Francji — 12,9 mil. KM. Stali produkowaliśmy w 1937 roku 1,5 mil. ton, Niemcy — 19,8 mil. ton, ZSRR — 17,8 mil. ton, Czechosłowacja — 2,3 mil. ton, Anglia — 13,2 mil. ton, Francja — 7,9 mil. ton. Walcówki żelaza i stali produkowano w Polsce w 1937 roku 1,0 mil. ton, natomiast w Niemczech — 14,1 mil. ton, w ZSRR — 13,0 mil. ton, w Anglii — 9,9 mil. ton, we Francji — 5,2 mil. ton. Kwasu siarkowego (100% H_2SO_4) wytwarzano w Polsce 1937 roku 189 tys. ton, w Niemczech — 2050 tys. ton, w Anglii — 1063 tys. ton, azotniaku — w Polsce 68 tys. ton, w Niemczech 603 tys. ton;

b) olbrzymie zacofanie cywilizacyjne i kulturalne Polski. Np. w dniu 1 I 1939 przypadało na 1000 mieszkańców w Polsce 29 radioabonentów, w Niemczech — 154, w roku 1937 przypadało na 1000 mieszkańców w Polsce 7 aparatów telefonicznych, w Czechosłowacji — 15, w Niemczech — 53. W mieszkaniach przeludnionych (ponad 2 osoby na izbę) mieszkało w Polsce w 1931 r. 56,2% ludności (bez ludności w mieszkaniach zamieszkanych przez 12 i więcej osób), w Niemczech w 1927 r. — 9,6 ludności;

c) Polska znalazła się w grupie najuboższych państw Europy. Wartość produkcji rolniczej, górniczej i przemysłowej w r. 1929, roku szczytowej koniunktury gospodarczej, wynosiła w Polsce 610 zł na głowę mieszkańca, w Niemczech — 1760 zł. Było to wynikiem zahamowania rozwoju gospodarczo-technicznego Polski, braku przyrostu nowych miejsc pracy w przemyśle i wywołanego przez to absolutnego przeludnienia wsi polskiej, co dawało ok. 5—7 milionów osób „zbędnych" na wsi, bezużytecznych dla narodowej gospodarki polskiej.

NARÓD W WALCE O BYT

3. Ocalony przed ostateczną eksterminacją hitlerowską Naród wyszedł z II wojny światowej ze stratą ponad 6 milionów zabitych osób, z dodatkowymi 600 tys. inwalidów oraz z ubytkiem 38% majątku narodowego na ziemiach starych (bez Ziem Odzyskanych). W tych warunkach walka o byt narodu nie skończyła się w 1945 roku, lecz tylko przyjęła inną postać. Jeżeli walka ta ma się zakoń-

czyć zwycięsko, na co nas niewątpliwie stać, to musimy jasno sformułować i uznać następujące zadania ogólno-narodowe:

— likwidację zacofania gospodarczego przez intensywny rozwój sił wytwórczych,

— wyprzedzenie sąsiadów (szczególnie Niemiec) w produkcji dochodu narodowego na głowę mieszkańca,

— likwidację zacofania kulturalnego i cywilizacyjnego, szczególnie na terenie Polski centralnej i wschodniej (oraz u osadników i repatriantów na Ziemiach Zachodnich), co jest uwarunkowane równoczesnym podniesieniem się stopy życiowej a także odwrotnie — ma doniosły wpływ na podnoszenie się stopy życiowej,

— rekonstrukcję biologiczną narodu i zapewnienie jego obrony. Zadania te możemy podsumować w jednym postulacie — Polak musi wytwarzać proporcjonalnie więcej niż inni, niż jego sąsiedzi.

4. Spełnienie tych zadań wymaga określonych warunków realizacji, stanowiących *conditio sine qua non.* Należą tutaj przede wszystkim:

— dyscyplina społeczna w najszerszym tego słowa znaczeniu, w tym szczególnie dyscyplina pracy,

— podniesienie narodowej wydajności pracy polegające na podniesieniu przyrostu rozporządzalnej masy wartości (przyrost ilościowy i jakościowy) w tempie wyprzedzającym własny przyrost naturalny i tempo światowe, zwłaszcza sąsiadów,

— pełna integracja Ziem Zachodnich i Bałtyku jako cywilizacyjnej i majątkowej rekompensaty za dotychczasowe zacofanie gospodarcze wywołane zainicjowanymi przez Prusy rozbiorami i za straty wojenne, jako realnej szansy zlikwidowania przeludnienia wsi polskiej i podniesienia potencjału narodowej gospodarki polskiej dzięki bogactwom naturalnym, urządzeniom produkcyjnym i sprawności odzyskanej ludności rodzimej tych terenów, jako punktu wyjścia dla rozbudowy międzynarodowych funkcji usługowych naszego państwa i społeczeństwa.

DYSCYPLINA

5. Postulat dyscypliny społecznej, jakkolwiek nie mający najlepszych u nas tradycji historycznych, jest niezbędny ze względu na okoliczność, iż naród walczy o swój zagrożony byt, a w takiej walce nie może być miejsca na anarchię, samowolę, sobkostwo. Dyscyplina ta winna być świadoma, oparta na rozeznaniu sytuacji i właściwej postawie moralnej, ponieważ jest jednak konieczna,

dlatego musi być powszechna, obejmująca cały naród, bez względu na świadomość i dojrzałość moralno-polityczną, oraz wszystkie społeczne dziedziny życia.

Dyscyplina ta musi dalej kształtować się konsekwentnie, to znaczy musi być rzeczywiście skuteczna w wyniku:

— należytego ujęcia instytucjonalnego, opartego na działaniu praw ekonomicznych i socjologicznych (nie tak jak sławetna ustawa o zabezpieczeniu socjalistycznej dyscypliny pracy),

— ustawicznego korygowania tych praw zmysłem moralnym społeczeństwa, a zwłaszcza jego żywym poczuciem sprawiedliwości społecznej.

Niezbędną cechą postulowanej dyscypliny społecznej winna być jej konkretność, inaczej — systematyczna, uporządkowana (towar bardzo deficytowy w Polsce!), równomierna i ciągła pracowitość.

6. Moralność (dyscyplina) pracy musi być produktem ogólnej dyscypliny społecznej oraz wynikiem atrakcyjności ekonomicznej samej pracy. Atrakcyjności tej nie ma i nie może być, jeżeli wartość pracy — ściślej jej cena (płaca) — leży poniżej lub na poziomie minimum egzystencji. Zagadnienie ostatnie czeka jeszcze ciągle na swe rozwiązanie, które winno wreszcie uwzględnić zapoznawane dotychczas takie momenty, jak fakt,

— że płace ukształtowane na osi minimum egzystencji nie pozwalają na zbudowanie siatki o rozpiętości mogącej różnicować w sposób istotny i skuteczny płace zależnie od kwalifikacji, stażu pracownika i zakresu jego odpowiedzialności, ponieważ po prostu nie można zejść poniżej minimum egzystencji, a pułap górny jest limitowany za nisko,

— że płace decydują o stosowaniu techniki w ten sposób, iż niskie płace hamują postęp techniczny, ponieważ granicą zastosowania maszyny jest cena zastąpionej przez nią siły roboczej. Dopóki robocizna nie będzie mocno ciążyć na kosztach produkcji, tak długo nie będzie powszechnego postępu technicznego i likwidacji przerostów w zatrudnieniu,

— że aktualny poziom płac w Polsce można ująć z grubsza w następujący schemat: gdzie ilość zawodowo czynnych członków wspólnoty rodzinnej jest mniejsza od zawodowo biernych, tam panuje bieda; gdzie między tymi grupami panuje równowaga — tam można się utrzymać, lecz każda inwestycja jest trudnym do rozwiązania problemem; gdzie jest przewaga zawodowo czynnych — tam istnieje nadwyżkowa siła nabywcza. Wynika stąd, że działanie mechanizmu płac można różnymi zabiegami techniczno-finansowymi (podatkowymi, ubezpieczeniowymi itp.) zmienić na korzyść dwóch

pierwszych grup pracowników bez gwałtownej podwyżki ogólnego funduszu płac. Trzymanie się recept deflacyjnych na tym odcinku hamuje wzrost dyscypliny i wydajności pracy, a już prawdziwym nieszczęściem jest odcinkowe regulowanie płac przy równoczesnych generalnych podwyżkach cen towarów i usług.

NARODOWA WYDAJNOŚĆ PRACY

7. Niezbędne dla relatywnej poprawy sytuacji gospodarczej Polski w skali międzynarodowej procesy przyspieszonej akumulacji i równoczesnego podnoszenia stopy życiowej społeczeństwa muszą znaleźć *per saldo* całkowite pokrycie we wzroście narodowej wydajności pracy.

8. Narodowa wydajność pracy jako różnica iloczynu masy i jakości pracy oraz kosztów zużytych środków produkcji jest złożoną funkcją działania następujących głównych czynników:

— wielkości odsetka społeczeństwa zaangażowanego w procesie produkcji i świadczenia usług,

— czasu pracy (ilości przepracowanych jednostek czasu),

— indywidualnej wydajności pracy pracowników zależnej od ich kwalifikacji zawodowych oraz ich ogólnej kondycji psychofizycznej (dyktowanej między innymi warunkami mieszkaniowymi, jakością odżywienia, możnością realizacji zasadniczych potrzeb konsumpcyjnych i usługowych, wyrobieniem politycznym, postawą moralną i światopoglądową, nastrojami politycznymi itp.), a także od sprawności i wydajności narzędzi pracy, którymi się posługują, tzn. od poziomu udostępnionej im techniki,

— stojącego do dyspozycji kapitału inwestycyjnego, który jest jednak niczym przy braku kadry technicznej i naukowej,

— należytej organizacji pracy i stopnia respektowania zasady „właściwy człowiek na właściwym miejscu",

— racjonalnego wyboru kierunków zaangażowania akumulacji oraz ogółu sił wytwórczych narodu, czyli od właściwej polityki gospodarczej państwa.

9. Na tej samej płaszczyźnie polityki gospodarczej państwa leżą też dalsze konkretne możliwości podniesienia narodowej wydajności pracy względnie skierowania jej na rentowniejsze formy i rodzaje pracy wytwórczej i usług. Na czoło wysuwa się tutaj roztropne stosowanie zasady „międzynarodowego podziału pracy" jako podstawy ustawicznego wzrostu obrotów pomiędzy jego uczestnikami. Uzyskane na tej płaszczyźnie efekty w zakresie optymalnego rozwoju wydajności i wykorzystania istniejącego potencjału pracy

przewyższają — pod warunkiem dostatecznej wysokości obrotów — ewentualne straty w bilansie płatniczym z danym (i) partnerem (ami) wymiany międzynarodowej. W każdym razie stosowanie tej zasady pozwala na maksymalne ograniczenie omnibusowej produkcji antyimportowej, prowadzonej bez względu na koszty i wydajność pracy. Margines możliwych jeszcze tutaj do osiągnięcia wyników w naszej gospodarce narodowej wydaje się być bardzo szeroki zarówno w dziedzinie artykułów konsumpcyjnych, jak i środków produkcji. Rozsądne wykorzystanie tkwiących na tym odcinku możliwości przyniesie nie tylko korzyści aktualne, lecz również — np. przez przyspieszenie postępu technicznego — podniesienie na dalszą metę własnej, bezpośredniej narodowej wydajności pracy, czy też lepsze wykorzystanie naszych bogactw narodowych.

Może jeszcze większe i dające się szybciej uruchomić rezerwy podniesienia efektywności naszej pracy tkwią w międzynarodowej sprzedaży usług, jakimi dysponuje nasza gospodarka, nasz kraj. Chodzi tu o zorganizowanie systematycznego wzrostu tranzytu przez polskie trasy komunikacyjne, o zdobycie większych przewozów międzynarodowych dla naszej floty, o sprzedaż walorów turystycznych i uzdrowiskowych szeregu regionów i miejscowości, które miały już ustaloną sławę międzynarodową i mogą nadal liczyć na duży napływ gości zagranicznych o ile postaramy się o niezbędny w nich porządek i „repertuar wydatków" oraz o udostępnienie naszego kraju turystom zagranicznym na znacznie szerszą niż obecnie skalę. W r. 1957 sam „Orbis" zarobił (a nie robi tego najlepiej) na zaledwie 42 tysiącach turystów zagranicznych (bez o wiele kosztowniejszych gości kuracyjnych) 1 105 600 dolarów i 1 936 400 rubli.

W odwrotnym kierunku, lecz z podobnymi skutkami można zintensyfikować sprzedaż międzynarodową polskiej twórczości kulturalnej we wszystkich jej dziedzinach i pionach, jako formy pracy szczególnie popłatnej i — jeżeli chodzi o polską produkcję — z różnych względów na rynkach międzynarodowych dostatecznie, jeżeli nawet nie bardzo atrakcyjnej. Obok produkcji można tu uzyskać poważne efekty za dobrą organizację, za usługi handlowe, transportowe, jednym słowem — za dobre myślenie, które na szerokim świecie cenione jest znacznie wyżej od najintensywniejszego wysiłku fizycznego.

W warunkach polskich wysiłek narodu można by jeszcze wzmocnić przez umiejętne zaangażowanie do inwestycji, produkcji, handlu, reklamy i wymiany usług, środków materialnych oraz kwalifikacji techniczno-zawodowych i organizacyjnych światowej Polonii, bardzo — mimo wszelkich różnic — krajowi oddanej i cieszącej się

za granicą opinią dobrych ludzi interesu. Odpowiednie dyspozycje psychiczne zdają się po stronie Polonii istnieć, trzeba je ze strony kraju zaktywizować, nadać im charakter konstruktywnej pomocy dla rozwoju gospodarczego kraju, a nie tylko prywatnej akcji zasilania „rynku ciuchów" w Polsce.

Podobną rolę w podnoszeniu efektywności gospodarki polskiej mogłyby odegrać rozwojowe kredyty lub dotacje zagraniczne, rzeczywiście rentowne i wolne od klauzul godzących w suwerenność Polski, w rodzaju np. kredytów uzyskanych od CSR (na siarkę) i NRD (na węgiel brunatny).

Wreszcie, olbrzymie możliwości podniesienia narodowej wydajności pracy w sensie określonym w poprzednim punkcie, a zależne od polityki gospodarczej państwa, posiada samo społeczeństwo przez stosowanie na każdym kroku i systematycznie oszczędności materiałowej i pieniężnej na miejscu pracy i w życiu osobistym. Wzrost i upowszechnienie tej oszczędnościowej postawy społeczeństwa da się osiągnąć jedynie przez budzące zaufanie, jasno określone postawienie celów i zadań, do których zmierza gospodarka narodowa. Kluczowym zagadnieniem jest tutaj sprawa stabilizacji waluty, jej siły nabywczej. Niepewność na tym odcinku rodzi największą anarchię emocjonalną i krańcową postawę szybkiej, doraźnej, nie przemyślanej konsumpcji, dezorganizującej i drenującej rynek towarowy. Wywołać postawę oszczędnościową — to znaczy otworzyć realne szanse i określić sens możności dorabiania się, podnoszenia stopy życiowej w sposób, który nie będzie uważany za podważanie ustroju.

GOSPODARKA POTENCJAŁEM PRACY

10. W minionym 13-leciu podniósł się zdecydowanie odsetek społeczeństwa zaangażowanego w procesie produkcji i wytwarzania usług. Znikło w zasadzie ukryte bezrobocie wsi polskiej, pochłonięte w 70% osadnictwem rolniczym i nierolniczym na Ziemiach Odzyskanych, a w pozostałej części zaabsorbowane gwałtowną industrializacją kraju. Na jej potrzeby zaktywizowano również zawodowo znaczny odsetek kobiet, emerytów, wytworzono zjawisko zatrudnienia wielokrotnego. W rezultacie już w r. 1950 okazało się, że na 24 613,7 tys. ogółu ludności zawodowo czynnej i utrzymywanych przez nią członków rodzin przypadało (bez stypendystów itp.) 12 404,2 tys. ludności zawodowo czynnej, a więc zapanowała równowaga pomiędzy ludnością zawodowo bierną i czynną z nieznaczną przewagą tej ostatniej grupy. Z takiego stanu rzeczy łatwo było

wyciągnąć wniosek, że jeszcze nigdy w swej historii społeczeństwo polskie nie było w takim zakresie objęte mobilizacją swego potencjału pracy. W gospodarce uspołecznionej poza rolnictwem i leśnictwem pracowało w 1956 roku 33% kobiet (100% = ogół zatrudnionych). W całej gospodarce uspołecznionej w 1954 r. młodzież do 18 roku życia włącznie stanowiła 5,3% ogółu zatrudnionych. A równocześnie szereg gałęzi gospodarki narodowej odczuwał (i nadal odczuwa) istotny brak siły roboczej, jak np. rolnictwo, budownictwo, górnictwo. Bliższa analiza tych danych wykazuje jednak, że liczby powyższe — rozpatrywane z punktu widzenia mobilizacji narodu do rzeczywistego wzrostu narodowej wydajności pracy — zawierają szereg wartości pozornych, które korygują rachunek wydajnościowy *in minus*.

Przepisami ustawodawstwa ochronnego pracy stworzono niepokojącą pedagogów, socjologów i ekonomistów „rezerwę" pracy w postaci dwóch roczników młodzieży, nie objętej już obowiązkiem szkolnym a równocześnie dotkniętej zakazem pracy zawodowej, także w nauce rzemiosła. Stworzono w ten sposób jedną z „podwalin" rozkładu dyscypliny społecznej, dyscypliny pracy i upadku przygotowania zawodowego młodzieży. Równocześnie można i należy z punktu widzenia narodowej wydajności pracy zakwestionować — wywołaną fałszywą polityką płac — opłacalność i społeczną przydatność pracy znacznej części kobiet (matek), emerytów i ludzi wielokrotnie zatrudnionych (poza nielicznymi wyjątkami z kategorii tzw. wolnych zawodów).

Zmniejszony już w ten sposób efekt „mobilizacji pracy" podlegał i podlega nadal dalszej redukcji na skutek poważnego wzrostu absencji chorobowych i nieusprawiedliwionych oraz pewnych błędów w zakresie organizacji rocznego czy tygodniowego czasu pracy. W przemyśle węglowym opuszczono w 1957 r. bez usprawiedliwienia 1 686 560 dniówek, co równa się utracie produkcji blisko 2 mil. ton węgla. W woj. katowickim notowano w 1957 r. codziennie 70 tys. dniówek chorobowych, a w warszawskich podstawowych przedsiębiorstwach budowlanych nie przepracowało w ciągu całego roku 1957 ani jednej godziny ok. 5 000 ludzi. Zamiast produkcji powstał jeszcze wydatek ponad 2,5 miliarda zł na zasiłki chorobowe (całe państwo, 1957 r.). Setki tysięcy „lipnych" dni roboczych kosztowała naszą gospodarkę narodową fałszywa teoria pełnego, rocznego sezonu w budownictwie, „likwidująca" sezonowy brak zatrudnienia w tej gałęzi gospodarki. Obok zmarnowanych dniówek zniszczono w ten sposób nie dające się wyliczyć ilości samych deficytowych materiałów budowlanych, czyli przekreślono

wynik pracy innych, rzeczywiście efektywnie pracujących robotników. Niemało szkód wyrządzono również narodowej wydajności pracy przez wieloletnie nierespektowanie wypoczynku świątecznego, co wyczerpywało fizjologicznie załogi, obniżało ich indywidualną wydajność pracy przy równoczesnym istnieniu ich subiektywnego przekonania o nadmierności wysiłku, mimo że w rzeczywistości bywało często inaczej.

Dalszym czynnikiem redukcji efektów dokonanej „mobilizacji pracy" stał się upadek kultury zawodowej, poziomu kwalifikacji zawodowych społeczeństwa, względnie fakt niedouczenia zawodowego i lekceważenie pracy przez młode i najmłodsze roczniki pracowników (pod ogólnym hasłem „śmierć frajerom"). W liście do „Fali 56" pisali młodzi robotnicy ze Szczecina, żeby im nie zawracać głowy podnoszeniem kwalifikacji, dopóki ich majster nie przestanie zarabiać połowy tego, co oni sami (indywidualnie) zarabiają. Źródłem tego powszechnego negliżowania kwalifikacji były głównie fałszywe hasła polityki socjalnej i kadrowej w rodzaju: „Praca szuka młodzieży", trwający bez końca „awans socjalny", stosowany także wobec młodych i bardzo młodych ludzi, oraz nie licząca się często z kwalifikacjami zawodowymi (w sensie pozytywnym i negatywnym) „nomenklatura" polityczna różnych kluczowych stanowisk gospodarczych i technicznych. Warto przypomnieć opublikowaną przez „Życie Gospodarcze" (nr 8/1958) statystykę „dyktatury fachowców", z której wynika, że najliczniejszą grupę w kadrze kierowniczej i technicznej naszej gospodarki stanowią ludzie pozbawieni nawet wykształcenia średniego. Tyle błędów naraz musiało wywołać jako reakcję daleko posunięty proces demoralizacji, rozkładu moralności pracy w znacznej części społeczeństwa skądinąd rzetelnego i gotowego do solidnej pracy, lecz w zdrowszych, bardziej normalnych, po ludzku zrozumiałych warunkach.

Czynnikiem potęgującym dodatkowo trudności w zakresie kształtowania moralności pracy nowych, przeważnie młodych załóg, bez zmysłu stabilizacji i przywiązania do swojego zakładu pracy, stały się — jako produkt katastrofalnej polityki mieszkaniowej w toku postępującej urbanizacji kraju — tzw. hotele robotnicze. Izolując swoich mieszkańców od *milieu* społecznego i zawodowego, w którym im wypadło przebywać i pracować, uniemożliwiały nawiązanie właściwej więzi społecznej, wykluczały istnienie takiej siły kierującej, jak opinia publiczna swojego środowiska, utrudniały więc przejęcie kultury zawodowej i dyscypliny pracy grupy społecznej, jaką była np. stara załoga danego zakładu pracy. W nowych obiek-

tach, np. w Nowej Hucie, sprawa wyglądała jeszcze tragiczniej, właśnie z braku jakiejkolwiek grupy trzonowej.

Faktem, który niezwykle ujemnie zaważył na jakości dokonującej się rewolucji socjalno-kulturalnej związanej z industrializacją i urbanizacją Polski, stało się rozbicie rzemiosła jako szkoły fachowców i nieudana próba zastąpienia go różnego rodzaju szkołami zawodowymi, które nie dały gospodarce fachowców, a samych swych absolwentów w jakiś sposób znarowiły wytwarzając jakieś niczym nieuzasadnione kompleksy wyższości w stosunku do robotników w ogóle, a „nie szkolnych" fachowców w szczególności. W parze z tymi zjawiskami szły podobne procesy zaniżania wymogów i kwalifikacji w kadrze technicznej i naukowej, która jeszcze przez źle rozumiany „patriotyzm socjalistyczny" utraciła kontakt z nauką światową właśnie wtedy, kiedy ta nauka i oparta na niej technika weszły w nową erę automatyzacji i stosowania technologii i energii epoki atomowej. Część opisanych tutaj zjawisk ma niewątpliwie swe uzasadnienie jako tzw. choroby wzrostu, kiedy trzeba było za wszelką cenę mieć załogę i obsadę techniczną i brać ją spośród elementu surowego. Stawianie wyższych wymogów byłoby jednak te konieczności znacznie złagodziło.

Znaczną część powiększonego mimo wszystko dochodu narodowego zneutralizowała rozbudowana biurokracja gospodarcza, z jej labiryntem organizacji i przepisów, z jej mentalnością „formacji administracyjnej", która i tak nie jest ekonomicznie zainteresowana w podniesieniu efektów ekonomicznych kierowanej przez siebie gospodarki, gdyż dla realizacji jej funkcji wystarczy spełnienie jakiegoś ustalonego minimum wymagań, w przeciwieństwie do maksymalnych wymagań „formacji rynkowej" czy „rynku konsumenta" (prof. W. Jastrzębowski).

Poważne perturbacje w rozwoju narodowej wydajności pracy wywołała sprawa nadmiernego śrubowania akumulacji kosztem stopy życiowej społeczeństwa w imię „zapewnienia pracy nadchodzącym rocznikom młodzieży". Cel był i jest niewątpliwie nadal słuszny, chodzi jedynie o to, że wykorzystanie akumulacji było niedostateczne (albo że przy tych wynikach akumulacja była za wysoka) przez obracanie jej przede wszystkim na inwestycje bardzo drogie (chociaż nie zawsze najnowocześniejsze) zamiast np. na produkcję materiałów budowlanych dla pokrycia niewymiernego wprost zapotrzebowania wszelkich typów budownictwa w Polsce, które jest w stanie wchłonąć nadwyżki siły roboczej wielu roczników, albo na rozwój usług, których brak tak fatalnie odczuwamy w całym kraju, a w szczególności na Ziemiach Zachodnich.

Na poważnym odcinku gospodarki narodowej, w rolnictwie, mimo likwidacji przeludnienia wsi polskiej, doprowadzono do znanych wypaczeń, które zahamowały wzrost wydajności pracy w gospodarce uprawowej i hodowlanej ze szkodą dla samej wsi i stopy życiowej całego społeczeństwa. Obok strat w produkcji wystąpiły tutaj poważne straty materiałowe i w narzędziach pracy. Dopiero nowa polityka rolna realizowana od półtora roku wyzwoliła na wsi polskiej łańcuchową reakcję kolejnych i kumulujących się procesów wzrostu efektywności gospodarki rolnej, która ma jednak do spełnienia olbrzymie zadania unowocześnienia swego procesu produkcyjnego i doścignięcia przodujących krajów rolniczych Europy.

Sprawą, która zmusza do zasadniczej rewizji oceny wyników dotychczasowej „mobilizacji pracy", jest fakt znacznego marnotrawienia zmobilizowanej siły roboczej w postaci tzw. przerostów zatrudnienia. W Nowej Hucie nadmiar załogi wynosi 25—30%, w przedsiębiorstwach Woj. Zarządu Przemysłu w Lublinie — 30%, ogólnie w kraju w różnych zakładach przemysłowych od 10—40%. Problem jest ostry nie tylko ze względu na efekty ekonomiczne i zahamowanie wzrostu wydajności pracy, lecz również ze względu na groźbę zatrzymania postępu technicznego, tego niezbędnego warunku zlikwidowania zacofania gospodarczego i cywilizacyjnego Polski. Odrodził się odwieczny problem pozornej i relatywnej kolizji interesów robotnika i techniki, który oczywiście w warunkach naszego ustroju państwowego i socjalnego domaga się innych rozwiązań aniżeli np. w państwie kapitalistycznym, gdzie rządzi żelazne prawo popytu i podaży siły roboczej. Usunięciu zbędnych pracowników z jednego miejsca pracy musi towarzyszyć włączenie ich do produkcji na odcinku, który dotychczas był deficytowy (wobec potrzeb rynku).

Na gruncie takiej analizy przerostów zatrudnienia poddano również ostrej i bezwzględnej krytyce sprawę negatywnego czy niedostatecznie pozytywnego rozwoju wydajności pracy. W podstawowym np. dla Polski przemyśle węglowym, mimo zastosowanej mechanizacji, obserwujemy znaczny spadek wydajności w porównaniu z okresem przedwojennym, wynoszący przeciętnie dla całego przemysłu węglowego ok. 30%. W poszczególnych wypadkach bywa jednak znacznie gorzej — np. kopalnia Mysłowice wydobywała w 1938 r. na dobę 3820 ton przy 2325 zatrudnionych, w 1958 r. wydobycie wynosi 3980 ton, a zatrudnienie 4181. Ta sama kopalnia miała w 1938 roku 88 pracowników umysłowych, w 1958 roku liczy ich 393. W Hucie im. Lenina rezerwy wydajności są tak duże, że przy

redukcji 1200 ludzi w 1958 r. planuje się 13% wzrostu produkcji. Zasadniczą przyczyną tych przejawów był brak dyscypliny pracy wypływający z przekonania o deficycie siły roboczej oraz wywołana m. in. tym samym przeświadczeniem płynność kadr. W Warszawie np. urżąd zatrudnienia skierował do pracy w latach 1953—1957 554 tys. osób, czyli tyle, ile ich w ogóle pracuje na terenie Warszawy w 1958 r. W samym roku 1957 skierowano do pracy 121 tys. osób, a więc 5 razy więcej niż planowany na ten rok przyrost zatrudnienia.

Tę analizę należałoby jeszcze pogłębić jakościowo przez wskazanie na jakiś zasadniczy błąd w mierzeniu wydajności w dość dużym oderwaniu od jakości produkcji. Produkcja ma zaspokoić określoną potrzebę odbiorcy — to jest zasadniczy punkt widzenia dla oceny wydajności. Porzucenie tego punktu widzenia względnie jego niedostateczne uwzględnienie na rzecz pogoni za liczbą musi prowadzić do olbrzymiego marnotrawstwa materiałowego i siły roboczej (jeżeli np. produkt X ma a-miesięczny okres amortyzacyjny, lecz nie wytrzyma ani $\frac{a}{4}$ miesięcy, to liczenie ilościowe wydajności w danym wypadku prowadzi do 4-krotnego jej zawyżenia).

WNIOSKI

11. Jeżeliśmy na wstępie niniejszego artykułu stwierdzili, że postawiona przez XI Plenum diagnoza naszej gospodarki wychodzi z oceny ekonomicznej, to analiza środków leczniczych zastosowanych w wyniku takiego rozeznania sytuacji musi zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo działania (z przyzwyczajenia) środkami administracyjnymi zamiast ekonomicznymi (np. „akcja likwidacji przerostów zatrudnienia czy walki z nadmierną absencją chorobową). Pozytywnie oznacza to wniosek, że u podstaw wszelkich rozwiązań polityczno-gospodarczych podejmowanych w Polsce współczesnej musi leżeć teza o preferencji działania praw ekonomicznych przed działaniem administracyjnym. Myślę, że teza ta winna zachować swą ważność nawet w wypadku zmuszenia nas przez rozwój międzynarodowej sytuacji politycznej (np. atomowe uzbrojenie Bundeswehry) do wyścigu zbrojeń.

12. Zdaniem piszącego te słowa warunkiem wstępnym jakiejkolwiek próby uzdrowienia polityki pracy w Polsce (tzw. dotychczas polityki kadr) jest likwidacja istniejącej dotychczas praktycznie „urawniłowki" w dziedzinie płac. Znieść „urawniłowkę" można tylko

przez zasadnicze podrożenie pracy kwalifikowanej i zbudowanie siatki płac o dużych rozpiętościach stawek w proporcji do różnicy kwalifikacji i powierzanego pracownikom zakresu odpowiedzialności.

13. Tylko podrożenie pracy — bez prawa przerzutu jego konsekwencji na ceny wyrobów gotowych — zlikwiduje przez swoje ciśnienie na koszty w sposób stały i organiczny, a nie „akcyjny", przerosty w zatrudnieniu, dysproporcje w strukturze zatrudnienia i podniesie wydajność pracy oraz styl jej organizacji. Kierownictwo zakładu pracy winno zresztą być w części ruchomej płacy wynagradzane odpowiednio do wyników produkcji, jej kosztów i wydajności pracy. Wtedy podrożenie pracy stanie się również czynnikiem ustawicznego i rzeczywistego popierania postępu technicznego w praktyce każdego zakładu pracy, nabiorą sensu i życiowego znaczenia takie pojęcia, jak mała mechanizacja, racjonalizatorstwo itp.

14. Ekonomiczne gospodarowanie posiadanym potencjałem pracy każe eliminować wszelkie formy zbędnej i dublującej się administracji (np. aparat finansowy przedsiębiorstw, aparat bankowy i kontroli resortowej). Nie będzie jednak uproszczenia i redukcji administracji bez ograniczenia zakresu administrowanych spraw, a to z kolei nie nastąpi, jeżeli centralny aparat administracji gospodarczej państwa jest nadmiernie wyspecjalizowany. Jego komasacja wywoła samoczynnie skupienie się na sprawach zasadniczych, bez wchodzenia w szczegóły techniczno-operatywne należące do przedsiębiorstw. Odpadnie wtedy np. zajmowanie Rady Ministrów decyzją o budowie określonej kopalni węgla kamiennego czy jakiegoś innego, seryjnego obiektu przemysłowego.

15. Celem zapewnienia większej dyscypliny pracy i uniknięcia dodatkowych obciążeń gospodarki narodowej wydatkami na nieuzasadnione zasiłki chorobowe należałoby — moim zdaniem — zmienić przepisy o zasiłkach chorobowych w ten sposób, że znosi się zasiłki za pierwsze 3 dni choroby, o ile choroba nie trwa łącznie dłużej niż np. 2 tygodnie. Takie rozwiązanie przyniesie o wiele szybciej i taniej oraz prościej zamierzone rezultaty, aniżeli skomplikowany, kosztowny i wymagający nowego aparatu administracyjnego system limitowania zasiłków, kontroli zakładowych itp.

16. Należałoby również rozstać się z fikcją pełnego sezonu rocznego w budownictwie i innych branżach sezonowych, wprowadzając dla nich zasadę „martwego sezonu" połączonego z wykorzysta-

niem urlopu opłaconego z książeczki „znaczkowej" na wzór dawnych książek ubezpieczenia emerytalnego [1].

17. W interesie młodzieży i gospodarki narodowej należałoby dopuścić do nauki rzemiosła młodzież od 15 lat, a ilość warsztatów rzemieślniczych, zwłaszcza na Ziemiach Zachodnich, zwielokrotnić.

18. Dla zapewnienia należytego odbioru jakościowego produkcji i rzetelności rachunku gospodarczego, bez której nie ma prawidłowej oceny gospodarki narodowej, winno się, moim zdaniem, wyłączyć aparat brakarski i finansowy spod gestii przedsiębiorstwa, podporządkowując go właściwemu aparatowi handlowemu względnie Narodowemu Bankowi Polskiemu.

19. Interes podniesienia dyscypliny społecznej w Polsce, a zwłaszcza dyscypliny pracy i wydajności oraz jakości produkcji wymaga odwrócenia zasady, że „praca szuka człowieka", na zasadę, że człowiek szuka pracy". Chodzi więc o stworzenie faktu pewnego, regulowanego i nieznacznego wyprzedzania w skali krajowej przyrostu miejsc pracy przez przyrost poszukujących pracy. Tu należy szukać ekonomicznych bodźców rozwiązania niektórych problemów terenowego lub branżowego deficytu siły roboczej. W tym celu nie należy do dotkniętych lokalnymi lub branżowymi trudnościami uzyskania pracy podchodzić z akcjami cieplarnianymi, lecz stworzyć — poza sprawnie działającym aparatem urzędów zatrudnienia i dobrą informacją gospodarczą — oficjalne ubezpieczenie na wypadek bezrobocia o charakterze oszczędnościowo-asekuracyjnym [2]. Jest rzeczą oczywistą, że proponowane środki — pomyślane jako samoczynny, nie administracyjny środek powszechnego wychowania i podniesienia dyscypliny społecznej — nie mogą mieć u nas asocjalnego aspektu wyzysku lub szykany społecznej w postaci obniżki zarobków, bezzasadnego śrubowania akordów itp. przejawów bezrobocia w warunkach ustroju kapitalistycznego.

20. Należałoby wreszcie zlikwidować bezlitośnie wszelkie fikcje w zakresie postępu nauki i techniki (np. różnego rodzaju nieproduktywne instytuty przemysłowe), a zużywane dotąd na te cele fundusze przeznaczyć na rzeczywiste przyswojenie przez naszych naukowców światowej wiedzy (studia i praktyki zagraniczne), na prace odkrywcze i wynalazcze (przy zapewnieniu większej opłacal-

---

[1] Znaczki wklejają poszczególni pracodawcy, a realizuje w określonych warunkach właściciel u ostatniego pracodawcy albo w urzędzie zatrudnienia lub t. p.

[2] Przymusowe oszczędzanie ze zwrotem wkładów w odpowiednich dawkach przy utracie pracy lub większych kwot zgromadzonych na koncie na skutek nie podejmowania zasiłku ubezpieczeniowego wobec braku przerw w zatrudnieniu (co będzie u solidnych pracowników regułą).

ności wynalazków) i na rozwinięcie w naukach ekonomicznych kierunku polityki ekonomicznej w różnych przekrojach rzeczowych i podmiotowych (np. polityka gospodarcza Napoleona, walka z inflacją, administracja pracy, polityka kredytowa Morgana, Europejska Unia Celna, polityka tranzytowa itp.). Trzeba bowiem Polsce, walczącej o swój awans ekonomiczny i cywilizacyjny, nie tylko ekonomistów-laborantów, nie ekonomistów-dogmatyków, lecz przede wszystkim polityków ekonomicznych, którzy by umieli zorganizować wysiłek i pracę narodu.

Józef Kokot

Ks. JÓZEF MAJKA

ROLA CZŁOWIEKA W ROLNICTWIE

W toczącej się od przeszło roku na łamach wielu pism dyskusji o rolnictwie wskazano na szereg przyczyn, które spowodowały znane trudności i niedomogi w tej dziedzinie gospodarki narodowej. Wskazano na odpływ ludności ze wsi do przemysłu, na brak narzędzi i maszyn rolniczych, na brak nawozów sztucznych i niski wskaźnik ich użycia w Polsce, na niedobory w inwentarzu, wreszcie na brak fachowców i błędną politykę kadr. Dyskutanci starali się też dawać mniej lub więcej zbawienne wskazania naszym politykom rolnym. Nie można kwestionować istnienia wymienionych przyczyn. Nie mam też zamiaru dyskutować z autorami poszczególnych zaleceń. Ograniczę się tylko do stwierdzenia, że wszelkie zalecenia, a tym bardziej decyzje, muszą się opierać na wszechstronnej i pełnej analizie całości zjawiska, a nie tylko jednego lub kilku jego przejawów. Analiza ta wymaga jednak jeszcze nieco uzupełnień. Powiedziano już dość dużo o zewnętrznych, mierzalnych brakach naszego rolnictwa; należy jednak przystąpić także do analizy samego procesu produkcji rolnej, do zbadania specyfiki tej produkcji, gdyż, jak zobaczymy, rzuci to niemało światła na trudności, jakie nasze rolnictwo przeżyło i z których się jeszcze ostatecznie nie dźwignęło.

Wyjdziemy od faktów. Nie zamykając oczu na znaczne postępy w dziedzinie rolnictwa i nie lekceważąc ich znaczenia dla rozszerzenia produkcji rolnej, która w wielu krajach, zwłaszcza na zachodzie Europy stale wzrasta, musimy jednak stwierdzić, że jakiś zasadniczy przewrót w technice produkcji rolnej, który by zrewolucjonizował rolnictwo, jeszcze się nie dokonał. Żadna z nowych technik produkcji rolnej (ani trójpolówka, ani płodozmian, ani postawienie wielkiej chemii na usługi rolnictwa, ani jego mechanizacja) nie stanowiła takiego przewrotu w stosunku do techniki poprzednio stosowanej, ażeby mogło to iść w porównanie z rewolucją przemysłową w okresie wprowadzania produkcji maszynowej albo z tymi

przemianami w przemyśle, jakich należy się spodziewać po automatyzacji. Jesteśmy, być może, u progu takiej rewolucji w rolnictwie; może spowoduje ją zastosowanie w biologii osiągnięć fizyki jądrowej, a może rolnicze zagospodarowanie wód i oceanów... Wszystko jednak, co chcielibyśmy na ten temat powiedzieć w dziedzinie ekonomii, byłoby po prostu prorokowaniem. Ekonomista musi się liczyć z faktami, a fakty są takie, że dotychczasowe osiągnięcia nauki nie uniezależniły rolnictwa od warunków glebowych i klimatycznych, że — co więcej — ani stan nauki, ani stopień popularyzacji jej osiągnięć, ani rodzaj środków, jakimi się ona posługuje, nie stwarzają możliwości pełnej, naukowej analizy każdorazowych warunków gospodarowania.

Wszystko to sprawia, że ekonomista nie może ograniczyć się do rozważania produkcji rolnej jedynie jako zestawienia czynników produkcji ujmowanych ilościowo. Zmienność i w pewnym znaczeniu nieobliczalność czynnika przyrodniczego stwarza bowiem konieczność ciągłego dostosowywania się człowieka-producenta do każdorazowych warunków przyrodniczych i sprawia, że każdy z nich jest w pewnym zakresie człowiekiem gospodarującym, a nie tylko wykonywującym określone czynności. W związku z tym momenty psychologiczne i socjologiczne odgrywają tu o wiele poważniejszą rolę i wywierają głębszy wpływ na wyniki produkcji aniżeli w innych działach wytwórczości.

Niezrozumienie tych, prostych zresztą, faktów powoduje, że dostrzegamy na ogół psychologiczne, socjologiczne, a zwłaszcza technologiczne trudności przesuwania ludzi z rolnictwa do przemysłu, a o procesie odwrotnym mówimy co najmniej beztrosko. Wielu organizatorom różnego rodzaju łączności miasta ze wsią wydawało się, że na roli może pracować każdy bez specjalnego przygotowania, przynajmniej dorywczo. Nic też dziwnego, że wszelkie młodzieżowe i inne akcje kierowania do pracy w rolnictwie kończyły się zazwyczaj fiaskiem, jeżeli nie organizacyjnym, to w każdym razie ekonomicznym. Dlaczego tak jest? Jakie działają tu hamulce i opory? Na czym polega trudność? Przecież wykonywane przez rolników czynności wydają się zupełnie nieskomplikowane? Czy trudność pochodzi tylko z braku zapału do pracy? Czy mieszkańcowi miasta potrzeba tylko szczerej chęci, ażeby owocnie pracować w rolnictwie, czy też jeszcze czegoś więcej?

Ażeby odpowiedzieć na te pytania, przypatrzmy się nieco bliżej technologii produkcji rolnej. Pod względem metod gospodarowania można podzielić z grubsza gospodarstwa rolne na trzy grupy:

a) gospodarstwa ekstensywne, przeważnie monokulturowe, często zmechanizowane, ale o małym stosunkowo nakładzie pracy ludzkiej i niskiej intensyfikacji uprawy i nawożenia;

b) gospodarstwa intensywne, wielokulturowe, zazwyczaj uprawowo-hodowlane, o dużym stosunkowo nakładzie pracy (ludzkiej i mechanicznej) i wysokiej intensyfikacji uprawy i nawożenia;

c) gospodarstwa ogrodnicze i plantacyjne, które jakkolwiek różnią się od siebie, zaliczamy do tej samej grupy ze względu na ich specjalny charakter. Nie interesują nas zresztą one w tej chwili.

Rolnictwo nasze, podobnie jak rolnictwo całej Europy środkowej i zachodniej, reprezentuje drugi typ gospodarowania, jako najbardziej ekonomiczny przy naszych zasobach ziemi uprawnej w stosunku do liczby ludności i stopnia uprzemysłowienia. Wynika z tego, ży byłoby nieporozumieniem, gdyby rolnictwo nasze chciało szukać wzorów technologicznych wzgl. organizacyjnych np. w rolnictwie amerykańskim czy radzieckim, które gospodarują według typu pierwszego. Zajmiemy się więc analizą tylko tego drugiego typu gospodarowania.

Jest on, trzeba przyznać, szczególnie trudny, ale jeżeli rolnictwo nasze ma z jednej strony zachować dostateczny poziom produkcji i stale ją powiększać, jeżeli z drugiej strony chcemy uniknąć erozji gleby i zachować jej trwałą zdolność produkcyjną, jeżeli wreszcie chcemy uniknąć trudności w zakresie zatrudnienia, gdyż na wsi może nam stale zagrażać nadmiar rąk do pracy, to nie mamy innego wyboru.

Na czym polega ta trudność gospodarowania w naszym typie gospodarstwa rolnego? Gospodarstwo takie, w przeciwieństwie do gospodarstw monokulturowych tak niebezpiecznych dla gleby, stanowi (podobnie jak np. las) swoistą symbiozę różnego rodzaju roślin i zwierząt pod kierownictwem i przy pomocy człowieka. Musi to być inteligentne kierownictwo i celowa pomoc, gdyż przy opracowywaniu warunków tej symbiozy muszą być brane pod uwagę nie tylko względy biologiczne, lecz także ekonomiczne. Natura może sobie pozwolić (jak w wypadku dziewiczego lasu) na marnotrawstwo, ale nie rolnik-gospodarz. W gospodarstwie takim trzeba więc koniecznie wypracować swojego rodzaju równowagę elementów techniczno-biologicznych z jednej strony, a ekonomicznych z drugiej. Pierwszy typ równowagi ma za zadanie zachowanie ciągłości produkcji i równocześnie osiągnięcie jej najwyższej wydajności biologicznej, drugi uzyskanie najwyższej wydajności ekonomicznej. W pierwszym wypadku chodzi o najwyższą produkcyjność fizyczną,

w drugim o produkcyjność wartościową. Obydwa te stany równowagi muszą być ze sobą uzgodnione. Dodajmy, że jeżeli produkcja rolna ma się doskonalić i wzrastać i jeżeli ma ona pozostawać w pewnej proporcji do rozwoju innych dziedzin wytwórczości, to musi to być równowaga dynamiczna.

Zachwianie się tej równowagi może odbić się fatalnie na wynikach (zwłaszcza gospodarczych) procesu produkcyjnego nawet na przeciąg kilku cyklów produkcyjnych, przy czym jego skutki nie zawsze (np. w wypadku erozji gleby) ujawnią się od razu. Zdaje sobie z tego praktycznie sprawę każdy rozumnie gospodarujący chłop czy kierownik gospodarstwa rolnego, który każde zachwianie się równowagi w gospodarstwie przeżywa jako jego załamanie. Chłopi mówią wtedy o upadku w gospodarstwie i rozumiejąc jego skutki śpieszą często solidarnie z pomocą zagrożonemu gospodarstwu sąsiada.

W jaki sposób praktycznie kształtuje się ta równowaga? Chodzi nam w tej chwili o to, jakie momenty muszą być brane pod uwagę przy jej wypracowywaniu. Równowaga ta kształtuje się dla każdego gospodarstwa indywidualnie. Można wprawdzie mówić o jakichś typach takiej równowagi i można by było wypracować szereg tego rodzaju typów, ale wybór typu i indywidualizacja w ramach określonego typu jest dziełem kierownika gospodarstwa rolnego. Wziąwszy pod uwagę wielość czynników, jakie musi on rozpatrzyć, nie trudno zauważyć, że poprawne i ekonomicznie celowe zestawienie wszystkich składników gospodarstwa rolnego nie jest łatwe i wymaga od kierownika tego gospodarstwa następujących danych:

a) Szerokiej i gruntownej wiedzy rolniczej. Ponieważ jednak, jak już wspomniano, stan i popularyzacja tej wiedzy oraz techniczne możliwości stosowania jej osiągnięć są niedostateczne, ogromną rolę odgrywa tu także doświadczenie. Znaczenie ma tu nie tylko doświadczenie ogólne, lecz także doświadczenie w prowadzeniu danego gospodarstwa, w określonych warunkach mikrogeograficznych i mikroekonomicznych oraz doświadczenie w zakresie pewnych upraw i hodowli. Nasuwa to postulat stałości kierownictwa gospodarstw rolnych.

b) W braku osobistego doświadczenia ważna jest dobra znajomość wspomnianych mikrogeograficznych i mikroekonomicznych warunków gospodarowania, co nasuwa postulat ciągłości kierownictwa. Ciągłość tę osiągają gospodarstwa indywidualne dzięki pewnej tradycji gospodarowania przekazywanej w rodzinie. W gospodarstwach uspołecznionych wymagałoby to prowadzenia stałej ana-

lizy metod i wyników gospodarowania. Dane osiągane tą drogą stanowiłyby trwały dorobek gospodarstwa i powiększałyby jego wartość jako dobro niematerialne.

c) Trzeci postulat dotyczy zakresu uprawnień kierownika gospodarstwa. W rękach kierownika powinna mianowicie spoczywać inicjatywa i bezpośrednia dyspozycja dobrami wchodzącymi w skład gospodarstwa oraz prawo szybkiej decyzji.

d) Kierownik gospodarstwa powinien wreszcie odznaczać się pewnymi danymi zarówno moralnymi (pracowitość, zapobiegliwość, ustawiczna troska o dobro gospodarstwa), jak intelektualnymi (duża spostrzegawczość, żywa inicjatywa, elastyczność decyzji).

Szkodliwym przesądem jest więc przekonanie, że rolnictwo wymaga ludzi mniej inteligentnych i doświadczonych niż przemysł i rzemiosło. Przekonanie to pochodzi z zupełnego niezrozumienia funkcji człowieka w procesie produkcji rolnej, z patrzenia na rolnictwo jako na prostą, nieskomplikowaną, wyłącznie fizyczną pracę wykonawczą. Tymczasem sprawa wygląda zupełnie inaczej. Może to porównanie wyda się zaskakujące, ale istnieje pewna analogia między produkcją rolną a zautomatyzowaną produkcją w przemyśle. Jak wiadomo, automatyzacja jest w dużym stopniu naśladowaniem samoistnych procesów przyrodniczych, którymi właśnie posługuje się rolnictwo. Podobieństwo polega przede wszystkim na tym, że w jednym i w drugim wypadku znaczna część procesu produkcyjnego dokonuje się samoistnie, zgodnie ze z góry ustalonym planem, pod kontrolą człowieka. W wypadku jednak automatyzacji (i to jest jedna z różnic) proces produkcji opracowany został przez konstruktorów, tu zaś dokonuje się zgodnie z prawami natury. W jednym i drugim wypadku funkcja pracownika poza pewnymi pracami wykonawczymi sprowadza się do trzech czynności:

a) przygotowanie do produkcji potrzebnych materiałów (w rolnictwie: przygotowanie gleby, siew, dostarczanie paszy dla zwierząt),

b) czuwanie nad procesem produkcji i usuwanie przeszkód,

c) gromadzenie wyników produkcji i gospodarowanie nimi.

O trudnościach pierwszej z tych czynności wspominaliśmy wyżej mówiąc o konieczności równowagi w gospodarowaniu. W tej chwili interesuje nas szczególnie czynność druga, gdyż w niej tkwi główne podobieństwo między procesem przemysłowej produkcji zautomatyzowanej a procesem produkcji rolnej. Ale też tu tkwi główna różnica tych dwu procesów. Polega ona na tym, że kontrola procesu produkcyjnego jest trudniejsza w rolnictwie aniżeli w pro-

dukcji zautomatyzowanej, gdyż ta ostatnia jest z całą precyzją naukowo wypracowana, podczas gdy nie można tego jeszcze powiedzieć o rolnictwie. W wypadku produkcji automatycznej pracownik czuwający nad nią ma do dyspozycji precyzyjny system sygnalizacji, określający stan procesu produkcji i wskazujący jego niedomogi, podczas gdy czuwanie nad procesem produkcji rolnej wymaga ciągłych, skomplikowanych niekiedy obserwacji wielu szczegółów i objawów nieraz mało czytelnych oraz stawiania trudnych czasem diagnoz. Trzeba przy tym pamiętać, że podział pracy, pomyślany jako rozdzielenie czynności wykonawczych, kierowniczych i kontrolnych, nie może być w rolnictwie sensownie przeprowadzony do końca. Tylko bowiem połączenie tych funkcji pozwoli na dobre i owocne ich wykonywanie. Nie można więc prowadzić gospodarstwa naszego typu od zielonego stolika ani nawet z motocykla lub samochodu kierownika czy agronoma. Nie tylko zatem każdy pracownik rolny powinien być zainteresowany w wynikach produkcji (to jest warunek podstawowy), lecz także każdy powinien posiadać pewien zakres wiedzy rolniczej oraz (po tym, cośmy powiedzieli, jest to oczywiste) pewien zakres doświadczenia rolniczego.

Nie tylko więc kierownik gospodarstwa, ale każdy pracownik musi być przystosowany do specyfiki pracy w rolnictwie. Używamy terminu „przystosowany", gdyż chodzi tu nie tylko o pewien zakres umiejętności, ale i o przystosowanie psychologiczne.

Na czym polega bowiem szczególny charakter pracy na roli?

a) Praca ta nie daje się standaryzować ani co do jakości (nie można sprowadzić funkcji pracownika do jakiegoś uproszczonego wykonawstwa), ani co do czasu trwania (praca ta wymaga ciągłego czuwania i pogotowia), ani co do natężenia (obok okresów małego nasilenia prac istnieją okresy wymagające paroksyzmu pracy).

b) W produkcji rolnej, także w zakresie wykonawstwa, podobnie jak np. w rzemiośle ogromną rolę odgrywa tradycja, która jako przedłużone doświadczenie umożliwia zdobycie pewnych tajemnic produkcji.

c) W pracy w rolnictwie niepoślednią rolę odgrywa zaangażowanie uczuciowe, jakie musi towarzyszyć trosce o istoty żywe, pielęgnacji roślin i zwierząt. Ten motyw działania może być w wielu wypadkach stawiany na równi z bodźcami ekonomicznymi, a nawet bywa od nich silniejszy.

Rozważania nasze prowadzą, jak widzimy, do wniosku o doniosłej roli człowieka w produkcji rolnej, niezależnie od tego, jaką by była jego funkcja w procesie produkcji. Powiedzieliśmy, że za-

gadnienie to muszą dostrzegać nie tylko technologowie i organizatorzy produkcji, lecz także ekonomiści. Nie jest to bowiem tylko problem siły roboczej ujmowanej ilościowo. Nie jest to także jedynie zagadnienie organicznego składu kapitału w rolnictwie ujmowane w aspekcie wzajemnej komplementarności i substytucyjności człowieka i maszyny — czym zwykli się ekonomiści wyłącznie zajmować. Nie jest to nawet wyłącznie problem kadr fachowców, wyszkolonych dla rolnictwa, którzy by kierowali produkcją i służyli wskazówkami. Jest to, ogólnie mówiąc, problem stanu i rozwoju kultury rolniczej społeczeństwa. Na kulturę tę składa się szereg czynników. Wymienimy tylko najważniejsze:

a) Dorobek naukowy (oryginalny lub przyswojony) w zakresie agrobiologii, agrotechniki oraz organizacji rolnictwa.

b) Stan popularyzacji tegoż dorobku i oświaty rolniczej w kraju. Chodzi nie tylko o liczbę wyszkolonych fachowców, ale także o zakres stosowania zdobyczy nauk rolniczych.

c) Doświadczenie i tradycja rolników i środowisk rolniczych.

d) Stopień uczuciowego związania rolników z ziemią, ich zawodem oraz wykonywaną przez nich pracą.

Cały ten dorobek kultury rolniczej jest dobrem, które stanowi *imponderabile*, ale pomimo to należy go uwzględnić we wszystkich kalkulacjach, przewidywaniach i planach ekonomicznych. Nie można też stracić go z oczu w całej polityce gospodarczej w zakresie rolnictwa.

Stan kultury rolniczej danego społeczeństwa może być ujmowany w dwu aspektach:

a) kultura jako wytwór,

b) kultura jako uczestnictwo poszczególnych osób w dorobku kulturowym.

W kulturze rolnej rozumianej jako wytwór można by jeszcze wyróżnic dwa działy: to, co jest dorobkiem naukowym, oraz to, co jest wiedzą pozanaukową, zdobytą w drodze doświadczeń i przekazywaną tradycyjnie. Rozwój dorobku naukowego nie spowoduje bynajmniej zaniku tego drugiego działu, lecz będzie ciągle przezeń uzupełniany, choć może, w miarę rozwoju nauk rolniczych, w coraz to mniejszym stopniu.

W świetle tych rozważań spróbujmy uzupełnić podaną w toczącej się dyskusji o rolnictwie listę przyczyn niedomagań naszej produkcji rolnej. Niedomagania te zaznaczyły się zarówno w gospodarstwach indywidualnych, jak w PGR-ach i spółdzielniach produkcyjnych,

choć nie zawsze z dokładnie tych samych przyczyn. Rozważmy je po kolei, rozpoczynając od gospodarstw indywidualnych:

a) Niemałą rolę odegrały tu migracje ludności w okresie powojennym. Ludzie, którzy zmienili miejsce zamieszkania, znaleźli się w nowych warunkach geograficznych (glebowych, klimatycznych etc.) i tu musieli zastosować nową, nie znaną sobie technikę uprawy. Autor niniejszego artykułu miał okazję obserwować np. Wołyniaków na Pomorzu Zachodnim, którzy wykazywali dużą nieporadność gospodarowania w nowych warunkach klimatycznych, a zwłaszcza glebowych i niejednokrotnie skarżyli się na to. Nawet przystosowanie się do nowych rozmiarów gospodarstw stanowiło dla tych ludzi pewną trudność, gdyż trzeba było wypracować nowe proporcje ich równowagi.

b) Druga przyczyna to odpływ najbardziej wartościowych i inteligentnych ludzi do przemysłu, na skutek czego wiele gospodarstw, pomimo pozornego dostatku ludności na wsi, było pozbawionych dostatecznej ilości umiejętnych pracowników. Problem ten przybrał podwójną postać:

1. Odpływ najbardziej wartościowych ludzi do miast.

2. Połowiczny odpływ do przemysłu przy pracy w rolnictwie na „półobrotach". Ludzie ci pracowali w rolnictwie tylko dorywczo „po fajerancie", co musiało wpłynąć ujemnie na stan prowadzonych przez nich gospodarstw powodując niepełne wykorzystanie ich zdolności produkcyjnych.

c) Trzecią przyczynę stanowił fakt, że gospodarstwa powstałe w wyniku parcelacji i akcji osiedleńczej pozakładali ludzie, którzy nigdy nie gospodarowali samodzielnie (fornale, komornicy). Gospodarstwa te musiały być częstokroć organizowane od podstaw, w trudnych warunkach ekonomicznych, bez szerszej pomocy kredytowej, a ich właściciele nie mieli doświadczenia w samodzielnym nimi kierowaniu. Jeżeli się jeszcze zwróci uwagę na to, że często gospodarstwa te — ze względu na ich rozmiary oraz zaopatrzenie w budynki i inwentarz — w ogóle nie były zdolne do samodzielnego istnienia, to będzie zrozumiałe, że uchwycenie koniecznego dla zdrowego ich rozwoju stanu równowagi było bardzo trudne zarówno z przyczyn ekonomicznych, jak z powodu braku przygotowania fachowego i doświadczenia nowych kierowników, a także z powodu braku dostatecznych bodźców ekonomicznych i emocjonalnych: ludzie, którzy na nich pracowali, nie wrośli jeszcze w ziemię i jej uprawę.

Analogiczne przyczyny, choć w nieco innych warunkach, oddziaływały także w Państwowych Gospodarstwach Rolnych:

a) Pierwsza i najważniejsza trudność, na jaką były narażone te gospodarstwa, to niestałość kierownictwa i personelu pracowniczego. Pociągało to za sobą w spotęgowanej formie te trudności, jakie przeżywały gospodarstwa prowadzone przez przesiedleńców i tych, którym przydzielono ziemię z parcelacji. Jeżeli dołączy się do tego stosowanie w PGR-ach małowartościowej, często niedbałej i pozornie tylko taniej pracy różnego rodzaju młodzieżowych, urzędniczych i robotniczych brygad ochotniczych, to mała wydajność tych gospodarstw stanie się zupełnie zrozumiała. Wszystkie te praktyki opierały się, jak wspomniałem, na błędnym przekonaniu, że w rolnictwie może pracować każdy. Produkcja rolna jest produkcją pierwotną z ekonomicznego punktu widzenia, ale z tego nie wynika, że jest albo że może być prymitywna z punktu widzenia technologii produkcji i że praca niefachowa nie może tu przynieść więcej szkody niż korzyści.

b) Druga trudność to brak dostatecznych bodźców ekonomicznych i emocjonalnych w PGR-ach. Jest to z jednej strony skutek płynności kadr, z drugiej natomiast poważnych niedomogów organizacyjnych.

c) Trzeci bardzo niebezpieczny szkopuł to centralizacja dyspozycji, która utrudniała, jeżeli nie uniemożliwiała, przywrócenie raz zachwianej równowagi tych gospodarstw. Centralizacja bowiem zacieśnia zakres dyspozycji kierowników gospodarstw przesuwając ją w ręce ludzi, którzy mają tylko luźny kontakt z bezpośrednim gospodarowaniem. Nawet gdybyśmy dysponowali najbardziej precyzyjnymi, naukowymi opracowaniami typów równowagi gospodarstw rolnych, to jednak takie przesunięcie dyspozycji byłoby nieuzasadnione i ze względu na zróżnicowane warunki lokalne powodowałoby w wielu gospodarstwach poważne szkody.

Proces kolektywizacji rolnictwa stwarzał dla produkcji rolnej nowe problemy, których znowu nie wolno było przeoczyć. Byłoby zapewne przedwcześnie mówić już o wszystkich ujemnych skutkach tego procesu w skali długich okresów czasu. Należy jednak zasygnalizować niebezpieczeństwa, które mogą zrodzić nowe trudności dla naszego rolnictwa, dla dalszego jego rozwoju, jeżelibyśmy przejęci na nowo entuzjazmem kolektywizacji zamykali na nie oczy. Oto one:

a) Proces kolektywizacji polega między innymi na tworzeniu nowych o wiele większych niż dotychczasowe gospodarstw, dla których trzeba wypracowywać nowe stany równowagi.

b) W nowych gospodarstwach nastąpi przemieszczenie i podział funkcji kierowniczych i wykonawczych, co może spowodować zniweczenie tradycji i doświadczeń, zwłaszcza w wypadku częstych zmian kierownictwa i jego arbitralnych decyzji.

c) W związku z reformą struktury rolnej następuje pewne przekształcenie a nawet zanik bodźców ekonomicznych, które mogą nie działać dość sprawnie. Istnieje niebezpieczeństwo także zaniku bodźców emocjonalnych.

Zabezpieczenie naszego rolnictwa przed tymi trudnościami jest poważnym zadaniem organizatorów rolnictwa, jeżeli przekształcenie struktury rolnej nie ma wpłynąć na ponowne pogłębienie kryzysu rolnictwa polskiego.

Należy wreszcie zasygnalizować jeszcze jedno niebezpieczeństwo, które dotyczy wszystkich rodzajów gospodarstw. Obserwujemy mianowicie proces przestawiania się niektórych gospodarstw na nowe rodzaje upraw i hodowli (rośliny przemysłowe, kukurydza). Lansowanie nowej uprawy — zwłaszcza na wielką skalę — winno się dokonywać ostrożnie i stopniowo. Wszelkie przesunięcia w rejonizacji upraw powinny poprzedzać troskliwe badania, odpowiednia akcja oświatowa oraz okresy uprawy eksperymentalnej. Pochopne i nieprzemyślane wprowadzanie nowych upraw na skalę masową może spowodować szereg, zupełnie zrozumiałych w świetle naszych rozważań, trudności.

Trudności zatem rolnictwa i kryzys produkcji rolnej, z którego zaczynamy powoli wychodzić, to nie tylko problem narzędzi, nawozów i rąk do pracy. Jest to problem funkcji człowieka w produkcji rolnej, zagadnienie poziomu kultury rolniczej naszego kraju. Gwałt zadany rozwojowi tej kultury musi zemścić się na wynikach produkcji. Troska o zapobieżenie dalszego jej niszczenia z jednej strony, a o jej odbudowę z drugiej, to jeden z warunków poprawy sytuacji w naszym rolnictwie.

Ks. Józef Majka

TEKSTY MSZALNE NA DZIEŃ ŚW. JÓZEFA, ROBOTNIKA

INTROIT. Mądr. *I oddała sprawiedliwym nagrodę za ich pracę, i prowadziła ich dziwną drogą, i była im we dnie zasłoną, a w nocy światłością gwiazd. Alleluja, alleluja.* Ps. *Jeśli Pan nie zbuduje domu, próżno pracowali, którzy go budują.*

MÓDLMY SIĘ: *Boże, Stwórco rzeczy, który rodzajowi ludzkiemu ustanowiłeś prawo pracy: udziel nam łaskawie, abyśmy za przykładem i wstawiennictwem św. Józefa wykonywali prace, które nam nakazujesz, i otrzymali nagrodę, którą nam przyrzekasz. Przez Pana.*

LEKCJA z listu św. Pawła do Kolosan. *Bracia: A panad to wszystko miejcie miłość, która jest węzłem doskonałości. A pokój Chrystusowy, do którego też wezwani jesteście w jednym ciele, niech z radością zamieszka w sercach waszych, i bądźcie wdzięczni. Wszystko, cokolwiek czynicie w słowie lub uczynku, wszystko w imię Pana Jezusa Chrystusa czyńcie, dziękując przez Niego Bogu Ojcu. Cokolwiek czynicie, z serca czyńcie jako Panu, a nie ludziom, wiedząc, że od Pana otrzymacie zapłatę dziedzictwa. Panu Chrystusowi służcie.*

ALLELUJA, alleluja. v. *W jakimkolwiek nieszczęściu wzywać mnie będą, wysłucham ich i zawsze będę ich opiekunem. Alleluja.*

v. *Spraw, św. Józefie, abyśmy pędzili nieskazitelne życie: które niech będzie całkowicie pod Twoją opieką. Alleluja.*

Z EWANGELII według św. Mateusza. *Onego czasu, Jezus przyszedłszy do ojczyzny swojej, nauczał ich w synagogach, tak że zdumiewali się i mówili: Skądże mu ta mądrość i moc? Czyż nie jest to syn cieśli i czyż matki jego nie zwą Maryja, a braci jego Jakubem i Józefem, Szymonem i Judą? A siostry jego czyż nie wszystkie znajdują się wśród nas? Skądże mu tedy to wszystko? i gorszyli się z niego. A Jezus rzekł im: Prorok bez czci jest tylko w ojczyźnie swojej i w domu swoim. I nie uczynił tam cudów wielu dla niedowiarstwa ich.*

OFERTORIUM. Ps. *A niech będzie jasność Pana, Boga naszego, nad nami i sprawy rąk naszych prostuj nad nami, i dzieła rąk naszych prostuj! Alleluja.*

SEKRETA. *Dary, które Tobie, O Panie, z pracy rąk naszych składamy, niech się staną, za przyczyną św. Józefa, zadatkiem naszej jedności i pokoju. Przez Pana.*

KOMUNIA. Mt 13, 54, 55. *Skądże mu ta mądrość i moc? Czyż nie jest to syn cieśli i czyż matki jego nie zwą Maryja? Alleluja.*

POKOMUNIA. *Te święte dary, O Panie, które spożywaliśmy niech uzupełnią, za wstawiennictwem św. Józefa, nasze działanie, a potwierdzą nagrody. Przez Pana.*

Teksty powyższe drukujemy zwłaszcza dla użytku tych czytelników, którzy nie mając nowych mszałów nie znają może tej wprowadzonej niedawno liturgii.

WACŁAW AULEYTNER

Z DZIEJÓW POGLĄDÓW NA PRACĘ

Ludzie wychowani w kręgu chrześcijańskiej tradycji nie zawsze zdają już sobie sprawę, jak wiele wartości intelektualnych i moralnych, dziś uważanych za naturalne i same przez się zrozumiałe, wniosło do skarbca kultury europejskiej chrześcijaństwo. Nie zawsze pamiętamy, że zawsze tak nie było, że trzeba było wielkiego wysiłku i poświęcenia, aby pokonać zdumienie i opór świata starożytnego wobec nowych idei. Warto więc nieraz „wracać do źródeł", warto konfrontować potoczne opinie współczesne i swoje własne ze starymi, lecz zawsze świeżymi i aktualnymi zasadami i przykładami pierwszych nauczycieli wiary i życia chrześcijańskiego.

*

By sobie zdać sprawę z tego, co chrześcijaństwo wniosło jako swój wkład do stosunku człowieka do pracy, trzeba spojrzeć na okres przedchrześcijański i na sposób ustosunkowywania ówczesnego świata do problemu pracy.

Można wyróżnić dwa nurty myśli przedchrześcijańskiej: pogański i żydowski wyrażony w księgach Starego Testamentu.

Od najdawniejszych czasów praca jest zjawiskiem powszechnym: polowanie, rybołówstwo, pasterstwo — to zajęcia zapewniające życie ludom pierwotnym. W miarę rozwoju umysłu człowieka i udoskonalania narzędzi, w miarę coraz większego uniezależniania się od przyrody i opanowywania jej, dokonuje się podział pracy na przyjemną i przykrą, na tę, którą wykonywali przywódcy rodowi, i tę, którą wykonywały kobiety i niewolnicy. Prace ciężkie, obarczone wielkim trudem i cierpieniem stały się udziałem pewnej tylko grupy ludzi zależnych, podczas gdy inne, przyjemniejsze, wymagające mniej wysiłku czy mniej monotonne, stały się przywilejem ludzi dysponujących własnością i innymi ludźmi. Powstaje i rozwija się niewolnictwo.

Powstaje wyraźny podział klasowy, którego wykładnikiem jest między innymi rodzaj wykonywanej pracy.

Wyraźnie można obserwować to na przykładzie Grecji.

Istnieją tam zajęcia szanowane i otoczone pogardą. Praca zarobkowa przystoi tylko warstwom niższym, ciężka praca fizyczna — przede wszystkim niewolnikom. Ich niekiedy straszny los nie budzi oburzenia ani współczucia — uznaje się go za rzecz naturalną. Nawet najwięksi myśliciele greccy nie mogą się uwolnić spod ciśnienia potocznych poglądów i wymogów ówczesnej gospodarki.

Ksenofont tłumaczy, że niewolników należy traktować z dobrocią, ale dozując umiejętnie uderzenia i pożywienie, by zapewnić sobie najwyższą wydajność pracy.

„Boski" Platon tak mówi o rolnikach i rzemieślnikach: „Uważa się ich za stan podły i wstrętny, a tym samym niegodny uczciwego człowieka." [1] Arystoteles sądzi, że niewolnik jest niezdolny do przeżycia szczęścia i skorzystania z wolności woli. Zastanawia się nawet, czy ma duszę. „Natura — dowodzi on — stworzyła osobny gatunek ludzi, niewolników, aby za nas pracowali." [2]

Nawet pisarze oceniający położenie niewolników jako nieludzkie uważają, że wypływa ono z natury, gdyż musi być ktoś, kto by spełniał najniższą pracę. Praca ręczna jest pewnego rodzaju wydziedziczeniem, które pochłaniając siły ludzkie przeszkadza im myśleć, rządzić i prowadzić wojny.

Tacy na przykład ludzie, jak Cicero czy nawet Seneka, opowiadali się jedynie za trochę lepszym traktowaniem niewolników podzielając poglądy ogółu w tym zakresie. [3]

Ciekawy był stosunek starożytności np. do produkcji artystycznej. W rozumieniu Greków występowały w niej jedynie trzy czynniki: materiał, praca i forma. Materiał w sztuce jest dany przez naturę, praca ma charakter zwykłej pracy ręcznej rzemieślnika wolnego lub niewolnego, a forma jest jedna i wieczna. Brak tu czwartego czynnika, jakim jest rola wolnej i twórczej jednostki.

Wszelkie uprawianie sztuk plastycznych jest nieskończenie niższe i nie nazywane właściwie wówczas sztuką w odróżnieniu np. od poezji, muzyki, nauki. Nie ma muzy, rzeźby czy malarstwa, choć istnieje np. Terpsychora — muza tańca, lub Erato — muza elegii.

Plastyka czy architektura — to praca fizyczna, ciężka i męcząca — jakże mogłaby nosić imię sztuki i mieć swą muzę?

---

[1] Platon, *Republ.* V, 495, VIII, 543. Cytuję wg Wł. Horowicza, *Prawdziwy katechizm polskiego robotnika*. Poznań 1906.

[2] Arystoteles, *Polit.*; I, 3, VII, 9. Jak w odnośniku 3.

[3] Por. o. H. Rondet T. J., *Eléments pour une théologie du travail*, „Nouvelle Revue Théologique", cz. I, styczeń 1955.

Stąd też rzemieślnicy-twórcy, artyści kochający swoją pracę, tworzący z potrzeby wewnętrznej, a nie tylko dla pieniędzy, nie byli bynajmniej w Grecji antycznej otoczeni takim szacunkiem, jakiego się można było spodziewać. Oni też należeli do warstwy niższej z racji swego zajęcia. Grecy bowiem, którzy ubóstwiali poetów, śpiewaków, myślicieli, długo do rangi zwykłych rzemieślników, trudniących się hańbiącą pracą fizyczną, zaliczali artystów, rzeźbiarzy czy malarzy, choćby najznakomitszych i najgenialniejszych. Byli to bowiem tylko *banausoi*, którzy zarabiają na życie pracą rąk. Człowiekowi szlachetnemu przystoi zajmować się uprawianiem mądrości, sprawami publicznymi, a nie zarobkową pracą fizyczną.

W zestawieniu z tymi zapatrywaniami interesująco przedstawiają się poglądy i obyczaje żydowskie.

Księgi Starego Testamentu, w których należy szukać początków teologii pracy, świadczą, że choć Izrael rozwijając się i żyjąc w swej epoce historycznej i będąc siłą rzeczy przez nią uwarunkowany, w pewnym zakresie przyjmował ogólny stosunek i pogląd na pracę panujący w czasach przedchrześcijańskich, to jednak trzymając się wiekowych tradycji związanych ze stworzeniem człowieka i wyznaczeniem mu przez Boga jego roli na ziemi ten stosunek pogański do pracy ludzkiej łagodził i w specyficzny sposób modyfikował.

Jaka była ta koncepcja pracy? Teologia pracy Starego Testamentu (jeśli można w ogóle mówić w tym czasie o teologii) zwraca przede wszystkim uwagę na pracę Boga.

W akcie stworzenia dokonanym przez Stwórcę, w owym „fiat" zawiera się z jednej strony wszechmocna, twórcza myśl Boga, dzięki której zjawił się wszelki byt bez jakiegokolwiek wysiłku ze strony Boga.

Bóg powiedział: „niech się stanie", i stał się świat.

„Pierwszy rozdział Księgi Rodzaju — pisze Rondet — wyraża towe wspaniałych słowach. Nie ma jednak w tym dziele stworzenia cienia wysiłku, zmęczenia ani walki. W odróżnieniu od kosmologii pogańskich, których ślady dostrzegamy w innych tekstach opowiadania, Księgi Rodzaju wskazują nam Boga stwarzającego świat samym aktem woli, jakby bawił się." [6]

Lecz z drugiej strony Bóg, mimo swej transcendencji w stosunku do świata przez siebie stworzonego, jest głęboko dla tego świata immanentny. Świat bowiem stworzony przez Niego jest dynamiczny

[4] W. Tatarkiewicz, *Skupienie i marzenie*, Kraków 1951, s. 25 i 26.
[5] W. Tatarkiewicz, dz. cyt. s. 21.
[6] Jak w odnośniku 3.

i Bóg w pewnym sensie, w każdej chwili jego istnienia, działa stwarzając go jakby na nowo. I w tym sensie Bóg pracuje.

Ta praca Boga wyraża się w rozwoju przyrody, lecz wysiłek i walkę, charakteryzujące tę pracę, daje się zauważyć przede wszystkim w ścieraniu się woli Boga z wolą wolnych Jego stworzeń — ludzi. Daje się to zauważyć na przestrzeni historii. Narzędziami tej „walki" w rękach Boga są patryarchowie, królowie, wojownicy, wodzowie, prorocy, całe ludy nawet. Ich rękoma, ich działalnością Jahwe napomina, wskazuje drogę, karze. Utrzymanie świata na drodze zaplanowanej przez Stwórcę jest jakby trudniejsze od jego poczęcia, wymaga trudu i wysiłku nawet od samego Boga. Bóg daje człowiekowi wolność, daje swym stworzeniom możliwość przeciwstawienia się woli Stwórcy. [7]

W księgach Starego Testamentu Stwórca jest porównywany często do ogrodnika, który zasadza winorośl ludzką w dobrze uprawianą ziemię, stwarza jej najlepsze warunki rozwoju, ta jednak opierając się, nie rozwija się zgodnie z wolą Bożą i nie przynosi spodziewanego plonu. Bóg walczy o plon jak najlepszy i karze za opór. Jahwe trudzi się i pracuje.

Punktem wyjścia biblijnej teologii pracy jest więc praca Boga. Na tej pracy Boga człowiek winien się wzorować, gdyż Stwórca stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo.

Bóg stworzył człowieka dając mu pełnomocnictwo czynienia sobie ziemi poddaną. „I wziął tedy Pan Bóg człowieka i postawił go w sadzie Eden, aby go uprawiał i aby go strzegł." [8]

Od początku stworzenia człowieka w planach Bożych jest praca ludzka; praca, która w warunkach czarownego ogrodu, w jakim mieszkali pierwsi ludzie, znajdujący się w stanie sprawiedliwości pierwotnej, pozbawiona była znamion trudu, zmęczenia i cierpienia. Ale rychło człowiek popełniając grzech pierworodny zasłużył na karę, stracił właściwości tego stanu.

Praca, która w raju była radosną realizacją planów Bożych, stała się ciężką, męczącą, zawody i cierpienia sprowadzającą działalnością. Praca jednak była i jest jednocześnie koniecznością, od której żadna jednostka ludzka uchylić się nie może.

Natura buntuje się przeciwko zbuntowanemu człowiekowi, dlatego praca jego nabiera cech walki, lecz mimo zaszłe zmiany człowiek jest nadal obowiązany — pod groźbą zatraty — kontynuować realizację Bożych planów, spełniać wyznaczoną mu w dziele stworzenia rolę.

---

[7] Izajasz 5; 1, 24, 5, 6, 9.
[8] Gen. 2; 15.

Uświadamiając sobie to swoje posłannictwo, świadomie wypełniając wolę Bożą, człowiek poza trudem i cierpieniem może znaleźć w pracy radość płynącą z poczucia, że dobrze wypełnia wolę Stwórcy, że dobrze wypełnia swe dzieło.

Oto założenia koncepcji pracy Starego Testamentu.

Jak założenia te jednak wyrażają się w historii Izraela wobec panującego wówczas wszechwładnie ustroju opartego na niewolnictwie, wobec pogardy dla ciężkiej pracy fizycznej? Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że postawa narodu żydowskiego nie była jednolita, że istniała stała walka o realizację założeń biblijnej koncepcji pracy, walka z wpływami starożytnego pogaństwa. Niemniej „doktrynalna linia", jeśli ją tak można nazwać, była jednoznaczna i nie nasuwa żadnych wątpliwości.

Społeczeństwo żydowskie, tak jak każde społeczeństwo ówczesne, składało się z ludzi bogatszych, właścicieli ziemi, stad, domów, niewolników nawet, oraz z ubogich, zarabiających ciężką pracą na życie, z panów i sług, z bardziej i mniej uprzywilejowanych. O ile w starożytnym pogaństwie stosunek do pracy fizycznej i tych, którzy ją wykonywali, był wyraźnie negatywny, w niewolniku i pracowniku fizycznym prawie nie widziano człowieka, traktowano go jak narzędzie, a pracą przez niego wykonywaną pogardzano, o tyle w obyczajach narodu wybranego stosunek do pracy fizycznej i ludzi ją wykonujących był zmodyfikowany dzięki wyraźnym postulatom zawartym w Piśmie św., postulatom stale przypominanym przez proroków. Stale podkreślano godność każdej pracy ludzkiej, nakazanej wszak człowiekowi przykazaniem danym na samym początku stworzenia przez samego Stwórcę, który sam dał i daje ludziom przykład, wykonując swoją pracę, swoje dzieło stworzenia.

Wynikiem ścierania się tych dwóch różnych poglądów był w życiu ówczesnych Żydów pewien kompromis. Kompromis ten wyrażał się ukształtowaniem zupełnie odmiennego stosunku do ludzi pracy i samej pracy w społeczeństwie żydowskim w porównaniu z ówczesnymi społeczeństwami pogańskimi.

Prawo mojżeszowe uznawało niewolnictwo, przeważnie w formie ochotniczej (Ex. 21, 7; Kapł. 21, 39), lecz stosunek do niewolników nie był tak nieludzki jak wśród innych ludów, szczególnie stosunek ten był wyraźnie łagodniejszy, jeśli chodzi o niewolników narodowości żydowskiej. Niewolnik-Żyd był jednak członkiem narodu wybranego, i z tym się liczono.

Gdy wojska babilońskie np. zagrażały Jerozolimie i innym miastom judzkim, król Sedekijan za radą Jeremiasza uczynił „przymierze ze wszystkim ludem, co był w Jerozolimie, wolność im ogłasza-

jąc, to jest aby każdy wolno puścił sługę swego i każdy służebnicę swoją, Żyda i Żydówkę, aby sobie nikt nie niewolił Żyda, brata swego." [9] Żyd, choćby ciężko pracujący, niewolny, był bratem, który w potrzebie stanie w obronie ojczyzny, czyli był w pewnym sensie obywatelem tej ojczyzny i musiał być traktowany jak człowiek.

U Żydów praca ręczna nie była w takiej pogardzie jak u pogan. W Starym Testamencie stale mówi się o najróżniejszych rzemieślnikach, pracownikach zarabiających pracą fizyczną na życie, i mówi się o nich z szacunkiem, jako o części narodu. Z tej części narodu pochodził niejeden król czy prorok. Księga Eklezjastesa zawiera bardzo ciekawe poglądy Żydów na problem pracy świadczące właśnie o wyżej wspomnianym kompromisie. Księga ta zawiera między innymi opis struktury zawodowej społeczeństwa. Wspomina ona z szacunkiem o pracy rolnika, stolarza, kowala. Wszyscy ci przedstawiciele zawodów są bardzo wysoko poważani, bo przecież bez nich nie można by zbudować miasta, odbyć podróży itd. Praca ta, chociaż ręczna, nie jest więc w pogardzie, lecz przeciwnie, jest chwalona. Niemniej wyżej ceni się pracę uczonego. Praca uczonego jest lepsza, wyższa, nieskończenie więcej warta. Uczony cieszy się, że jest niezależny, iż może nie pracować własnymi rękoma, że może pracą fizyczną nie zarabiać na życie. I tylko ludzie wykształceni, uczeni, są godni, by rządzić państwem izraelskim, dostąpić godności starszych narodu wybranego. [10]

Praca fizyczna i pracownik fizyczny mają swą godność, ale godniejsza człowieka jest m ą d r o ś ć, uprawianie zajęć intelektualnych.

*

W chrześcijańskiej nauce o pracy zawierają się postulaty Starego Testamentu, lecz jednocześnie pojawiają się elementy nowe. Podstawowym elementem, który wpłynął na nowe ujęcie stosunku do pracy, była miłość bliźniego; nadawała ona pracy charakter obowiązkowej służby bliźniemu, której konieczność płynie z nakazu miłości innej jednostki ludzkiej. Nawet ciężka praca jest odtąd zabarwiona radością z dobrze wypełnionej służby innemu człowiekowi, dokonanej w myśl Chrystusowego przykazania miłości.

Chrześcijaństwo od samego zarania swego istnienia rehabilituje pracę ręczną. Chrystus, syn Boży, był przecież pracownikiem fizycznym, pracował własnymi rękami w warsztacie ciesielskim. Dzia-

---

[9] Por. Jeremiasz 34; 6, 7, 8, 9.

[10] Księga Eklezjastesa — wg Rondeta — jak w odnośniku 3.

łał przede wszystkim wśród ludzi pracy, dobrał sobie współpracowników spośród ludzi świata pracy. Wiemy, że św. Paweł łączył swą działalność apostolską z pracą fizyczną, był tkaczem, szył skóry. Szczycił się tymi swoimi pracami wobec nawiedzających go ludzi. Nawet — jak mówił — po wzniesieniu go do „trzeciego nieba" wracał do obranego i wyuczonego w młodości zawodu. [11]

Przykład Chrystusa i przykład Pawła wpłynęły na wytworzenie się nowej postawy w stosunku do ludzi pracujących fizycznie, postawy całkowicie przeciwnej nieludzkim poglądom starożytnego pogaństwa. Chrystianizm bowiem od samego początku swego istnienia nie uznaje w ogóle systemu niewolnictwa jako systemu organizacji pracy. Rozumie on pracę jako obowiązek każdego człowieka, zrodzonego na świat, bez względu na to, czy jest biedny, czy bogaty. Pierwsi chrześcijanie odrzucają wszystkie społeczne przesądy zakorzenione w okresie niewolnictwa pogańskiego, dotyczące pracy i robotników. Wszyscy ludzie są równi wobec Boga i rodzaj pracy nie może nikogo hańbić. Kościół wówczas staje wyraźnie na platformie obrony praw ludzi pracujących ręcznie.

I. Giordani omawiając szeroko to zagadnienie pisze, że „Kościołowi wówczas chodziło głównie o pracę drobną i zastępy robotników o skromnych zarobkach, którym ich grosze wydziera wojna, biurokracja i dezorganizacja ekonomiczna. Pracę uznaje Kościół jako obowiązek; spełniać ją należy traktując ją jako *cnotę*. Jest ona sposobem zarobienia sobie wiecznych dochodów. Ekonomista ocenia pracę z punktu widzenia plonu bezpośredniego (natychmiastowego), chrześcijanin zaś bierze pod uwagę plon ostateczny, i w ten sposób włącza to pojęcie w teologię...

Dlatego zanim rozwiąże on problemy pracy w płaszczyźnie socjologicznej, rozwiązuje je na płaszczyźnie miłości. Trudzenie się jest ekspiacją i jest oderwaniem się od próżniactwa. Z punktu widzenia społecznego człowiek zarabia w ten sposób na chleb w pocie czoła, jak Bóg rozkazał, i dzieli się z braćmi całym zarobkiem albo jego częścią, aby utrzymać tych, którzy pracować nie mogą... praca pochodzi z woli Boga, który chciał człowieczej pilności dać materiał, w jakim mógłby się rozwijać. I w tym celu Bóg sprawił, że człowiek ma potrzeby. Potrzeba służy jako bodziec dla wynalazczości, aby człowiek mógł wyszukać sobie środki do życia." [12] Poglądy te uwydatniają się w licznych pismach ojców Kościoła.

[11] Dzieje Apostolskie — 18, 3, 20, 34—35.

[12] Igino Giordani, *The Social Message of the Early Church Fathers*, rozdz. XI.

Praca nadaje człowiekowi godność, nadaje prawo do korzystania z tych dóbr, które zdobywa; człowiek nie pracujący bowiem nie ma prawa do korzystania z tych dóbr, gdyż ich nie zdobywa. „Dobry robotnik — pisze Klemens Aleksandryjski — swobodnie bierze swój chleb, który jest zapłatą za jego trud, podczas gdy leniwy i opieszały pracownik nie śmie patrzeć swemu chlebodawcy w oczy.[13] W pierwszych wiekach chrześcijaństwa ustala się zwyczaj, że kiedy pielgrzym puka do wrót kościoła, daje mu się pomoc przez dwa lub najwyżej trzy dni, a potem należy go zatrudnić. Jeżeli zaś nie zna żadnego rzemiosła, krewni mają zatroszczyć się o to, aby znaleźć jakiś sposób uchronienia go od życia w próżniactwie. Chrześcijanin bowiem próżnujący znajduje się w sprzeczności wobec własnego kodeksu moralnego; nie idzie on za Chrystusem, lecz frymarczy Nim.

Tego rodzaju zwyczaj stanowi zdrowe, naturalne zabezpieczenie przeciwko próżniakom, którzy mogliby się wkraść pomiędzy wiernych i żyć swobodnie ich kosztem pod pretekstem miłosierdzia. Zwyczaj ten stanowi również dowód, jak wielkie znaczenie pierwsi chrześcijanie przywiązywali do wychowawczej roli pracy.

Uważali również, że praca z woli Boga jest środkiem zaopatrzenia człowieka w to, czego potrzebuje. Dlatego ma ona charakter społeczny. Owoce pracy bowiem należą do wszystkich, do wszystkich braci, do wszystkich ludzi. Z tego wypływa obowiązek dawania jałmużny. Praca w tym ujęciu nie ma już cienia charakteru służalczego lub hańbiącego w jakimkolwiek sensie, lecz jest ustanowionym przez Boga środkiem osiągania doskonałości, środkiem realizowania na ziemi Królestwa Bożego.[14]

Praca służy do tego, aby dostarczyć ludziom niezbędnych środków do życia, a nie bogactwa dla niego samego, ani też bogactwa dla przepychu i występków. Nadwyżka w owocach pracy należy do biednych. Ten, kto pracuje, aby być bogatym, nie pracuje dla celów chrześcijańskich. Klemens Aleksandryjski pisze np., że... „pościg za bogactwem — to wojna — a wojna wymaga wielkiego nakładu; ale pokój i miłość, ciche i proste siostry, nie potrzebują broni."[15]

Obowiązek pracy u pierwszych chrześcijan dotyczył nie tylko świeckich, ale podlegali mu nawet duchowni, nawet biskupi. Praca przez nich wykonywana jest też traktowana jako pewnego typu forma apostolstwa. Superior „Małych Braci", Ojciec Voillaume,

---

[13] Klemens Aleksandryjski, hom. XXXIV, 1.

[14] Igino Giordani, dz. cyt. rozdział XI.

[15] Klemens Aleksandryjski, rozdz. I, 12 (cytuję za Giordanim z jego książki jak w odnośniku 12).

który prowadził szerokie badania w tym zakresie, zwraca uwagę właśnie na to ciekawe zagadnienie.

Wszyscy Ojcowie podkreślali tę sprawę dobitnie. Paulin, Augustyn, Epifaniusz, Hieronim, Jan Chryzostom i wielu innych, nawiązując do przykładu św. Pawła, przytaczają nawet biskupów, którzy własnymi rękami zarabiali „na strawę i odzienie". Konstytucje apostolskie w IV wieku twierdzą, iż apostołowie powinni zarazem wiernie głosić Ewangelię i własnoręcznie zarabiać na życie. Jedni byli rybakami, inni wytwórcami namiotów, inni znów rolnikami. Czwarty Sobór Kartagiński nakazuje duchownym, nawet uczonym, zarabiać na życie pracą. Każdy duchowny, fizycznie zdolny do pracy, był obowiązany wyuczyć się jakiegoś rzemiosła. Niemniej praca nie powinna była być uprawiana z uszczerbkiem dla obowiązków duszpasterskich, zasadę tę będzie głosić i wczesne średniowiecze. Można przytoczyć między innymi poglądy wyrażone na II Soborze w Tours, który nakazuje „wszystkim duchownym zarabiać na życie i odzienie przez wykonywanie zawodu". Zawody te bywały bardzo różnorodne, jeśli sądzić na podstawie orzeczeń niektórych synodów zakazujących duchownym wykonywania pewnych zawodów, uważanych za nieodpowiednie. Kapitularz mantuański z VIII wieku wspomina nawet o publicznych robotach przy budowie dróg i mostów, w których — zarówno w myśl prawa, jak i przyjętych zwyczajów — duchowni byli obowiązani brać udział na równi z innymi obywatelami.

Jak już było powiedziane wyżej, chrześcijaństwo pierwszych wieków stało wyraźnie na stanowisku równości wszystkich ludzi, z drugiej strony jednak na skutek swej bazy społecznej, w której przede wszystkim się rozwijało, miało raczej charakter „proletariacki". Kościół zrodził się i rozwijał najszerzej wśród warstw biednych, nie uprzywilejowanych, wśród ludzi pracy fizycznej, wśród niewolników, i to mu nadawało wówczas specyficzny charakter społeczny.

Kościół też od zarania swego istnienia musiał walczyć z atakami obrońców starego porządku, którzy nie mogli znieść tego właśnie „proletariackiego" charakteru chrześcijaństwa pierwszych wieków.

Bardzo wiele mówiąca jest tu dyskusja między pogańskim apologetą Celsusem i Orygenesem. Celsus chciał zniesławić chrystianizm po prostu przez wykazanie, że wywodzi on się z ubogiej Judei, a nie świetnej Grecji czy Rzymu, ze środowiska biednych rzemieślników, a nie spośród arystokracji, z bogaczy lub filozofów.

Jezus — twierdził Celsus — który uchodził za króla i mówił stale o jakimś królestwie, „wędrował jak żebrak zastraszony, po prośbie,

pełen nędzy", a wreszcie zebrał sobie „grupę dziesięciu czy jedenastu gwałtowników o złej sławie i rybaków, którzy zajmowali się jakimiś ciemnymi interesami, i potem chodził wraz z nimi tu i tam, usiłując zdobyć dostateczną ilość pożywienia pośród tych niedostatków i hańby." [16]

Orygenes odpowiedział na to z mocą uderzając właśnie w zdegenerowane stosunki społeczne i poglądy nie dozwalające widzieć pełnowartościowego człowieka w pracującym fizycznie mieszkańcu Palestyny. „Nasz Jezus — powiedział — którym pogardzacie za to, że urodził się w małej wiosce, nie helleńskiej nawet ani też z żadnej innej świetnej narodowości, i którego zniesławiacie dlatego, że jest synem matki ubogiej i ciężko pracującej i że z powodu głodu musiał opuścić kraj i udać się do Egiptu, by tam zarabiać na życie... ten Jezus potrafił wstrząsnąć całym światem zamieszkałym, nie tylko bardziej niż Temistokles z Aten, ale nawet więcej niż Platon czy Pitagoras albo jakikolwiek inny filozof, król czy generał tego świata." [17]

Tak więc chrześcijanie owych czasów nie tylko nie zapierali się i nie wstydzili tego swego „proletariackiego" pochodzenia, ale nawet chlubili się nim uważając, że jeśli było ono godne Jezusa Chrystusa, to jest godne każdego człowieka.

*

Po św. Pawle chyba św. Augustyn najbardziej przyczynił się do opracowania katolickiej koncepcji pracy. On to właśnie pokazał najjaśniej wartość pracy ludzkiej i jej godność.

Św. Augustyn pisząc o drodze człowieka do Boga podkreśla, że właśnie praca jest tym pierwszym momentem, dzięki któremu człowiek różni się od innych bytów, praca bowiem ma uzasadnienie w naturze człowieka. Pierwszym stopniem wielkości duszy ludzkiej jest jej zadanie polegające na ożywieniu ciała. Na drugim stopniu jest życie zmysłowe, ale oba te stopnie są równie właściwe zwierzętom i częściowo roślinom. Dopiero trzeci stopień jest naprawdę właściwy człowiekowi, a jest nim praca, która wyróżnia osobę ludzką spośród innych stworzeń. [18]

Św. Augustyn rozumie pracę dwojako. Zgodnie z naturą ludzką praca jest radosnym działaniem człowieka, współdziałaniem jego z Bogiem. Ale człowiek na skutek grzechu doprowadził do zepsucia swej natury, wprowadził do niej nieład. To skażenie odbija się

[16] Origenes, *C. Cels. I, 61, 62.*

[17] Origenes, *C. Cels, I, 29.*

[18] *De quantitate animae*, XXXIII, 70.

też na czynnościach człowieka, na jego pracy. Przestaje ona być wyłącznie radosnym działaniem, jest obciążona przykrością i trudem. Jest to winą grzechu ludzkiego, a nie naturą pracy.

Praca jest właściwa każdemu człowiekowi, w tym się objawia równość ludzi. I nie taka czy inna praca, jak chcieli starożytni, stanowi o mniejszej czy większej wartości lub znaczeniu człowieka. Niewolnictwo opierające się właśnie o zróżnicowanie wartości człowieka w zależności od wykonywanej pracy nie jest zgodne z naturą i jest wynikiem grzechu, wynikiem odwrócenia się od Dobra Najwyższego. Każda praca bowiem ma równą wartość a jej godność płynie z tego, że wykonuje ją istota obdarzona naturą rozumną. Św. Augustyn bardzo wyraźnie pochwala pracę fizyczną. Praca ta według niego ma olbrzymie znaczenie wychowawcze. Dusza ażeby mogła należeć do Boga, musi wpierw zapanować nad całym światem cielesnym. Właśnie praca, zwłaszcza fizyczna, daje okazję podporządkowania władzom duchowym tego, co cielesne. Dlatego to praca nie może być pojęta jako kara, gdyż z woli Stwórcy ma się przyczynić do doskonalenia człowieka. Praca spełnia szereg zadań indywidualnych i społecznych. A więc do jej zadań indywidualnych należy utrzymanie człowieka przy życiu i wychowawcze oddziaływanie na człowieka zarówno od strony jego duszy, jak i ciała. Do zadań zaś społecznych przede wszystkim zaliczyć należy czynną realizację miłości bliźniego.

Rozważania o pracy rozrzucone są w szeregu pismach św. Augustyna. Zaszedł jednak wypadek, który skłonił go do napisania specjalnego dziełka na ten temat. Oto zgromadzeni w pewnym klasztorze w Afryce zakonnicy odmawiają wykonywania prac ręcznych. „Przyszliśmy tu dla modlitwy — mówią oni — niechaj ludzie ze świata, za których się modlimy, podejmą staranie o przyodzianie nas i zapewnienie nam egzystencji. Opatrzność Boża pomyśli o wyżywieniu ptaków niebieskich". Ale druga część zakonników przeciwstawia się temu powołując się na przykład św. Pawła. Św. Augustyn, któremu powierzono przywrócenie pokoju w owym zgromadzeniu, przyznaje rację tym ostatnim. Sprawę jednak traktuje bardzo poważnie uważając, że ma ona charakter ogólniejszy niż wewnętrzny spór jednego klasztoru. Pisze więc dziełko *De opere monachorum*. Pogarda dla pracy części zakonników wyżej wymienionego klasztoru skłania św. Augustyna do ostrych słów nagany. Nie wolno im pozostać bez pracy, skoro nie wykonują nic innego pożytecznego dla społeczeństwa. Nie po to pozostają zakonnikami, aby próżnować, ale właśnie ma łączyć ich wspólnota pracy i modlitwy. Bo pracę fizyczną doskonale można łączyć z modlitwą. Św. Paweł pracował

ręcznie, a głosił Ewangelię całemu światu i umiał te sprawy doskonale połączyć. Święty Doktor zauważa, że gdyby nie było Chrystusa, niejeden z tych leniwych mnichów byłby z pewnością niewolnikiem w świecie. Wreszcie mówi, iż jeżeli Bóg troszczy się o ptactwo niebieskie, to jednak nie żywi go w klatkach. [19]

Społeczność chrześcijańska, a tym bardziej zakon, nie może być zrozumiała bez miłości czynnej Boga i bliźniego. Te same zajęcia, jakie zakonnicy wykonywali przed wstąpieniem do klasztoru, powinni dalej spełniać dla dobra wspólnego i to, co wspólnie wyprodukują, powinno być ich wspólną własnością, z tego też powinni utrzymywać klasztor. Właśnie ta wspólna praca winna stać się podobną zakonnej społeczności. Nawet modlitwa takiej pracującej społeczności staje się bardziej wartościowa. Modlitwa i praca, najlepiej fizyczna — oto zadanie zakonników, którzy też wynikami swej pracy powinni służyć potrzebującym bliźnim.

Przy tej sposobności św. Augustyn rozważa problem pracy na tle hierarchii wartości. Czynnością, jaką człowiek przyczynia się do powstawania różnego rodzaju dóbr doczesnych, jest praca i w zależności od tego, czy dobra te pozostaną na właściwym miejscu w hierarchii wartości, czy też zostaną ocenione fałszywie, będzie można wartościować pracę, która je wytworzyła. Jeśli więc dobra te będą tylko wyrazem np. chciwości bogacenia się — praca dla nich będzie czymś niegodnym. Natomiast jeśli dobra te będą służyć człowiekowi i społeczeństwu, tak jak służą dobra kulturalne, dla udoskonalenia jednostki czy społeczności, o ile będą one stopniami w dążeniu do Boga, wtedy praca nabiera pełnej godności i wartości. [20]

*

Na tych zrębach późniejsi myśliciele chrześcijańscy budowali dalej filozofię i teologię pracy. Mimo poważny ich rozwój czasy dzisiejsze domagają się chyba większego zwrócenia uwagi na problematykę pracy. Nowoczesna technika produkcji przemysłowej stworzyła nowe zupełnie zagadnienia i trudności dostarczające ekonomistom, socjologom i psychologom tematów do rozległych studiów. Należy dołożyć wszelkich starań, aby nie zabrakło wśród nich moralistów, którzy opierając się o stare zasady myśli chrześcijańskiej (tak bardzo już „zbanalizowane", a tak mało doceniane i praktykowane) potrafiliby wnieść nowy punkt widzenia nadający badaniom tym głębszą jedność i głęboki humanistyczny sens.

Wacław Auleytner

---

[19] o. H. Rondet, dz. cyt., cz. II, „Nouvelle Revue Théologique", luty 1955 r.
[20] Por. ks. W. Zdaniewicz, *Filozofia pracy św. Augustyna*, 1957, maszynopis.

ŚWIĘTY AUGUSTYN O PRACY

I wziął Pan Bóg człowieka, którego uczynił, i posadził go w raju rozkoszy, aby uprawiał i strzegł go. I rozkazał Pan Bóg Adamowi, mówiąc: z wszelkiego drzewa w raju będziesz pożywał, ale z drzewa wiadomości dobrego i złego jadł nie będziesz. Tego bowiem dnia, którego pożywać będziecie z onego drzewa, śmiercią pomrzecie. *Gdy pisarz powyżej krótko stwierdził, iż Bóg zasadził raj rozkoszy i sprowadził tam człowieka, którego uczynił — opowiedział przede wszystkim, w jaki sposób raj został założony. Teraz zaś pisarz natchniony zwraca głównie uwagę, w jaki sposób Bóg umieścił tam człowieka. Zobaczmy przeto, co oznacza to powiedzenie: aby uprawiał i strzegł. Cóż miał człowiek uprawiać i czego miał strzec? Czyż może chciał Pan, ażeby pierwszy człowiek uprawiał ziemię? Czyż jest do uwierzenia, ażeby jeszcze przed upadkiem skazał człowieka na pracę? Słusznie moglibyśmy tak pytać, gdybyśmy nie widzieli, z jaką radością ducha zajmują się niektórzy uprawą ziemi tak że karą byłby dla nich brak tego zajęcia. Jeżeli więc teraz tyle uciechy sprawia uprawianie ziemi, ileż więcej musiało dawać radości, gdy nie był jeszcze naruszony porządek tak w sprawach ziemskich, jak i niebieskich. Praca bowiem nie była wtedy czymś uciążliwym, ale owszem, była ku rozradowaniu człowieka. Wszystko, co Bóg stworzył, właśnie dzięki pomocy i współpracy człowieka wzrastało bardziej obficie i żyźnie. Przez to samo wzrastała chwała Stwórcy, który duszę, przebywającą w ożywionym ciele, obdarzył władzą i mocą pracowania, z której miał człowiek korzystać, na ile odpowiadało*

to jego duchowi, nie zaś na ile zmuszała go do tego — wbrew jego zadowoleniu — potrzeba ciała.

(De Genesi ad Litteram, lib. octavus, c. VIII, 15; Migne, *Opera S. Augustini*, III, 379).

*

Dla miłości tego świata oddają się ludzie wszelkim zajęciom. Ty jednak we wszystkich dobrych dziełach oddawaj się pracy nie dla miłości tego świata, ale dla wiekuistego pokoju, jaki Bóg obiecał.

(Sermo IX, c. IX, 13; Migne, *Opera S. Augustini*, V, 85).

*

Przeciw Apostołowi Chrystusa, który mówi: kto nie chce pracować, niech nie je... powołują się (niektórzy) na Chrystusa Ewangelię... Twierdzą, że nie powinni pracować, ponieważ i ptaki niebieskie, o których mówi Pan w przypowieści, nie sieją ani nie żną. My również nie powinniśmy myśleć o tego rodzaju potrzebach. Dlaczego jednak nie zwracają uwagi na słowa następne? Nie tylko bowiem powiedziane jest: „nie sieją ani nie żną", lecz dodane jest: „ani nie zbierają do spichlerzy". Dlaczegóż więc oni chcą mieć ręce bezczynne, a pełne spichlerze? Gdy z powodu słabości lub innego zajęcia nie możemy pracować, będzie nas Pan żywił i odziewał, jak ptaki i lilie... gdy jednak możemy, winniśmy nie kusić Boga naszego, ponieważ sama możność pracowania jest Jego łaską...

(De opere monachorum, 4. 15. 20. 27. 35; *Corpus scriptorum ecclesiasticorum latinorum*, Sectio V. pars 3. vol. XXXXI, s. 531—595).

STEFAN WILKANOWICZ

NOTY O TECHNOKRATACH

Odwykliśmy już nieco od rozdzierania szat nad spowodowanym przez technikę upadkiem kultury, jak również nie bawią nas pryncypialne tyrady dowodzące, że technika „sama w sobie" nie jest wynalazkiem szatana ani źródłem nieszczęść współczesnych. Ogólnikowe utyskiwania nie odznaczają się skutecznością, obrona techniki nie wydaje się potrzebna, a z drugiej strony trafiające się tu i ówdzie romantyczne apologie „ery techniki" nawet w epoce rakiet i sztucznych księżyców wywołują lekki uśmiech politowania. Surowe doświadczenia XX wieku nauczyły nas ostrożności i umiaru — jeśli nie sceptycyzmu — a poza tym wytworzyły potrzebę konkretu, nieufność wobec łatwego uogólnienia. Ale w głębi serca tęsknimy za wnioskami ogólnymi i zasadniczymi tezami, które pozwoliłyby nam z r o z u m i e ć nasze czasy, a nie tylko d o s t r z e g a ć — choćby najbardziej wiernie i dokładnie — kłębowisko nękających nas problemów.

Niewielka książeczka Daniela Bella [1] w świetny sposób spełnia te postulaty. Nie jest to żaden traktat — ot, bezpretensjonalne szkice, luźne noty. Ale jak to jest zrobione! Na pierwszy rzut oka robi nawet wrażenie składanki nagich faktów, ciekawostek, anegdot, cytatów powiązanych od niechcenia gawędziarskimi rozmyślaniami autora. Lecz te fakty jednostkowe zawsze pełnią funkcję sygnałów pokazujących tendencje ogólne lub zasady, z których wynikają. Całość zaś cechuje niewątpliwie duży ład myśli przy pozornie bałaganiarskim wyglądzie zewnętrznym.

Ale czas zabrać się do meritum sprawy. „Patriarcha nowoczesnej reformy, Jeremy Bentham, przez niemal dwadzieścia lat swego pracowitego życia zużywał wiele energii opracowując w najdrobniejszych szczegółach plan doskonale wydajnego więzienia. Miało to być słynne p a n o p t i c o n, budynek w kształcie gwiazdy, skonstruowany tak przemyślnie, że każdy więzień spędzałby życie w stałej samotności, a jednak pozostając bezustannie pod nadzorem strażnika, ustawionego w cen-

---

[1] Daniel Bell, *Work and its Discontents*, Boston 1956, Beacon Press. Przekład polski wyd. Instytut Literacki, Paryż 1957.

trum" — tak zaczyna autor swe rozważania. Tę pasję ładu ojca utylitaryzmu łatwo przyjęli „wzorowi" (czyli wrażliwi jedynie na sprawę wydajności) inżynierowie, zakładając przedsiębiorstwa oparte o trzy gatunki technicznej logiki: logikę rozmiarów, logikę metrycznego czasu i logikę hierarchii. „Logika rozmiarów" prowadziła do zakładów — gigantów (nikt nie brał pod uwagę kosztu dojazdów do miejsca pracy ani społecznych skutków zagęszczenia ludzi — to przecież nie obciążało bezpośrednio budżetów przedsiębiorstw). „Logika metrycznego czasu" negowała indywidualny sposób przeżywania czasu jako *durée*, trwanie; negowała zindywidualizowane potrzeby psychiczne człowieka. Wierzyła w absolutną wymierność pracy, w możność rozłożenia jej na części składowe — atomy i operowanie nimi w oderwaniu od pracownika. Jak do tego doszło? Roger Burlingame, biograf Taylora, pisze o nim, że jeszcze w dzieciństwie rozbił swój świat na najmniejsze cząstki składowe. Grając w krokieta męczył swoich towarzyszy obliczając kąty swoich uderzeń. Chodząc, liczył kroki, aby nauczyć się, jak maszeruje się najbardziej wydajnie... Nigdy nie był bezczynny i doprowadzało go do wściekłości, jeżeli zauważył czyjąś bezczynność.

Rozłożywszy pracę ładowacza rudy na najprostsze elementy i opracowawszy je w najbardziej racjonalny sposób, Taylor spowodował w pewnym wypadku wzrost dziennej wydajności z 12 na 47 ton. To otworzyło nową epokę w organizacji pracy. Zdawał sobie zresztą sprawę z jej kosztów: „Od człowieka, który ma być zatrudniony na stałe przy rudzie żalaznej — pisał — należy przede wszystkim wymagać, aby był tak głupi i flegmatyczny, że przypomina raczej wołu niż jakikolwiek typ ludzki".

Następnym reformatorem był Gilbreth, który oderwał ruchy ludzkie od osoby robotnika, wydzieliwszy osiemnaście zasadniczych jednostek kinetycznych. Z nich składa się każda praca fizyczna. Każdą pracę można i należy zracjonalizować w oparciu o te podstawowe elementy. Wreszcie Charles Bedeaux wprowadził jednostkę, mającą służyć do mierzenia siły ludzkiej („jest to ułamek minuty pracy plus ułamek minuty odpoczynku zawsze łączące się w jedno, ale występujące w różnych proporcjach, zależnie od natury wysiłku"). Stworzony w oparciu o ten miernik system płac, uwzględniający w każdej czynności proporcję czasu wytchnienia do czasu pracy, był już stosowany w 720 koncernach amerykańskich. W końcu jednak (w czasie drugiej wojny światowej) poniechano go m. in. wskutek zaciekłego oporu związków zawodowych.

Ale nie zahamowało to jeszcze dalszego pędu w tym kierunku. Zawarta w 1946 r. umowa pomiędzy *US Steel Corporation* a *C. I. O. Steel Workers*, określa „przyzwoity dzień pracy jako tę ilość pracy, jaką może

wykonać kwalifikowany pracownik w normalnym tempie... normalne tempo równoznaczne jest z marszem człowieka, bez obciążenia, po gładkim, równym terenie, z szybkością trzech mil na godzinę". Tak określonym wydatkiem energii usiłowano mierzyć „energochłonność" każdej pracy. Badania „energochłonności" i techniki wykonywania poszczególnych czynności rozrosły się w Stanach Zjednoczonych do rozmiarów trudnych do wyobrażenia. Rekord w tej dziedzinie pobiła chyba *Aluminium Corporation of America* opracowując metodę pozwalającą uchwycić nawet drobne odcienie zręczności przy wykonywaniu różnych robót i ująć naukowo różnice w zarobkach. Przebadanie 56.000 robót zajęło tu trzy i pół roku i kosztowało 500.000 dolarów. Końcowe równanie operuje 59 zmiennymi. Na wyprowadzenie go trzeba było 35 godzin pracy mózgu elektronowego *Univac*, co kosztowało 10.000 dolarów. Otrzymana formuła jest, zdaniem jej autorów, po prostu „matematycznym narzędziem do rozstrzygania codziennych problemów płacy, racjonalnie i bez dyskusji".

Trzecia wreszcie logika, „logika hierarchii", prowadziła do wytworzenia się swoistej struktury społecznej w przedsiębiorstwie. Fragmentaryzacja pracy spowodowała konieczność precyzyjnego ustalenia proporcji pomiędzy ilością pracowników wykonujących różne funkcje w związku ze zdolnością produkcyjną każdego z nich i właściwościami technicznymi współpracujących maszyn. W tradycyjnym przedsiębiorstwie troska o koordynację pracy spoczywała w znacznej mierze na samych pracownikach — w „zracjonalizowanym" obciążała wyłącznie kierownictwo. Problem ten — bardzo skomplikowany zwłaszcza w przedsiębiorstwach-gigantach — wywołał potrzebę ogromnej rozbudowy aparatu nadzoru i organizacji, powstania nadbudowy managerów. Wchłania ona całą pracę umysłową pozostawiając robotnikom jedynie wykonywanie powtarzających się w nieskończoność, zmechanizowanych ruchów. Poza pozbawieniem robotnika radości z pracy i odebraniem jej charakteru czynnika rozwijającego osobowość pracownika, ma to jeszcze dodatkowe skutki społeczne. Przyczynia się mianowicie do usztywnienia struktury społecznej poprzez utrudnienie zmiany zawodu i awansu społecznego. Wbrew legendzie datującej się z romantycznego okresu rozwoju amerykańskiego przemysłu, wbrew dość burzliwemu rozwojowi amerykańskiej gospodarki i wbrew powiększającym się chyba nawet zamiłowaniom do „koczowniczego" stylu życia, przejście od pracy fizycznej do umysłowej jest zjawiskiem w skali społecznej raczej rzadkim; także nieczęsto zmienia się zawód. Wiąże się to bowiem zwykle z koniecznością nabycia wykształcenia, co trwa długo i jest dość kosztowne. Łatwo jest więc skusić się wysokimi — jak dla początkującego — zarobkami w fabryce i w praktyce stracić szanse awansu.

Mimo ogromnego uprzemysłowienia pracownicy fabryczni stanowią właściwie tylko niewielką część społeczeństwa amerykańskiego. Mimo to jednak „fabryka jest niejako prawzorem, bo jej rytmy w niedostrzegalny sposób wpływają na ogólny charakter pracy w społeczeństwie, tak jak farba nasyca sukno" — pisze Bell. Wpływy zmechanizowanej fabrycznej metody pracy przenikają nawet do zajęć dawniej *par excellence* zindywidualizowanych: górnictwo, praca biurowa, handel upodabniają się coraz bardziej do pracy fabrycznej. Ona zaczyna nadawać charakterystyczne piętno całej cywilizacji, także i sztuce. Już w 1901 r. Frank Lloyd Wright pisał: „W maszynowym wieku... lokomotywa i motory wchodzą na miejsce zajmowane przez dzieła sztuki w dotychczasowej historii." Wzywał więc artystę XX wieku do włączenia maszyny w swój styl. Występując pod sztandarem funkcjonalizmu „Bauhaus" zwalczał sentymentalną i niepotrzebną dekoratywność; maszynę uważał za nowoczesny wyraz w plastyce.

To jeszcze nie wszystko: „...podobnie jak techniczny podział pracy, plastyka odrywała się od ludzkiego wymiaru i rozpadała się na fragmenty. Chrono-cyklografy Gilbretha, utrwalając na kliszy ruchy robotnika, chwytały abstrakcyjne krzywe ruchu oddzielone od ludzkiego sprawcy. Tak samo lotne wybuchy kolorów u Kandinskiego czy pieszczotliwe łuki u Klee oddzielały się od rozpoznawalnych przedmiotów i stawały czystą abstrakcją. „Akt schodzący ze schodów" Marcela Duchamp, obraz symboliczny dla buntu przeciwko akademizmowi, chwytał w swoich spazmatycznych oscylacjach sens ruchu, ale gubił po drodze kształt ludzki" — pisze Bell, powołując się na Giediona [1].

Wróćmy jednak do węziej rozumianych problemów pracy i zapytajmy, jakie można zaobserwować skutki działalności technokratów. Uznając doniosłość niezwykłego wzrostu wydajności pracy, powodującego nienotowany dotąd w dziejach wzrost dobrobytu, nie można jednak zamykać oczu na poważne trudności i niebezpieczeństwa, wiążące się zarówno z metodą osiągania wydajności, jak też z samym jej kultem.

Nużąca monotonia i bezmyślność „sfragmentaryzowanej" pracy nie tylko niweczy jej wartość „osobowościowo-twórczą" i odbiera radość, ale zdaje się również w jakiś sposób zagrażać równowadze psychicznej pracownika. Socjologowie i psychologowie zauważyli już od dość dawna, że robotnicy pracujący przy taśmie wszelkimi sposobami starają się wyzwalać z jej rytmu dążąc do rytmu własnego, zgodnego z ich psychofizyczną konstytucją, lub przynajmniej starają się w rozpaczliwy nieraz sposób złamać bezosobową jednostajność pracy i zamanifestować swój wpływ na jej tempo. Wyraża się to w „wyścigu z czasem" —

[1] Siegfried Giedion, *Mechanisation Takes Command.*

biegnięciu w górę taśmy, aby wykonawszy szybciej kilka czynności zyskać chwilę wytchnienia; w robieniu zapasu wykonywanych przedmiotów, aby zyskać pewną rezerwę czasu; wreszcie w pracy „na złamanie karku" całej brygady obsługującej taśmę, aby wcześniej wykonać dzienny plan produkcji i skrócić czas pracy.

Ale to wszystko nie wystarcza, aby przywrócić zadowolenie. Zadowolenia tego trzeba szukać poza pracą. Stąd stała walka o skrócenie czasu pracy. Stąd pęd do zabawy, wczasów, wyładowanie się w rozrywkach. Trzeba przecież wykorzystać każdą chwilę wolną od pracy, uwolnić się od niej psychicznie. „Pracujesz od niechcenia, baw się zaciekle" — głosi reklama samochodów Lincolna.

Potrzeba kompensacji, potrzeba sukcesu w zdobywaniu pewnego stylu życia jest też ważną przyczyną nikłej rewolucyjności amerykańskich robotników. Praca nie daje im zadowolenia ani dużych nadziei na osobisty sukces, ale daje stosunkowo dużo pieniędzy, a zatem możność dźwigania się w hierarchii społecznej poprzez nowoczesny domek, telewizory, lodówki, nowy model samochodu itp. Wydoskonalona sztuka sprzedaży stale podniecа nowymi atrakcjami w tej dziedzinie.

Może więc uznać sprawę humanistycznej wartości pracy za przegraną i nastawić się wyłącznie na poszukiwanie humanistycznej wartości rozrywki? Były i takie głosy. Niemniej nie wszyscy dają za wygraną, czasami zaś trafiają na nieoczekiwane możliwości. Taką niespodzianką stała się idea określana zwykle terminem-sloganem *human relations*. O cóż tu chodzi?

„Twórcza satysfakcja, jaką dawało rzemiosło, przeminęła na zawsze i nikt jej nie potrafi przywrócić. Gdyby jedynie taki rodzaj satysfakcji ludzie czerpali ze swojej bezpośredniej pracy, praca z pewnością byłaby jałowym przeżyciem. Jednakże istnieją dzisiaj inne, istotne źródła zadowolenia, płynące ze stowarzyszenia się ludzi i z rozwiązywania technicznych oraz ludzkich problemów pracy" — pisze socjolog z *Cornell University*, prof. William F. Whyte.

Jest to opinia charakterystyczna dla poważnej grupy amerykańskich socjologów. Nie chodzi tu zresztą o samo zadowolenie pracowników przedsiębiorstwa. Problem leży głębiej: nasze czasy — zdaniem Durkheima i jego zwolenników — charakteryzują się przewagą dezintegracyjnych procesów społecznych. Rodzina uległa rozpadowi, słabną więzy sąsiedzkiej solidarności. Tylko w obrębie przedsiębiorstwa czy fabryki da się odtworzyć solidarność, więź społeczna. Stąd ważność socjologii przemysłu i jej badań. Zainteresowanie problemami *human relations* zaczyna się rozwijać w związku ze słynnym eksperymentem, przeprowadzonym w latach trzydziestych w zakładach *Western Electric Company* w Hawthorne. W poszukiwaniu dalszych możliwości zwięk-

szenia wydajności pracy przeprowadzono kilkuletnie badania, starając się uchwycić wpływ najrozmaitszych czynników. Rezultaty były nieoczekiwane. Okazało się, że w pewnym wypadku wydajność poważnie wzrosła mimo że wszystkie warunki zewnętrzne były wyraźnie nie sprzyjające. Zdecydowało jedno: zainteresowanie zespołu badanych pracownic samym eksperymentem. To otworzyło oczy na znaczenie czynników psycho-socjologicznych.

Doświadczenia *Western Electric* były punktem wyjścia dla licznych metod wykorzystywania tych czynników w organizacji i kierowaniu przedsiębiorstwem: od doradców („spowiedników") mających pomagać robotnikom w rozwiązywaniu ich problemów (a przy okazji odwracać uwagę od trudności i konfliktów związanych z pracą) do rozmaitych form „porozumienia" i „uczestnictwa" mających za zadanie wytworzyć u robotników przekonanie (mniej lub więcej nieuzasadnione), że są oni czynnikiem „współuczestniczącym" i współdecydującym w sprawach przedsiębiorstwa. Jednym słowem, rodzaj „psychologicznej waty" zamiast nagiego przymusu. Nie jest to oczywiście *panaceum* na wszelkie dolegliwości, ale niewątpliwie pewna zmiana na lepsze.

Zwolennicy tego rodzaju metod żywią przekonanie, że im lepsze jest samopoczucie robotnika, tym większa wydajność jego pracy. Czy nie trzeba więc ponownie opracować procesów pracy z nowego punktu widzenia jej walorów psychologicznych? Jeśli zbytnie rozdrobnienie czynności i przeorganizowanie męczy robotników, to trzeba operować większymi całościami i dać im więcej samodzielności. Nie jest to jednak takie proste. W pewnym wielkim towarzystwie ubezpieczeń przeprowadzono półtora roku trwający eksperyment mający sprawdzić tę tezę. Wyniki były jednak negatywne. Wprawdzie urzędnicy obdarzeni dość szeroką autonomią w organizowaniu pracy bardzo sobie to chwalili i wyraźnie bardziej lubili swą pracę niż ich koledzy rygorystycznie kierowani i nadzorowani przez dyrekcję, niemniej wyniki tych ostatnich były lepsze.

Przed inżynierami stosunków międzyludzkich stoi więc problem: co wybrać, czemu dać pierwszeństwo? Czy bezpośredniemu interesowi przedsiębiorstwa, czy dobru pracowników? Kto ma ponosić koszty: konsument czy robotnik? Bell nie daje na to pytanie odpowiedzi. Zaznacza tylko, że do tej pory zawsze i wszędzie pierwszeństwo dawano interesom przedsiębiorstwa (czyli pośrednio interesom konsumenta korzystającego ze zwiększonej produkcji). Wskazuje natomiast na automację, jako na lekarstwo, które w znacznej mierze złagodzi, jeśli nie usunie te bolączki. Co prawda wbrew nadziejom (a także ponurym przepowiedniom) niektórych, nie wywoła ona gwałtownej rewolucji. W chwili obecnej tylko niewielka ilość przedsiębiorstw może być zauto-

matyzowana; gdyby automację wprowadzić — nie licząc się z kosztami — wszędzie tam, gdzie może ona znaleźć zastosowanie, to dotknęłaby ona bezpośrednio tylko 8% robotników w Stanach Zjednoczonych. Rozwój jej — choćby ze względu na ogromne koszty inwestycyjne — musi być powolny. Dopiero wtedy, gdy nauczymy się budować zautomatyzowane fabryki mogące produkować r ó ż n e wyroby (dziś dla produkcji nowego modelu samochodu buduje się nową wytwórnię), można będzie myśleć o jej szerszym rozpowszechnieniu. Autor, który do tej pory starał się być bardzo trzeźwy i krytyczny, pozwala tu sobie na trochę entuzjazmu i fantazji, przewidując w związku z tym doniosłe przemiany społeczne. Niewątpliwie do najważniejszych należeć będzie ogromne ograniczenie bezmyślnej pracy w hali montażowej czy w biurze na rzecz wysoko kwalifikowanej pracy kierownictwa i nadzoru jak również możliwości decentralizacji przemysłu w związku z uniezależnieniem się fabryk od dużych skupisk siły roboczej. Wystąpią również zjawiska, których skutki mogą być niekorzystne społecznie — np. powszechna praca na trzy zmiany — ale na ogół biorąc, Bell nie przewiduje żadnych poważnych niebezpieczeństw. Można więc pozwolić sobie na chwilę marzenia o przyszłości, która obiecuje nam rozwiązanie konfliktu pomiędzy wymogami wydajności pracy i jej humanistycznymi wartościami.

Ale to jeszcze muzyka przyszłości, chociaż może dość bliskiej. Tymczasem warto zanotować, że robotnicy amerykańscy, nie czekając na nią, na innej drodze chcą osiągnąć poprawę sytuacji. Oto niedawno Walter Reuther, przywódca *United Automobile Workers* postawił wobec dyrektorów koncernów samochodowych dość zasadnicze żądania: podziału dochodów pomiędzy właścicieli, pracowników i konsumentów (dla tych ostatnich w formie obniżki cen) oraz pewnego udziału w zarządzie przedsiębiorstw. Wprawdzie przypuszczają niektórzy, że żądania te wysunął Reuther tylko jako straszak na właścicieli i że nie będzie się przy nich upierał, niemniej do tej pory nigdy w Ameryce tego rodzaju projekt nie został wysunięty ze strony robotników, którzy dość stanowczo nie chcieli ponosić współodpowiedzialności za swoje zakłady pracy, walcząc jedynie o lepsze płace i warunki pracy. Można więc przypuszczać, że przestały im wystarczać organizowane przez pracodawców namiastki „współuczestnictwa" i zapragnęli czegoś bardziej konkretnego.

Bardzo to wszystko interesujące — miałoby się ochotę powiedzieć — ale czy coś z tego dla nas wynika? Byłoby niewątpliwie przesadą twierdzić, że to właśnie doprowadzony do technokratycznej perfekcji podział i organizacja pracy wywołują niezadowolenie naszych robotników. Niewątpliwie nasz przemysł nie dorósł do poziomu amerykańskiego. Ale właśnie dlatego, że nie dorósł, tym pilniej trzeba obserwować amerykańskie trudności, aby móc ich w przyszłości uniknąć. Trudności te bowiem

mają przyczyny nie tylko w formach ustrojowych, ale związane są z samym procesem podziału pracy i doskonalenia się organizacji produkcji. W każdych warunkach rodzi to tendencję do bezkrytycznego forsowania metod zrodzonych z ducha tayloryzmu. Zawsze istnieje pokusa osiągnięcia doraźnych korzyści ekonomicznych kosztem pewnych wartości humanistycznych — co na dłuższą metę oddziaływuje szkodliwie na całość życia społecznego, także na gospodarkę.

Amerykanie, goniąc za ubóstwianą *efficiency*, po dziesiątkach lat żmudnych i zawrotnie kosztownych badań wpadają na trop rewelacyjnej prawdy, że nie samym chlebem człowiek żyje i zaczynają widzieć coś więcej w pracy niż tylko zespół ruchów, które powinny być w pewien sposób wykonywane.

Sprawa jest więc otwarta. Warto odwrócić zagadnienie i postawić je na nogach: nie usunięcie pewnych zahamowań na drodze wzrostu wydajności pracy jest problemem podstawowym, lecz co robić, aby praca jak najgłębiej i jak najwszechstronniej rozwijała pracownika.

Stefan Wilkanowicz

MARIA URBAN

DROGA CZY ŚLEPA ULICZKA?

Od paru lat Zachód przestał być *terra ignota*. Większość z nas zna go, jeśli nie z osobistych podróży, to z niezliczonych reportaży, artykułów i fotografii w prasie. I to nie tylko od strony jego zadziwiającego standartu życiowego, ale i od strony pracowitości, gospodarności, zapobiegliwości... Z mnóstwa fragmentów zdołaliśmy na ogół utworzyć sobie mniej lub bardziej prawdziwą, ale w każdym razie chyba dość prawdopodobną wizję całości. Jedno tylko uchodzi uwadze — zresztą nie tylko ludzi przychodzących z zewnątrz, ale i większości „autochtonów" zachodnich: to, że socjologiczne i ekonomiczne sejsmografy notują coraz bardziej wyczuwalne wstrząsy w różnych „okolicach" owej zachodniej półkuli. I że wstrząsy te występują nie mimo, ale właśnie dzięki owej szczególnie uprzywilejowanej sytuacji ekonomicznej większości społeczeństw kapitalistycznych.

Dlatego w warunkach nieporównywalnej z naszym krajem stopy życiowej, nie notowanej od lat *prosperity* i wypływających stąd pozorach niesłychanej efektywności gospodarki kapitalistycznej, przed ekonomistami i socjologami Zachodu zarysowała się jednak konieczność nowej polityki socjalnej. Co więcej, konieczność przemian nie tylko społecznych, ale i ekonomicznych. Przyczyny? Stanowią chyba splot różnych czynników. Odgrywa oczywiście rolę istnienie krajów o krańcowo odmiennej strukturze gospodarczo-społecznej. Zasadniczą jednak chyba przyczynę stanowi sam rozwój kapitalizmu. Monopolizacja i kartelizacja doprowadziła do tego, że kapitał jako „mocodawca" polityczny, organizator życia gospodarczego i społecznego stał się jakąś potęgą bezimienną, anonimową, ahumanistyczną. Przestrach przed jego olbrzymią, a trudną do określenia i „zlokalizowania" koncentracją uświadomił nagle współczesności, że gromadzenie kapitału w imię nienaruszalnego, po rzymsku chyba pojmowanego prawa własności (*ius utendi et abutendi*), stało się samym zaprzeczeniem tego prawa. Antagonizm dzieli nie tyle pracownika i pracodawcę-właściciela jako takiego, ile pracownika i przedsiębiorcę jako bezpośredniego wykonawcę woli właśnie owego najczę-

ściej bezimiennego kapitału, pochłaniającego dywidendy, procenty i wreszcie — pracę, zarówno robotnika jak intelektualisty. Stąd robotnik, nie czując się na siłach do podjęcia walki z ową potęgą, a mając zapewnioną znośną, a najczęściej wcale dobrą egzystencję, zaczyna w sposób powolny, ale stały tracić zainteresowanie swoją pracą W efekcie krzyżujące się wpływy realizowanej w krajach socjalistycznych rewolucji gospodarczo-społecznej i przekonanie o coraz głębszym wynaturzeniu się prawa własności, będącego ostatecznie fundamentem kapitalizmu i liberalizmu, prowadzą do coraz szerszego rozpowszechniania się przekonania o konieczności reform, zmierzających w kierunku jakiegoś uspołecznienia.

Wielu socjologów i ekonomistów próbuje konflikt zażegnać w sposób z pewnością połowiczny, ale dość trzeźwy: przez sprowadzenie do właściwych wymiarów roli kapitału, przez ustalenie równowagi wartości między nim a pracą, wreszcie przez stworzenie takich warunków, w których prawo własności, nie wynaturzone i nie eksploatowane jednostronnie, stałoby się zasadniczym bodźcem działania zarówno jednostkowego jak i społecznego.

„Pytanie brzmi: czy istnieje droga do usunięcia panujących często w naszych zakładach przemysłowych wzajemnej nieufności, sprzecznych interesów i wewnętrznozakładowych, wielowarstwowych sporów o władzę? Czy przedsiębiorca ma możliwości zaprowadzenia takich stosunków w zakładzie, by na gruncie wspólnoty i jednomyślnej współpracy wszystkich zatrudnionych zachować spokój, zabezpieczyć osiągnięcia gospodarcze i przez to zapewnić korzyści wszystkim zainteresowanym?" — tak najogólniej charakteryzuje problem w odniesieniu do poszczególnych zakładów jeden z ekonomistów (dr August Sahm). Tego rodzaju dążenia leżą u podstaw innowacji ekonomiczno-społecznych, wprowadzanych obecnie w dość dużym zakresie nie tylko w krajach Europy Zachodniej, ale i w Stanach Zjednoczonych. Jedną z form jej realizacji są tzw. partnerstwa (niem. *Partnerschaften*).

Co to są partnerstwa, względnie na zasadzie partnerstw zorganizowane zakłady produkcyjne (*Partnerschaftsbetriebe*)? Najogólniej rzecz biorąc, można by je zdefiniować jako zakłady, w których przedsiębiorca (niekiedy będący równocześnie właścicielem) zawiera z pracownikami indywidualne lub zbiorowe układy, w myśl których pracownicy uczestniczą nie tylko w procesie wytwórczym, ale również w kierowaniu zakładem, w decydowaniu o wewnętrznozakładowej polityce, a nawet — w zyskach. Istnieje jednak kilka wariantów tego rodzaju układów partnerskich. W jednych zakładach partnerstwo sprowadza się do zwiększonej ilości świadczeń socjalnych na rzecz pracowników (zasiłki chorobowe, renty starcze, inwalidzkie, wdowie, sieroce, zapo-

mogi, zorganizowane w samym zakładzie lecznictwo, budownictwo własnych domków mieszkalnych) oraz doliczania pracownikom do płacy zasadniczej również premii, zależnej np. od każdorazowej obniżki kosztów własnych. W innych oprócz świadczeń socjalnych przeznacza się do podziału między robotników pewien procent rocznego obrotu. Istnieją zakłady, w których robotnicy poza wyszczególnionymi korzyściami mają również prawo do pewnego współdecydowania o działalności zakładu. Bywa i tak, że pracownicy, związani z przedsiębiorcą-właścicielem na mocy specjalnych układów, uczestniczą finansowo nie tylko w zyskach, ale i w stratach przedsiębiorstwa — przy czym całość zbliżona jest charakterem prawnym do pewnego rodzaju spółki akcyjnej.

Problem partnerstw, stworzonych ostatecznie z myślą o jakimś równouprawnieniu, przynajmniej pozornym, pracy i kapitału, jest jednak dość złożony. Aspekty materialne odgrywają właściwie rolę drugorzędną, fasadową (dla ścisłości warto dodać, że — o ile pozwala na zorientowanie się w tym dostępna literatura — zyski kapitału pozostają w tych wszystkich operacjach nie uszczuplone). „Udziały" wypłacane są robotnikom z nadwyżek powstałych albo na skutek lepszej organizacji pracy, albo też z uszczkniętych państwu w ten sposób sum, które — w innym wypadku — pochłonęłaby niesłychana, bo sięgająca np. w NRF 70%, progresja podatkowa. Zasadniczy cel stanowi stworzenie ponadmaterialnych przesłanek dających robotnikom złudzenie „współwłasności" zakładu, zmniejszających więc zasadniczą, klasową sprzeczność między właścicielem-przedsiębiorcą a robotnikami, wywołujących większe zainteresowanie robotnika zakładem pracy, traktowanym jako coś w pewnej mierze „swojego". Ma to obudzić naturalne w każdym człowieku zainteresowanie własnością, ma stanowić tamę dla dalszego wynaturzenia prawa własności, ma wreszcie — co chyba wychodzi już poza ramy kapitalizmu, a obowiązywać powinno wszystkie systemy gospodarcze — zhumanizować stosunki wytwórcze, przesunąć akcent z płaszczyzny ekonomicznej na humanistyczną.

By osiągnąć jednak ten cel, trzeba chyba wyjść poza wątłą instytucję „partnerstw"; zbytnia ufność ich twórców w znaczenie emocjonalnego zaangażowania pracowników w produkcję i czasami nieco naiwna wiara w atrakcyjność stworzonych pozorów współrządzenia i współwłasności stanowią słabą stronę tej postaci reformy ekonomiczno-społecznej; problem ten jednak na tyle ważny, że wywołuje coraz większe zainteresowanie wyrażające się w powstawaniu licznych instytucji, usiłujących na różnych drogach znaleźć jego rozwiązanie.

Jedną z nich jest powstały przed kilku laty w Austrii „Instytut dla spraw polityki społecznej i reform społecznych" (*Institut für Sozialpolitik und Sozialreform*). Dwa generalne założenia stanowią jego ka-

mień węgielny: światopogląd chrześcijański i reformizm, idący w kierunku rozproszenia wielkiej własności prywatnej na rzecz własności małej i średniej oraz spółdzielczości pracy.

„Nasze pierwsze wyznanie opiera się na chrześcijaństwie jako źródle socjalnej odnowy. (...) Cóż pomogą najlepsze idee społeczne i instytucje, skoro zabraknie dobrych serc wśród ludzi, którym zawierzono doczesność narodu?"

Drugie podstawowe założenie: ...„akceptujemy bezwarunkowo to prawodawstwo socjalne, które koncentruje się na człowieku i które było historycznie konieczne jako przeciwdziałanie teorii i praktyce liberalno-kapitalistycznego społeczeństwa". Tak formułuje cele i zadania Instytutu jeden z jego współzałożycieli i działaczy, prof. dr August M. Knoll.

Są to oczywiście stwierdzenia jak najbardziej ogólne. Natomiast w węższej praktyce Instytut przejawia godną podziwu i uwagi działalność, obejmującą najróżnorodniejsze dziedziny i sprawy. Dodajmy: sprawy najwidoczniej dla Austrii najbardziej palące i zasadnicze. Będą to więc nie tylko próby reformy stosunków własnościowych w przedsiębiorstwach prywatnych, ale i krytyczna ocena funkcji zakładów i instytucji upaństwowionych. Zakres działania obejmuje nie tylko przemysł, ale i naglące problemy wsi austriackiej, wykazującej charakterystyczne symptomy ogólnego chyba w skali światowej „schorzenia": masowej ucieczki ludności wiejskiej do miast, zaniku atrakcyjności pracy na roli, zacofania kulturalnego wsi. Przedmiotem badań i troski Instytutu jest również sytuacja młodzieży, zwłaszcza jej niesłychanie — jak na stosunki austriackie — licznych roczników wojennych. Odrębny problem stanowi rodzina, zwłaszcza w obliczu katastrofalnego w latach powojennych spadku urodzin (obecnie 42% małżeństw w Austrii jest bezdzietnych, 25% ma tylko jedno dziecko). Wygoda, lęk przed utratą istniejącego dobrobytu i chęć ułatwionego życia popychają społeczeństwo austriackie do demograficznego *salto mortale*, absolutnie nieobliczalnego w skutkach. Ambitnym zamierzeniem Instytutu jest więc doprowadzenie w tej dziedzinie do zasadniczego przełomu.

Sytuacja nie jest jednak prosta. Trudność potęguje jeszcze fakt konsekwentnego badania każdego zagadnienia i prowadzenia działalności przy uwzględnieniu zarówno ekonomiczno-społecznych jak i moralnych aspektów problemu. Chodzi przede wszystkim o to, by w człowieku współczesnym, człowieku dwudziestego wieku, który przeobraził się z *homo sapiens* w *homo praecavernalis*, na powrót obudzić poczucie jego człowieczeństwa, jego odpowiedzialności przed Bogiem i ludźmi — zrównoważyć instynkt konsumpcyjny pełną świadomością osobistej wartości twórczej.

Stąd też działalność w sprawie zatrudnienia młodzieży jest inspirowana nie tylko przesłankami ekonomicznymi i społecznymi, ale przede wszystkim troską o zapewnienie młodzieży takiego miejsca w społeczeństwie, które pozwoli na pełny rozwój osobowości człowieka i pracownika. Zaś podłoże zainteresowania sprawami bezrobocia, płac, ubezpieczeń, stanowią nie tylko względy gospodarcze czy społeczne, ale i najgłębsze przekonanie o pełnym prawie każdego człowieka do odpowiedniego udziału zarówno w tworzeniu jak i korzystaniu z dóbr doczesnych.

Akcent personalistyczny stanowi najbardziej charakterystyczną cechę Instytutu i w zasadzie wszystkie koncepcje gospodarcze są mu podporządkowane. Dlatego też teoretycy Instytutu, przeciwstawiając się obecnej postaci kapitalizmu, odrzucają gospodarkę socjalistyczną dlatego właśnie, ponieważ ta — ich zdaniem — zabija poczucie osobowości poszczególnego człowieka na rzecz anonimowego kolektywu. W ich rozumieniu najlepszym systemem gospodarczym jest ten, który pozwala, by jak najwięcej ludzi było bezpośrednimi właścicielami lub współwłaścicielami środków produkcji. Ta forma własności, połączona z osobistą odpowiedzialnością i z osobistym zainteresowaniem, pozwala na pełny rozwój każdego człowieka przy zachowaniu wszystkich praw egzekwowanych od niego przez społeczeństwo.

„Nie do przyjęcia jest taka reforma własności, która nie służy konkretnemu człowiekowi. My nie wyzwalamy jednej tylko ‚społeczności robotniczej' i jednej tylko ‚ludzkości'. To są pojęcia pozbawione treści. Wyzwalać trzeba konkretnego, poszczególnego człowieka".

Dlatego: „W miarę możności wszyscy członkowie społeczeństwa powinni posiadać własność niezbędną do spełnienia ich osobistej i społecznej misji życiowej — albo też móc własność osiągnąć przez dochód z pracy". Dwa istniejące zasadnicze systemy gospodarczo-społeczne wiążą się — zdaniem ekonomistów związanych z Instytutem — z dwiema błędnymi teoriami: pierwszą, że sprawiedliwość społeczną osiągnąć można li tylko przy pomocy czynników psychologicznych (a więc np. w praktyce: partnerstwa), drugą, że o sprawiedliwości społecznej decyduje jedynie przejęcie własności środków produkcji przez państwo. Stąd Instytut kieruje ostrze swojego ataku przeciwko wszelkiej koncentracji własności, zarówno prywatnej, jak i państwowej.

Najbardziej zbliżonym do ideału organizmem gospodarczym byłaby zatem spółdzielczość pracy, zaś partnerstwo (z pełnym prawem wszystkich pracowników do współdecydowania i współudziału w zyskach) — dopiero w wypadku nieuniknionego pozostawania własności środków produkcji w jednym ręku. Dlatego Instytut z niesłychaną troskliwością śledzi rozwój nielicznych wprawdzie, ale interesujących spółdzielni

pracy (*Genossenschaften*) powstałych w Austrii w pierwszych latach po wojnie w niektórych zakładach upaństwowionych, względnie opuszczonych przez właścicieli. Spółdzielnie te są bardzo zróżnicowane branżowo (kopalnictwo: *Tiroler Kohlen- und Erzbergbaugenossenschaft*, metalurgia: *Mechanik Kufstein Reg. G. m. b. H. u. KG.*, *Gerätewerk Matrei Reg. Gen. m. b. H.*; przemysł chemiczny: *Österr. Kohlensäuregenossenschafte;* przemysł spożywczy: *Mariahilfer Teigwaren Reg. Gen. m. b. H.;* przemysł elektrotechniczny: *Produktivgenossenschaft f. Wärmetechnik u. Maschinenbau;* przemysł drzewny: *Sägewerkgenossenschaft Gross-Raming*). Zorganizowane na zasadzie wspólnej własności środków produkcji wszystkich a k t u a l n i e pracujących (przy czym całokształt spraw produkcyjnych spoczywa w rękach obieralnego zarządu) przedsiębiorstwa te zdały już próbę życia. Osobiste zainteresowanie pracowników „swoim" zakładem zdziałało wiele: pozwoliło na pełne wykorzystanie zdolności produkcyjnej zakładów, przyniosło wzrost wydajności pracy w granicach od 80 do 200%. Bez jakichkolwiek administracyjnych środków wzmogło samorzutną dyscyplinę pracy i odpowiedzialność za wspólne dobro. Wszystko to, prócz corocznych zysków, przyniosło bardzo pokaźny (sięgający i 100%) wzrost płac. Sądzić by więc można, że trudno o lepszą egzemplifikację wysuwanych przez Instytut projektów.

Obraz ten ma jednak skazy i to poważne. Wiadomo również, że pierwsi spółdzielcy przejawiają zwykle tendencje do coraz silniejszego „zamykania się", nie przyjmowania nowych pracowników do grona członków spółdzielni, lecz angażowania ich jedynie jako pracowników najemnych. Nie to jednak jest najważniejsze. Istotną trudnością jest nieodwracalny proces koncentracji kapitału, niezbędnego dla prowadzenia ogromnych zakładów.

Teoria spółdzielczości pracy, zwłaszcza zorganizowanej tak, jak w podanych wyżej przykładach, może być więc realizowana tylko w minimalnym zakresie, np. w zakładach zatrudniających najwyżej kilkuset pracowników — ale już chyba nie w przedsiębiorstwach zatrudniających tysiące ludzi. A jeśli zwycięży idea, że spółdzielnie mogą zatrudniać również ludzi na zasadzie salariatu, bez ich osobistego współudziału w życiu i zyskach zakładu — czym wtedy różnić się będą owe spółdzielnie od swojego rodzaju spółek akcyjnych? I jaką rolę odegrać może tak pojęta idea spółdzielczości pracy wobec nieuchronnie rozwijającej się automacji?

Partnerstwa, być może, załagodzą w jakimś stopniu konflikt między pracownikami a pracodawcą. Jednak dotychczasowe próby — wbrew pozorom — nie rokują nadziei, że zasada współdecyzji i udziału w zyskach usunie sprzeczność między pracą i kapitałem (którego prawa,

powtarzam, są przecież we wszystkich tego rodzaju przedsięwzięciach co najwyżej minimalnie uszczuplone).

Natomiast absolutnie nie do pominięcia jest aspekt moralny i społeczny reform proponowanych przez Instytut i jego bliższych lub dalszych współpracowników. Zwłaszcza tak silne akcentowanie roli człowieka w społeczeństwie i wartości jego pracy w procesie wytwórczym. Podkreślanie nie tylko ekonomicznego znaczenia pracy, ale jej „podtekstu" inspirującego ludzką twórczość i kształtującego ludzką osobowość. Wreszcie — próba rozwiązania konfliktów społecznych z chrześcijańskich pozycji, próba włączenia właśnie chrześcijańskiej myśli społecznej w dokonywającą się przemianę świata.

Maria Urban

TOMASZ DĘBOWIECKI

PRZEMIANY ŚWIADOMOŚCI ROBOTNICZEJ

Badania opinii społecznej nie dają pełnej możności zrozumienia i przewidywania ruchów społecznych oraz działalności ugrupowań społecznych [1]. Niedoskonałość tych badań wynika nie tylko z tego, że nieraz uzyskujemy z nich zaledwie „fotografię poglądów" jednostkowych, ale i stąd, że na ogół nie mogą one w pełni ujawnić siły i możliwości działania, jaką dysponują poszczególne ruchy społeczne.

Badanie opinii społecznej, pomijając wyjątkowe przypadki, przebiega w sytuacji bardzo osobliwej: badacz, osobnik nieznany, nie należący do środowiska pracy i zamieszkania (będącego przedmiotem badań), stawia pytania człowiekowi, którego ta pogawędka w cztery oczy oraz sprowokowana (przez badacza) konieczność namysłu izolują w wysokim stopniu od własnego środowiska i jego powszednich problemów. Ów sztuczny charakter wywiadu posiada pewną wartość, ponieważ pozwala zebrać dokumenty, które nie mogą istnieć pod jakąkolwiek inną postacią niż dokumenty „prowokowane", lecz ogranicza równocześnie ich doniosłość. Jest tak dlatego, że działanie pojedynczego człowieka, względnie grupy ludzi z pewnością nie bywa rezultatem jednostkowych li tylko postanowień, wyłączonych z wszelkiego zaangażowania się w stan i układ konfliktów społecznych.

Pomiędzy opinię jednostek i działanie zbiorowe wciskają się realia kolektywne organizacji społecznej i politycznej. Tak np. skłonność różnych organizacji do głosowania przez podniesienie ręki, znaczenie przywiązywane do urządzania masowych manifestacji, meetingów, pochodów, zgromadzeń, wskazują na doniosłość presji kolektywnej. [2] Ona to posiada zdolność mobilizowania jednostek, które same, skłaniane do wypowiedzi indywidualnej „twarzą w twarz", ujawniają normalnie dążność do akceptowania — jako danej — istniejącej sytuacji społecznej oraz do ujmowania w sposób bezpośrednio konkretny, niezależny od sytuacji ogółu, swego osobistego położenia.

Z drugiej jednak strony ruchy społeczne nie mogą być zrozumiane w oderwaniu od postaw konkretnych, jednostkowych, których wymogi interpretują i uogólniają w swej działalności. Tak więc socjolog jest zmuszony do uwzględnienia dwóch płaszczyzn analizy: pierwszej, dotyczącej opinii (poglądów) i drugiej, odnoszącej się do działalności zbiorowej oraz do badania znaczeń, jakie przyjmują idee społeczne na jednej i drugiej płaszczyźnie. [3]

*

Jedną z podstawowych przemian w zakresie żądań stawianych przez robotników na przestrzeni ostatnich stu lat można zwięźle określić jako przejście od pierwotnego hasła: poszanowanie dla pracy, do innego: przyzwoite warunki życia dla wszystkich pracujących. Formuła ta oznacza nie tylko przemieszczenie założeń działania i wymagań robotniczych ze sfery produkcji w dziedzinę konsumpcji — przemieszczenie doniosłe, uzasadnione przekształceniem warunków pracy jej kolektywizacją, polegającą między innymi na daleko idącym podziale pracy i na specjalizacji [4]; wskazuje ta formuła również na postępujące zanikanie „wszechświata cząstkowego" (to znaczy sposobu ujmowania własnego życia jednostki w całkowitym oderwaniu od procesów społecznych).

Formuła ta opowiada się w pewnym sensie przeciwko nie pracującej części społeczeństwa i szuka nie tyle scalenia (integracji) tegoż społeczeństwa, ile uznania własnych — robotniczych — praw i przyjęcia zasady głoszącej, że robotnikom jako twórcom dochodu narodowego winna przypaść lwia jego część.

W okresie poprzedzającym rozwój mechanizacji przemysłu oraz organizacji pracy był świat robotniczy — z punktu widzenia zawodowego i kulturowego — tradycyjnie, światem izolowanym od reszty społeczeństwa. Tym właśnie faktem — przynajmniej częściowo — tłumaczy się owa „wycinkowość" żądań także i dzisiaj stawianych przez robotników, a ograniczających się do odrębnego (w pewnym sensie) i samoistnego „świata pracy".

DAWNY ŚWIAT ZAWODOWEJ AUTONOMII

Wszędzie tam, gdzie jeszcze nie istnieje wielka wytwórczość seryjna — zarówno w istniejących jeszcze warsztatach rzemieślniczych, jak też w pracowniach zatrudniających wysoko kwalifikowanych robotników fabrycznych dawnego typu, robotnik, chociaż ściśle zależny pod względem ekonomicznym od chlebodawcy, pozostaje — pod względem zawodowym — panem samego siebie. Na terenie zakładu pracy stoją obok siebie dwa porządki, dwa światy: świat pracy i wytwarzania

oraz świat kierownictwa i kapitału. Zwierzchnik poleca, nakazuje, wymaga, przymusza[2]; jeszcze jednak nie organizuje produkcji. Organizacja pracy zaczyna się w chwili określenia i ustalenia przez kierownictwo metod i warunków pracy. Do tego momentu maszyna i człowiek są ważniejsi dla wytwarzania niż ustrój produkcji, a u drzwi pracowni zatrzymuje się, w pewnym sensie, autorytet pracodawcy.

Owa swoboda i samodzielność robotnika wyrażały się w dawniejszym systemie produkcji również przez pewną hierarchię i jakąś — ściśle robotniczą — formę kierownictwa. Majster w hucie czy walcowni kierował zespołem robotników w imię swego robotniczego doświadczenia, „stażu w pracy" i wieku. Fachowa wartość zakładu czy fabryki złożona była przede wszystkim z umiejętności i doświadczeń robotników, stanowiących jego załogę, a przełożony, który zlecał wykonanie pracy, czerpał z tego kapitału fachowego.

Robotnik był psychicznie i fizycznie zaangażowany w wykonywaniu swego zadania, podobnie jak gospodarz na roli[5]; trudził się wprawdzie, lecz za cenę tego trudu zdobywał jakąś wspólnotę, niby pokrewieństwo z surowcem, z maszynami i narzędziami. Robotnik był wpleciony w rodzaj „wyłączności fachowej": w jego życiu zawodowym istniał rozległy wycinek należący jedynie do niego, wycinek, który wymykał się społecznym definicjom sytuacji robotnika, jak: proletariusz, wyrobnik, wyzyskiwany. Był on przede wszystkim właśnie robotnikiem. Przedmioty i surowce, które przetwarzał, nie stanowiły w świadomości robotnika o jego odniesieniu do społeczeństwa, do konfliktów socjalnych, lecz wyrażały własną osobowość i aktywność robotnika. Bo przecież dawniej węgiel wyrąbywany przez górnika był jedynie „rzeczą", podczas gdy taśma produkcyjna, przy której pracuje wyspecjalizowany robotnik współczesny, jest, z całą dla niego oczywistością, faktem społecznym, zamierzonym, stworzonym przez innych ludzi, narzucających tą drogą swoje wymagania.[6]

Ta zawodowa autonomia poszczególnego robotnika była dawniej dodatkowo wzmocniona dzięki autonomii i zwartości całej zbiorowości robotniczej. Ci, którzy wspólnie pracowali, żyli także wspólnie. A ponieważ nie byli oni ściśle zdeterminowani w swych gestach, rytmie, w precyzyjnych metodach pracy (jak robotnicy dzisiejsi), angażowali więc w swoje funkcje zawodowe bezpośrednio lwią część swej osobowości, a nie tylko siłę fizyczną. Stąd też stwarzane przez robotników wzajemne stosunki nie miały charakteru li tylko funkcjonalnego, (tzn. także: rzeczowego — nie osobistego). Nawet gdy byli zmuszeni do uciążliwej pracy, jak np. górnicy pracujący „na dole", robotnicy miewali okazje porozumiewania się między sobą o wiele częściej niż pracownicy dzisiejszych wielkich fabryk, oddzieleni przez charakter pracy, których zespół rozsypuje się z chwilą wyjścia z fabryki w ciżbie metra

i w zamęcie wielkiego miasta. Solidarność robotnicza była w dawniejszych stosunkach produkcji przede wszystkim wyrazem wspólnoty życia, umiejętności, doświadczeń, niebezpieczeństw i objawem świadomości owej wspólnoty.

Po wyjściu z pracy robotnicy nadal się znali i rozpoznawali w obcym środowisku. Mieszkali niedaleko od siebie, nosili ubrania wyróżniające ich od innych warstw społecznych, a ponadto brak lub słabość technik rozpowszechniania myśli wzmagały izolację kulturową towarzyszącą omawianej autonomii zawodowej. Nawet rodzina robotnicza była „napiętnowana" cechami życia pracy. Syn uczył się zawodu u swego ojca, a ten żył raczej w kręgu innych robotników aniżeli ze swymi najbliższymi osobami. Rodzina nie stanowiła odrębnego środowiska społecznego; nie istniało też właściwie rozróżnienie pomiędzy towarzyszami pracy a kręgiem przyjaciół.

Ta izolacja — powiązana z mocnym poczuciem wspólnoty — dawała siłę robotnikowi do utrzymania i zachowania dobra najbardziej własnego: pracy! Z przedsiębiorcą, kupcem, finansistą mówiło się „z jednego świata do drugiego", a mówiło się o prawach. Poszukiwano wprawdzie równowagi, próbowano — ze strony robotniczej — przetargu, w końcu jednak następowała akcja zbiorowa dla zniszczenia wrogiego świata i sprowadzenia organizacji społeczeństwa do typu stowarzyszenia pracujących; w obu tych przypadkach żądania robotników stawiane były przede wszystkim w imię poszanowania pracy; sprawiedliwość pojmowana była jako zdobycie przez robotnika dla siebie słusznej wartości jego osobistego wkładu, jego pracy.

Poczucie dumy i robotniczej odrębności — będące elementami świadomości zbiorowej — stanowiły też jednak same w sobie podwójną przeszkodę dla aktywności klasowej. Przede wszystkim świat nie robotniczy, nie wytwarzający, był dla robotnika obcy, mało znany. Robotnik stał się niezdolny do zrozumienia „drugiego świata", który był nie tyle światem organizacji ekonomicznej, ile raczej światem wymiany, finansów, spekulacji, gdzie liczą się symbole monetarne, które uzyskały znaczny stopień niezależności od wartości wytworów produkcji, jaką reprezentują. Świadomość więc robotnicza wahała się pomiędzy prostym żądaniem zwrotu słusznej wartości pracy (bez względu na funkcjonowanie systemu ekonomicznego kapitalizmu, który może i powinien płacić) a tworzeniem utopijnych systemów, zaprzeczających po prostu konieczności istnienia społecznego systemu rozdziału wytworów pracy i sprowadzających społeczeństwo do roli kooperatywnej organizacji wytwórców.

Równocześnie zbiorowość robotnicza dochodziła zwolna do ujmowania samej siebie jako klasy społecznej. Robotnicy coraz śmielej traktują siebie jako odrębną i samoistną grupę społecz-

ną. Jeżeli np. robotnicy jakiegoś miasta czy dzielnicy (zbiorowości lokalnej) znali się między sobą, uzyskiwali tym mocniejsze jeszcze poczucie swego wspólnego losu. W takich razach ich powiązania z tym miastem czy dzielnicą — jako zbiorowością złożoną nie tylko z robotników — łatwo popadały w konflikt z przynależnością do świata robotniczego, traktowanego jako samodzielna jedność. Zwyciężało zwykle poczucie solidarności robotniczej..,

ŚWIADOMOŚĆ ROBOTNICZA A MECHANIZACJA

Z chwilą gdy — wraz z produkcją seryjną i rozwojem mechanizacji — pojawia się nowy fakt organizacji pracy, to znaczy, gdy przestają istnieć obok siebie dwa światy, wytwarzania i kierownictwa; gdy w świat, dotąd autonomiczny, pracy roboczej wdarli się organizatorzy pracy, którzy przekształcają stanowisko robocze w jakąś funkcję systemu kolektywnej organizacji; skoro znika stopniowo z zakładów wytwórczych praca kwalifikowana starego typu, a robotnik widzi, że jego maszyna jest regulowana przez kogoś drugiego, że jego metody i gesty robocze określone są ściśle przez innych, że rytm i normy jego pracy mierzą i narzucają inni — świadomość jego przekształca się głęboko, a działanie opiera się na całkowicie odmiennym niż dotąd wyobrażeniu społeczeństwa. Chodzi o to, że stosunki społeczne zmierzają do dominacji nad stosunkami i cechami indywidualnymi czy też cechami poszczególnych grup, a więc także do pochłonięcia w sobie np. cech związanych z zawodem — fachem (cech indywidualnych!).

Zanika więc przede wszystkim autonomia i wyodrębnienie fachowe robotników wysoko kwalifikowanych.[7] Wielkiej masie robotników wyspecjalizowanych[4], którzy nie mieli nigdy własnego zawodu, narzuca się dominacja[2] organizacji ekonomicznej i społecznej przedsiębiorstwa. Kierownictwo dociera wszędzie; wszystko jest kontrolowane; tempo zabiegów produkcyjnych, niezależnie od nawyków i temperamentu robotnika, jest ustalane autorytatywnie. Robotnik, który czuje się jedynie ogniwem łańcucha, kółkiem w mechanizmie zbiorowym, jest zmuszony do określenia samego siebie w sytuacji k o l e k t y w n e j i w odniesieniu do istniejącego i ciągle potężniejącego systemu produkcji przemysłowej, mającego charakter społeczny, ponad indywidualny. [6 i 2].

Również spójnia pomiędzy robotnikami — ograniczona do minimum przez organizację pracy, przez dystans powodowany rozrostem technik zarządzania i transportu, ogromem maszyn i przez bezustanną uwagę, jakiej wymaga praca — zwolna przestaje być odniesieniem wzajemnym istot ludzkich, stając się raczej stosunkiem indywiduów podporządkowanych tym samym koniecznościom, ulokowanych — niezależnie od swej woli — w takiej samej sytuacji. [2 i 8].

Izolowani przy swych maszynach, robotnicy porozumiewają się wprawdzie pomiędzy sobą gestem, uśmiechem, okrzykiem, każda jednak informacja, którą w ten sposób wymieniają, jest wyrazem bezpośrednim ich kolektywnej sytuacji w pracy. Te krótkie informacje mają sens jedynie w odniesieniu do wspólnoty, jaką wytwarza podporządkowanie tejże samej zespołowej organizacji pracy. Nowy system pracy przemysłowej jest bowiem całkowicie społeczny, bo jest systemem wysoko rozwiniętej techniki i automatyzacji.

*

Zanikowi autonomii zawodowej towarzyszy najczęściej zanik izolacji kulturowej robotnika. Nie da się oddzielić procesu rozwoju wielkich miast od rozrostu zmechanizowanej wytwórczości, uwarunkowanego współcześnie raczej przez stosunki ekonomiczne i społeczno-polityczne, aniżeli przez warunki techniczne, jak np. bliskość surowców. Wspólnota lokalna, gdzie wszyscy się znają i mają poczucie wspólnej przynależności, zanika. Ocena osobników z innych klas społecznych jest coraz bardziej funkcją ich przynależności do danej klasy. Rozbudowa dzielnic robotniczych np. w Paryżu oznacza dla robotnika oddzielenie reprezentacyjnych części miasta od strefy proletariackiej. Robotnik umacnia w ten sposób jeszcze bardziej świadomość swej przynależności do własnej klasy społecznej i z konieczności określa swe własne problemy w terminach generalnych (które zakładają pojęcie ogólnej struktury społeczeństwa), a nie w kategoriach jednostkowych — osobistych. Klasa robotnicza wkracza w ten sposób w krąg powszechnych problemów społecznych.

Stopniowy zanik autonomii zawodowej oraz izolacji kulturowej robotników oznacza obecnie również potęgowanie się ogólnej integracji społeczeństwa.

Do rodzin robotniczych przenikają wzory kulturowe, które nie są ściśle robotnicze i które przyczyniają się do zanikania tradycyjnych dla świata robotniczego własnych wzorów życia i myślenia. Niektóre różnice społeczne wykazują tendencję do zacierania się. Coraz trudniej odróżnić mieszkanie robotnicze od mieszkania urzędnika. Ubranie przestaje być symbolem przynależności do danej klasy; elektryczne aparaty gospodarstwa domowego przyjmują się w domach robotniczych.

Zanik zainteresowań wyłącznie fachowych u większości robotników sprawia, że są oni bardziej wrażliwi na bodźce — także kulturalne — wychodząc spoza przedsiębiorstwa, w którym pracują. Będąc wrogo usposobieni wobec współczesnej ideologii produktywizmu stają się robotnicy bardziej uczuleni na stopień swego uczestnictwa w podstawowych dobrach i wartościach społecznych, osiągalnych dla robotnika

dzięki zarobkom i prawu do wolnego czasu — urlopu. Wydobywając się z partykularyzmu, świadomość robotnicza traci równocześnie specyficzność i wyłączność swych właściwości; klasa robotnicza nie stanowi już powszechnie ważnego i jedynego układu odniesienia dla analizy postaw i zachowania się pobierających płacę pracowników przemysłu.

Z mniejszą ścisłością można zastosować powyższe spostrzeżenia do robotników kwalifikowanych, posiadających własny zasób umiejętności i praktyki zawodowej. Z rozważań naszych nie wynika, że ta kategoria pracowników zanikła całkowicie. Przeciwnie, istnieje nadal i nawet się rozwija, ulegając — oczywiście — również poważnym przemianom. Faktem podstawowym dla nich jest wzrastająca różnorodność zajęć typu technicznego, wymagających szczególnych kwalifikacji, jakie można uzyskać w nowoczesnym przemyśle. Ku tym zajęciom zwracają się dzisiaj młodzi fachowcy. Bo między innymi właśnie w pracowniach i biurach technicznych z a c i e r a s i ę p r z e d z i a ł między różnymi szczeblami hierarchii społecznej. Tam można zdobyć awans, tam k o ń c z y s i ę i z o l a c j a z a w o d o w a r o b o t n i k a. Równocześnie fachowy robotnik zyskuje coraz większą znajomość organizacji technicznej oraz jej generalnych problemów. Sprawy awansu społecznego nabierają decydującego znaczenia, a możliwości w tym kierunku wyłaniają się właśnie w ramach pracy w przemyśle zautomatyzowanym, który potrzebuje koniecznie wysoko kwalifikowanych fachowców.

RUCHY ROBOTNICZE

Analiza powyższa miała na celu wskazanie przemian w świadomości robotniczej w związku z ewolucją świata przemysłowego, a z drugiej strony miała zwrócić uwagę na momenty sprzyjające i czynniki niekorzystne dla rozwoju robotniczej świadomości klasowej w każdym z omawianych dwu systemów pracy przemysłowej.

W starym systemie pracy socjalizm nie mógł być niczym innym jak wolą zniszczenia świata pieniądza i zamiarem urządzenia społeczeństwa na zasadach wspólnoty. Opiera się on (socjalizm) na stwierdzeniu antagonizmu dwu podstawowych klas i na walce robotniczej przeciwko dominacji kapitału. Socjalizm (wówczas) uznaje państwo za wyraz polityczny dominującej klasy burżuazji. Złamanie władzy pieniądza nie dało się pomyśleć bez ustanowienia republiki wytwórców. W krajach, gdzie kapitalizm był dynamiczny, idelogia ta dała początek reformizmowi opartemu na m a s o w o ś c i z w i ą z k ó w z a w o d o w y c h (syndykatów), która posiada wagę rozstrzygającą w rozmowach z pracodawcami, potężnymi i r ó w n i e ż z o r g a n i z o w a n y m i.

Związki zawodowe prowadzące interesy klasy robotniczej odwołują

się właśnie do świadomości robotniczej. Nawet w Stanach Zjednoczonych nie wyrzekły się one ujmowania społeczeństwa w kategoriach dwu klas antagonistycznych w terminach nieustającego konfliktu między kapitałem a pracą. Odbywają się wprawdzie przetargi oraz negocjacje, lecz nie jest uznawana „trzecia siła", tzn. arbitraż państwa, jako że państwo jest narzędziem kapitału. Z chwilą np. zaostrzenia się sytuacji ekonomicznej ruch związkowy nabiera akcentów rewolucyjnych i rozwija działalność typu socjalistycznego oraz akcję polityczną, bo... „nadszedł moment zerwania negocjacji i pognębienia kapitalizmu".

We Francji związki zawodowe, dostosowując się do nowych stosunków produkcji i do szybkiego wzrostu kategorii pracowników, których jeszcze się nie nazywa „robotnikami wyspecjalizowanymi"[4], czerpią swe siły z środowisk robotników kwalifikowanych[9] i opierają się ciągle na ich dumie robotniczej oraz autonomii zawodowej. Jednak syndykaty bronią raczej tylko pracy robotniczej i jej interesów, aniżeli wnoszą konkretne rozwiązania problemów organizacji społeczeństwa.[10] Ruch związkowy jednak — np. w USA — unikający akcji politycznej, sam staje się siłą polityczną, wkracza we wszelkie problemy społeczne i pragnie uczestniczyć w rządach krajem. We wszystkich ruchach robotniczych na Zachodzie ujawnia się radykalna zmiana pojmowania roli państwa o wzrost roli społecznej robotników i ogółu pracujących. Ruch związkowy, mobilizując również pracowników, którzy — pobierając wynagrodzenie za pracę — nie zawsze jednak są twórcami „nadwartości" produkcji, dąży do zmian zasadniczych w dochodzie narodowym i do przeprowadzenia strukturalnych reform społecznych za pośrednictwem państwa.[11] Może to być jednak i jest najczęściej orientacja reformistyczna, a nie rewolucyjna.

Bezpośrednio przez pracowników odczuwana doniosłość organizacji technicznej i ekonomicznej przemysłu skłania ich do rozważania problemów gospodarczych. Coraz mniej liczni są tacy, którzy sądzą, że trwała poprawa bytu może być osiągnięta bez rozwinięcia sił ekonomicznych kraju.

Syndykaty utraciły — w miarę rozwoju stosunków produkcji i w miarę postępujących przemian w świadomości robotniczej — stopniowo charakter „ugrupowań przyjacielskich" i swą rolę „folklorystyczną"[12]. Wiąże się to z zanikiem izolacji kulturowej świata robotniczego. Uniwersalizm współczesnych kierunków upowszechniania kultury, dążność do udostępnienia wszystkim wielkich dzieł przeszłości, nie tylko przeciwstawiają się izolacji kultury robotniczej czy też folkloru, lecz ponadto implikują ruch społeczny na rzecz demokratyzacji nauczania, wczasów pracowniczych, wreszcie szeroko pojętej kultury, która — ze stanowiska robotniczego — stanowi punkt wyjścia dla działalności politycznej. Równocześnie nowe warunki pracy i życia, usuwając party-

kularyzm, wiodą ruch robotniczy do przewidywania i domagania się generalnej reorganizacji życia społecznego, w oparciu o postulowaną jedność działania klasy robotniczej w skali międzynarodowej.

Tomasz Dębowiecki

PRZYPISY

[1] Opracowane na podstawie artykułu Alain Touraine'a *L'évolution de la conscience ouvrière et l'idée socialiste* — („Esprit", nr 238, maj 1957 i częściowo na podstawie pracy tegoż autora omówionej w przypisku nr 4).

Alain Touraine brał udział w badaniach (1948) prowadzonych pod kierunkiem prof. G. Gurvitcha przez Centre d'études sociologiques. Były to pierwsze we Francji badania z dziedziny socjologii przemysłu. Jednym z kluczowych problemów tych badań są związki między aspektami techniczno - zawodowymi a ekonomiczno-społecznymi pracy przemysłowej. Podstawową metodą był opis uzupełniony analizą statystyczną poszczególnych zakładów pracy. Z wyników tych badań szczegółowych starał się Touraine wyprowadzić hipotezy ogólne, których część zreferował w „Esprit".

[2] Poglądy Touraine'a wiążą się z koncepcją Durkheima, który podkreśla znaczenie „presji kolektywnej" (*la contrainte sociale*) i uważa ją za podstawowy fakt społeczny.

Powiązania te uwydatniają się m. in. w podejściu metodologicznym, z którego widać, że Touraine skłania się do przyjęcia podstawowej reguły Durkheima, iż „należy rozpatrywać fakty społeczne tak, jak rzeczy..." Nazwisko Durkheima jest wyraźnie wymienione przez Touraine'a przy okazji omawiania stosunku robotników do innych klas społecznych (*Esprit*, j. w., s. 697). Konstrukcja Durkheima jest doniosła dla analizy procesów kulturowych, stanowiąc ogólną teorię (wzgl. metodę badania) całokształtu ludzkiej kultury. Wśród polskich uczonych podobne stanowisko metodologiczne zajmował Stefan Czarnowski.

Wspomnieć jeszcze należy, że wiele koncepcji Durkheima wykazuje znaczne pokrewieństwo z metodologią marksistowską. Durkheim (zmarły w r. 1917) wywiera ciągle jeszcze znaczny wpływ na sposób myślenia socjologów francuskich.

[3] Zagadnienia te omawiał — na szerokiej płaszczyźnie teoretycznej — zmarły niedawno Florian Znaniecki (m. in. w swym dziele *Wstęp do socjologii* — Poznań 1922). Ten wielki polski uczony wyróżnia wśród głównych działów socjologii na pierwszym miejscu t e o r i ę d z i a ł a n i a s p o ł e c z n e g o, która jest doniosłym jego wkładem m. in. w dziedzinę teorii ruchów społeczno-politycznych.

[4] Tu w znaczeniu wykonywania w produkcji czynności cząstkowych, wynikających z podziału pracy, a nie gotowych całkowitych wyrobów (jak dawniej).

Nadmienić trzeba, że Touraine, w swej pracy *L'évolution du travail ouvrier aux usines Renault* (wyd. Centre National des Recherches Scientifiques, Paris 1955) formułuje interesujący schemat opisowy dotyczący faz rozwoju techniki przemysłowej (w powiązaniu z przemianami świadomości robotniczej).

Jest to następująca „triada": dwie fazy dekompozycji pracy — najpierw (I): praca kwalifikowana, „wytwórcza", przy maszynach uniwersalnych; następnie (II): okres podziału pracy, stopniowy zanik pracy kwalifikowanej, wprowadzenie maszyn wyspecjalizowanych, wykonujących proste czynności — jest to okres przejściowy; wreszcie (III): faza rekompozycji pracy, powrót do złożonych

czynności produkcyjnych — najpierw wykonywanych przez maszyny „wieloczynnościowe" (*multiples*), a w końcu wprowadzenie maszyn automatycznych, z minimalnym udziałem pracy ręcznej. — „Dekompozycja" fazy I oznacza samodzielność każdego stanowiska roboczego w procesie produkcji, faza II to rozłożenie czynności produkcyjnych na proste elementy, a „rekompozycja" (faza III) polega na powierzeniu automatom „samodzielnego" wykonywania gotowych wyrobów, tak jak to czynili robotnicy fazy I.

Ewolucja zawodowa robotników szła (wg pracy Touraine'a dotyczącej badań w Zakładach Renault) od (I) empiryzmu indywidualnego i robotniczych tradycji fachowych, poprzez (II) stopniowy zanik rzemiosł kwalifikowanych, do (III) wytworzenia typu robotnika wyspecjalizowanego (*l'O. S. — l'ouvrier spécialisé*), który zajmuje miejsce dawnego towarzysza-czeladnika (*compagnon*). Tak — wg Touraine'a — wygląda proces degradacji pracy twórczej, jaka istniała jeszcze w początkowym okresie maszynizmu.

[5] W tym sformułowaniu Touraine'a można widzieć interesujące naświetlenie jednego z aspektów często u nas używanego hasła: „robotnik gospodarzem swego zakładu".

[6] Mechanizacja nowoczesnych kopalń węgla dokonała i w tej dziedzinie znacznych przemian w świadomości górników. Węgiel, także i obecnie, pozostał „rzeczą", ale zmechanizowany system jego wydobycia — jaki się upowszechnia w świecie — jest na pewno także „faktem społecznym". Tutaj przypomina się — mimo woli — reguła metodologiczna Durkheima, dotycząca ujmowania faktów społecznych (patrz przypis nr 2).

[7] Robotnika można dzisiaj uważać za mniej lub więcej „wykwalifikowanego", w nowym sensie jego przydatności w nowoczesnym procesie wytwarzania, w którym praca rozłożona jest na najprostsze elementy.

[8] W tej części rozważań Touraine'a rysuje się wyraźnie proces d e h u m a n i z a c j i s t o s u n k ó w s p o ł e c z n y c h, jaki rozwija się nie tylko w sferze zautomatyzowanego przemysłu, ale również w innych dziedzinach życia. Proces ten można najogólniej scharakteryzować wskazując na fakt, że obecnie coraz mniej doniosła — szczególnie w dziedzinie stosunków gospodarczych — jest dla nas o s o b a drugiego człowieka, a coraz ważniejsza staje się jego r o l a s p o ł e c z n a, funkcja, którą pełni, i jego związek z rzeczowym światem surowców, produkcji, wymiany...

[9] Przykład wskazujący na ważne — mimo zmiany systemu produkcji — funkcje społeczno-polityczne robotników kwalifikowanych „starego typu", wychowanych w stosunkach produkcji już dzisiaj mało aktualnych. Ta „stara gwardia" (w sensie społecznym — nie chronologicznym) stanowi w wielu przypadkach właściwą bazę społeczno-ideową ruchów robotniczych.

[10] Lenin oddziela wyraźnie świadomość i działalność „trade-unionistyczną" od ruchów rewolucyjnych, kierowanych przez partię, naukowo rozpatrującą fakty społeczne i ekonomiczne.

[11] Również państwo ma się stać stopniowo narzędziem walki o interesy klasy robotniczej. Tym tendencjom ruchu związkowego — dosyć powszechnym na Zachodzie — należy chyba, przynajmniej w części, przypisać niektóre osiągnięcia pracownicze w krajach zachodnich, jak np.: szerokie systemy ubezpieczeń, rent, a nawet ujawniające się dążności do nacjonalizacji wielkiego przemysłu (np. w Anglii).

[12] A więc rolę ośrodków tradycyjnej, odrębnej kultury robotniczej, która formowała się w dużym stopniu niezależnie od kultury ogółu społeczeństwa, w związku z antagonistyczną postawą klasy robotniczej wobec innych klas i dzięki jej wyodrębnieniu jako osobnej grupy społecznej, świadomej siebie i dysponującej wielką siłą, wynikającą m. in. z jej masowości.

CYPRIAN NORWID O PRACY

Za dni, w których połączył człowiek dwie świata części nicią drutu i gumelastycznym włóknem, a wszystkie stolice kontynentu związał sztabami żelaza — za dni, w których najplastyczniejsza praca heroizmu wojowniczego jeszcze zależy od wynalazków, i nie tylko ci, którzy ramieniem mocują się z ramieniem, ale nawet i niewiasty szyjące szaty wyręczane są machinami, ale nawet nawlekające igły do szycia wyręczane są jeszcze maszynką do nawlekania igieł sporządzoną... — za dni takowego umysłu i obrotu rzeczy napotyka się tam i ówdzie pańszczyźniane pojęcie o pracy (czy to z Chin nawiało???) — pojęcie:

jakoby pracą było to jedynie, co ze wstrętem naturalnym człowiekowi przychodzi przedsięwziąć, poczynać i dopełniać.

O! niewolnicy, o! Ilotowie smętni: zaiste, gdyby któremu z was skrzydła Cherubinowe zarosły w ramionach... poszlibyście skrzydłami tymi ulice zamiatać. Albowiem ktokolwiek jest niewolnikiem, ten niewolnikiem pozostawa, choćby siedemkroć uskrzydliła go ludzkości prawda, jej przyszłość i cel.

— — — — — — — — — — — — —

Wiadomo jest wszystkim na świecie, że praca odnosi się swoją dzielnością i obfitością do miary wolności; — gdzie więcej wolności, tam i pracy więcej, i o ile wolniejszym społeczeństwo, o tyle dzielniejszą jest i praca.

Od pamiętającej potop Niagary do brzegów Wisły, i od Nilu do Bałtyku pojrzyjcie sprawdzenia szukając. W Persji, w Turkiestanie, na Ukrainie szlachcic ma kilkudziesięciu służących, z których każdy ze wstrętem się budzi, ze smętkiem liberię wkłada, i potem — skoro o posługę zawołasz — wszyscy biegną szukać jeden drugiego i wszyscy stękają i kwaśni są, i nikt nie jest nigdy usłużonym. W Anglii jeden służący robi tyleż i jest bardzo zadowolony z siebie obywatel. W Ameryce on zakontraktowanym jest w to zajęcie jak każdy bliźni jego człowiek, i wie, że może jutro kontrakt jego skoń-

czy się, a on potem robić będzie co innego, a może i prezydentem kiedyś być zamierzy, co gdyby względnić się dawało, wotować będzie na niego obywatel, któremu on dawniej usługiwał.

— — — — — — — — — — — — — —

Praca jest tak dalece samodzielnością, iż najemnik ulicę brukujący, jeśli tylko tak jak drudzy ręką rusza a nie wkłada w robotę swego oryginalnego akcentu... to próżniak... i doświadczony dozorca pracy oddala go.

To pojęcie moje o pracy całe jest, bo od brukującego ulicę do Kopernika też same i jedne i zupełne. Zaś dlatego całe, że prawdziwe: sic est.

— — — — — — — — — — — — — —

Nikt ze smętnością większą do pracy się nie zabiera jak pańszczyźniany kmieć, i wiadomo jest niemniej, co to znaczy praca za pańszczyznę! — to czynne próżniactwo!... A jakkolwiek postawisz taką pracą piramidy, o których też ledwo że wiemy co są — jednakowoż nie postawisz taką pracą na nogi chromego narodu ani Leonidasowej falangi. Pojrzyjcie, o! Ilotowie, największego Męża-stanu, jakiego zna cywilizacja, czyliż on (Mojżesz) wyprowadza lud na pracę, czyli OD pracy takowej właśnie i właśnie że na odpoczynny Boży dzień!...

Pojęcie smętne, kwaśne, indyjsko-pańszczyźniane o pracy, które na wstępie wyklęliśmy i tym wyklinamy pismem, nie idzie ani z dogmatu, ani z pełnej filozofii, ani z dziejów... „Kto w pojmanie wiedzie, w pojmanie pójdzie" — mówi Apokaliptyk: pojęcie owe indyjsko-pańszczyźniane pochodzi z koniunkcji materializmu bursowego Zachodniego i materializmu kastowego Wschodniego — płód jest mieszańcem!...

Zaprawdę powiadam, że Rodzic ludzkości, skazanym będąc na pracę z potem CZOŁA, miał sobie dane w tymże samym ukazie zapewnienie, iż żona jego da początek potomstwu, z którego narodzi się Zbawca. Dlatego ot praca człowieka, lubo z pokutnego źródła pochodząca, nie tylko że się na smętnościach pokutnych nie ogranicza, owszem byłaby niecałą rzeczą, gdyby nie obejmowała Zbawstwa — czyli: byłaby bez-celną Ilotów pańszczyzną!

Cyprian Norwid

Do Spartakusa (O pracy)
Fragmenty

ZDZISŁAW JASTRZĘBSKI

OCALONE DZIEŁO NORWIDA

(W 75 LECIE ŚMIERCI)

Utarła się dość powszechnie opinia, że Norwid był oderwany od swej epoki i że nie żył jej sprawami. Jest w tym olbrzymi błąd wynikający z drobnej nieścisłości: co innego jest nie rozumieć i odsunąć się, co innego zaś mieć różniące się od ogółu poglądy. Tak właśnie było z Norwidem. Jeśli już godzono się na jego aktywność, to uważano, iż nieporozumienie poety z własnym czasem było wynikiem jego „mistycyzmu" i braku życiowego realizmu. Nawet Krasiński wytykał mu: „Żyjesz w wieczności". Zarzucano to Norwidowi, który właśnie widział całą tragedię w tym, że wszystkie cywilizacje praktyczne są niechrześcijańskie, a chrześcijańskie niepraktyczne. Autor *Ad leones* był i praktyczny, i chrześcijański, uczestniczył w sprawach życia. Ten „mózgowiec" i „esteta" walczył nieustannie i walczył całym swym życiem i twórczością. „Bo słowo, które nic nie czyni, a czyn, co nic nie mówi — równa czczość. Takie obie akcje — ruchem tylko" (*Listy o emigracji*). Postulatywność, programowość, zaangażowanie i czerpanie doświadczeń z faktów stanowi naczelną bodaj cechę dzieła Norwida.

Z iście dziennikarską szybkością reagował na każde wydarzenie społeczne, polityczne czy kulturalne i to mimo nędzy materialnej i wielu przykrości, jakie go spotykały. Był jednym z najbardziej aktywnych i czujnych ludzi swego czasu. Nie tylko dlatego zresztą, że pisał okolicznościowe i polityczne wiersze, memoriały, manifesty, noty, że do walki o swoje „idee" zaprzągł tak prywatną, zdawałoby się, rzecz jak listy, lecz również dlatego, że nigdy nie zatracił bystrości spojrzenia i trzeźwości, nie ulegał lenistwu utartych pojęć i mody. „Życie — jest to przytomność, a przytomność — obecność, a obecność jest jawność, z której rośnie sumienie, więc moc, więc krzepkość wielo-woli... — — i to jest wszystko, com powiedział", pisze Norwid w *Odpowiedzi na zarzuty przeciwko Listom o Emigracji.*

Wielkiej zaiste odwagi trzeba... Zwłaszcza że poeta nie wspierał się o żadne stronnictwo, co więcej — lekceważył ich kłótnie. Nie rozdzierał również patriotycznych szat z jeremiadową łezką. Był jak artysta ze swego wiersza *Fatum*, który nie załamywał się nieszczęściami, lecz wykorzystywał je dla bogacenia siebie. Taka postawa sokratejska (na Sokratesa Norwid parokrotnie się powoływał), bezkompromisowość i żywotność, a co za tym idzie, wyrastanie ponad przeciętność, musiała grozić niezrozumieniem i samotnością. Bo „każdy kto serio kilkanaście kroków w życie polskie postawi, znajdzie się w takiej samej samotności" (List do Lenartowicza).

Nikt nie jest prorokiem w swojej ojczyźnie (i w swoim czasie) — jeśli stawia zbyt wysokie cele i wymagania. Norwid często potrącał o te słowa ewangeliczne i wyliczał długą listę tych, którzy „zawinili": Sokratesa, Dantego, Kolumba, Kościuszkę, Mickiewicza...

Niełatwo zresztą było współczesnym pojąć, a zwłaszcza podjąć takie słowa Norwida: „Prawo wojujących (...) możliwą jest rzeczą do zdobycia, mało możliwą do otrzymania. Możliwą zwłaszcza u społeczeństw i narodów, które są w sercach swoich wolne; to jest te, które nie małpują (przepraszam za nieparlamentarne wyrażenia), które, mówię, nie naśladują rzeczy dokonanych przez inne ludy w innych znajdujące się kosmicznych i socjalnych warunkach: ale które i owszem, wychodząc na widownię historii, mają tę trzeźwość, iż chcą same coś stworzyć, same jeden więcej szczebel w sprawie wolności świata zyskać" (*Kopia noty z 9 punktów*). Rozumiano czasem słowa, nie rozumiano tylko ich konsekwencji i zawrotnej przenikliwości. Wystarczy przeczytać choćby cytowane przez Norwida zarzuty przeciwko jego *Listom o emigracji* „dla jednych były za ciemne, dla drugich za cierpkie"; nie chwytano ich całości, a pojedyncze ustępy uważano za "ślinę w oczy". I mimo że zwracano się doń z prośbą o opracowanie różnych projektów, mimo że przesyłał liczne noty L. Mierosławskiemu czy K. Ruprechtowi oraz wielu redakcjom, nie przyjęto ich w pełnym brzmieniu. Mnóstwo z nich zaległo redakcyjne teki lub kosze.

*

Cała działalność publicystyczna autora *Zmartwychwstania narodu* uległa w ten sposób zniszczeniu, zapomnieniu i rozproszeniu. Przyczyny tego są różne, lecz najważniejsza jest ta, że brak po prostu wydań tekstów. Miriam i inni szperacze wydobyli z rękopisów i czasopism wiele not i artykułów Norwida, lecz ogłaszali je pojedynczo w pismach. *Rozprawki epistolarne* wydane przez Miriama

w 1933 r. i *Słowo i litera* ogłoszone przez Pigonia w 1935 r., zawierają tylko część materiału i są równie niedostępne. Tom VII *Wszystkich pism* Norwida zawierający *Pisma Filozoficzne, Społeczne itd.* został wydrukowany w 1939 r., lecz jeszcze nie zbroszurowany z powodu braku przedmowy. Cały nakład spłonął w powstaniu. Zachował się tylko jeden egzemplarz u Miriama w piwnicy i egzemplarz korektorski wraz ze szkicem przedmowy u Zbigniewa Zaniewickiego, przebywającego obecnie w Anglii.

Otóż na podstawie tego egzemplarza Zaniewicki opublikował tom *Pism politycznych i filozoficznych*, który jest reedycją VII tomu *Wszystkich pism*, chociaż staranną szatą graficzną przypomina raczej *Pisma zebrane* z 1911 r. Ukazał się on w listopadzie 1957 r. nakładem Oficyny Poetów i Malarzy w Londynie. Znów nie w Polsce. To samo wydawnictwo w 1953 r. opublikowało również po raz pierwszy drukiem cykl wierszy Norwida z 1866 r. pt. *Vade mecum*. Jak na warunki emigracyjne jest to fakt „luksusowy".

Te dwa tomy Norwida świadczą również o dużym zainteresowaniu autorem *Mojej piosnki*, której dzieci uczą się na emigracji w szkołach. Wyrazem tego zainteresowania jest też podróż śladami wędrówki Norwida do Ameryki podjęta przez Witolda Małcużyńskiego, nazwanego spadkobiercą testamentu duchowego poety, poświęcony Norwidowi cały numer „Życia" londyńskiego, kilka tłumaczeń wierszy, wołanie o stworzenie Instytutu Polskiej Kultury im. Norwida... Jakie są pobudki tego zainteresowania? Może najwyraźniej określił je Dubicki w nowojorskim piśmie „Nowy Świat": „Gorzka dola Norwida bliska jest wszystkim polskim wygnańcom". Młody zaś poeta Adam Czerniawski, określając stosunek młodych do Mickiewicza, stwierdzał: „Norwid zaś, oprócz tego, że był wielkim poetą, był także, w przeciwieństwie do Mickiewicza, emigrantem *par excellence*". Jednakże emigranckość Norwida nie wyczerpuje zagadnienia. „Cyprian Norwid obok dorobku czysto artystycznego przekazał nam potomnym olbrzymi ładunek myśli i wskazań o przeznaczeniu wieczystym", stwierdza tenże Dubicki. Zaniewicki zaś, wypuszczając ów VII tom w świat, opatruje go takim życzeniem: „Oby książka ta (...) stała się drogowskazem w zamęcie dziejów. Przeszła ona próbę czasu i próbę ognia płonącej stolicy, by z jedynego ocalałego egzemplarza, niby z nasienia, wzejść ponownie na emigracyjnej glebie. Od Was, od serc i sumień Waszych zależy, czy słowa Norwida wydadzą tym razem plon". A więc słowo poety pojęte jako testament, który winniśmy realizować.

Zanim książka ta dotrze do nas w większej ilości egzemplarzy i zanim wydrukowana zostanie w Polsce (na rok bież. przewidziane

jest wydanie 7-tomowego wyboru pism Norwida w opracowaniu J. W. Gomulickiego), zapoznajmy się pokrótce z tym, co zawiera. Jest w niej 45 artykułów, not, listów, memoriałów — różnej objętości. Pod względem charakteru tom ten najlepiej byłoby określić jako pisma publicystyczne, gdyż mamy w nim zarówno myśli polityczne, jak społeczne, filozoficzne i religijne. Ich wspólną cechą jest właśnie to, co nazywa się ogólnie ujęciem publicystycznym.

Zaniewicki powiada w *Przedmowie,* która jest właściwie odtworzeniem „wykładu" Miriama na temat politycznych poglądów Norwida, że „treścią tego tomu jest POLSKA", że nie było wydarzenia choćby pośrednio dotyczącego Polski, by Norwid nie zabierał o nim głosu. Otóż należy dodać, że nie tylko o Polsce myślał, lecz także o ludzkości w ogóle (by przytoczyć z niniejszego tomu *Fabulizm Darwina* i *Żydy i mchesy* a z wierszy *Do emira Abdel-Kadera* i *Do obywatela Johna Brown*), „albowiem — szlachetny człowiek nie mógłby wyżyć dnia jednego w Ojczyźnie, której szczęście nie byłoby tylko procentem od szczęścia Ludzkości. Wszyscy dziadowie i ojcowie rz.-pospolitej tak pojmowali sprawę Polską" (*Żeby zapytał kto Jana III-go*). Ojczyznę pojmuje Norwid przede wszystkim jako moralne zjednoczenie, jako „wielki zbiorowy Obowiązek".

Wynika to z braku państwowego bytu, lecz ma też głębsze podstawy. Ponieważ władzy zewnętrznej nie ma „i jest tylko wewnętrzna obowiązująca sumienia — świadomość", wobec tego Norwid stawia pytanie, czy samą nagą prawdą da się utrzymać życie narodowe, i zaraz odpowiada: „Ja — myślę, że p r a w d a, gdyby była bezstronnie i w całej szerokości rozwinięta, wystarczyć może — bo tylko sprawy l i c h e fałszem się nad-sztukowywać potrzebują".

W imię tej prawdy podejmuje walkę z narodowymi wadami: z prywatą, z brakiem poczucia odpowiedzialności i „społecznego sensu", z niewczesnością czynów i domaga się „p r z e c i w - w a g i w pracy, w prawdzie, w jawności". Stąd dużą rolę przypisuje opinii, która jest wyrazem życia publicznego i jawnego, głęboko rozumie potrzebę „rozbudowania" życia społecznego i demokratycznych instytucji. W konsekwencji tego stanowiska dużo uwagi poświęca prasie, projektom Towarzystw, idei reprezentacji. „I d e a R e p r e z e n t a c j i z tej przyczyny tak wielką i tak wielce chrześcijańską jest, iż przez nią c a ł y - c z ł o w i e k zyskany jest dla społeczeństwa i c a ł e - s p o ł e c z e ń s t w o dla człowieka [...]. Reprezentacja w pierwszych Cywilizacji wiekach była S y m b o l e m, następnie I d e ą: dziś zaś nie tylko symbolem i Ideą, ale S i ł ą stanie się — i siłą ze wszech sił cywilnego świata najpotężniejszą! Siłą, mówię,

dlatego się dziś ona organicznie stawa, albowiem nie już jeden ród — jedna ludzi warstwa — ale każdy człowiek wolny reprezentantem jest całości, w której energia jego — jakiejkolwiek bądź treści jest ona — ma swoje pole, obrót swój, i jest przykładem".

W rozważaniach Norwida ów ludzki i społeczny aspekt oparty jest o pierwiastek Boży. Wszystko odniesione jest do Boga. „Tak więc — pierwsza rzecz jest m o d l i t w a, czyli znalezienie stosunku naszego z S i ł a m i N a j w y ż s z y m i i użycie go. Druga rzecz jest znalezienie stosunku naszego z l u d ź m i i użycie go tak, ażeby tamtego pierwszego nie popsuł. Te dwie rzeczy w każdym utrapieniu, w każdej boleści, w każdym smutku są główną robotą". Za motor dziejów Norwid uważa miłość, stąd odrzuca także ideę zemsty.

Tomu *Pism politycznych i filozoficznych* nie da się czytać jako przyjemną lekturkę od deski do deski, tak zresztą jak całej twórczości Norwida. Stanowi on pasjonującą lekturę, lecz trzeba doń wracać, traktować jako testament żywej myśli.

A kto me pieśni — kiedyś! — rzucane z zaświata
I pobite jak starych urn dzika mogiła
Złoży duchem: jedna z nich będzie i — skrzydlata,
Co nazywa się popiół, lecz zwie się i Siła!

Zdzisław Jastrzębski

NA ŚWIĘTO MATKI BOSKIEJ
POŚREDNICZKI WSZYSTKICH ŁASK (31 V)

Bóg jest Miłością, czytamy u św. Jana.

Wszystkie tajemnice Boże są tajemnicami miłości. Taką jest tajemnica Trójcy świętej, tajemnica stworzenia świata z niczego, wcielenia Słowa, odkupienia, wreszcie założenia Kościoła. Miłość, która ma łączyć członki tego mistycznego ciała, przyrównał Chrystus, jego Głowa, do boskiej miłości w łonie Trójcy: „Ojcze święty — modlił się — zachowaj w imię twoje tych, których mi dałeś, aby byli jedno jako i my" (J. XVII, 1).

W świetle ogólnego prawa miłości, płynącego z samej istoty Boga, rozważmy rolę Najśw. Marii Panny jako pośredniczki wszystkich łask.

Miłość Boża przewyższa nasze ludzkie pojęcia. Widzimy to w przypowieściach o owcy zagubionej, o synu marnotrawnym, o robotnikach w winnicy, gdzie Bóg wysuwa ostatnich przed pierwszych. Również i pośrednictwo w Bożym porządku inny ma sens niż w porządku ziemskim. Gdy w stosunkach z ludźmi uciekamy się z konieczności do pośredników, wiemy, że im dłuższy ich łańcuch, tym drożej zapłacimy a mniej otrzymamy. Odwrotnie jest w porządku Bożym: żadna prośba nie traci na sile i żaden dar się nie umniejsza, gdy pośredniczą wszyscy aniołowie i święci, a ponad nimi Matka Boża — przeciwnie, potęguje się prawem miłości, wzrasta i pomnaża się o całą ich miłość. A żadna sprawa ludzi, dzieci Bożych, nie obywa się bez kochającego współudziału całego nieba. Sam nawet Syn Boży zechciał nazwać się naszym pośrednikiem wstawiając się za nami jako arcykapłan i głowa Kościoła. Co więcej jest On, jak mówi Apostoł Paweł, jedynym pośrednikiem — w tym sensie, że wszelkie orędownictwo, nawet wszechmocne orędownictwo Maryi, z odkupienia Chrystusowego czerpie swoją skuteczność. Jak mamy rozumieć potrzebę pośredników w naszych stosunkach z Bogiem? Nie ciasno i formalnie, wedle doświadczeń ludzkich. Przestrzegał nas przed tym Chrystus mówiąc po ostatniej wieczerzy do apostołów: „W on dzień

w imię moje prosić będziecie, i nie mówię wam, że ja będę prosił Ojca za wami, sam bowiem Ojciec miłuje was, boście wy mnie umiłowali". (J. XVI, 2—27). Bóg nie jest niedostępnym władcą, do którego nie można inaczej trafić jak przez jego sługi czy ministrów, czy wreszcie rodzinę, aby zostać wysłuchanym. Będąc przez łaskę Jego dziećmi możemy zwracać się do Niego wprost i sam nas tego nauczył w najdostojniejszej modlitwie: Ojcze Nasz. Ale czy odmawiamy tę właśnie modlitwę, czy polecamy się Maryi lub świętym, lub też wznosimy myśli do Boga bez słów, zawsze modlitwa nasza, byle szczera i pokorna, staje przed Nim spotęgowana miłością i wstawiennictwem aniołów, dusz zbawionych, a nade wszystko naszej Matki Maryi.

Oto pocieszająca prawda, która nie jest domysłem naszym czy przypuszczeniem, ale wynika z prawa miłości. Aniołowie, zbawieni i sprawiedliwi żyją w takim zjednoczeniu z Bogiem, że każda sprawa dotycząca dzieci Bożych jest ich własną sprawą — kochają nas oni w Bogu i na sposób Boży: nie darmo Chrystus nam opowiedział o radości aniołów z powodu odnalezienia owcy zgubionej, czyli nawrócenia grzesznika. Pragną dla nas dobra w łączności z Bogiem, a więc modlą się o nie, nawet gdy my o tym nie wiemy czy nie pamiętamy. Kościół nigdy o tym nie zapomina i w każdej mszy świętej, zwłaszcza w prefacji, gdy łączy swoją modlitwę ze śpiewem Serafinów i Cherubinów, oraz w Communicantes — wyraża wiarę, że w królestwie Bożym zjednoczonym miłością nic nie dzieje się bez współudziału wszystkich.

Jeszcze mocniejszym wyrazem tej prawdy jest dogmat o Świętych Obcowaniu i mistycznym Ciele Chrystusa. Jesteśmy w Chrystusie tak ściśle zjednoczeni, że każdy postępek lub myśl, dobra czy zła, odbija się na całości życia Kościoła, podnosi jego nadprzyrodzony rozkwit lub go pomniejsza. My wspieramy modlitwą innych, a wzajemnie każda nasza prośba staje przed Bogiem wsparta modlitwami i zasługami wszystkich członków Kościoła czy to żyjących, czy zmarłych.

Jakże łatwo nam wobec tego pojąć, że nie tylko możemy, ale musimy ufać we wszechpośrednictwo Maryi, matki naszej. Otrzymała Ona przecież prawo orędowania za nami w nieskończenie wyższym stopniu niż wszyscy aniołowie i święci. Nie tylko dała nam Odkupiciela, który nas włączył w królestwo łaski, ale i sama nazwana być może Współodkupicielką przez swój udział w cierpieniach i męce Syna. Syn podzielił się z Nią ciężarem dzieła Odkupienia, a więc i jego owocami. I tak jak każde wołanie ludzkie do Boga w Niej natychmiast znajduje orędowniczkę, tak każda łaska Boża jest naprzód darem dla Niej, najbardziej ukochanej ze stworzeń, jest przede

wszystkim spełnieniem Jej prośby. Bo nie byłoby zgodne z porządkiem miłości, gdyby Bóg dając nam jakikolwiek dar pomijał przy tym Jej macierzyńskie ręce, pomijał niejako okazję uszczęśliwienia Jej macierzyńskiej miłości. Nawet wśród ludzi czym można więcej uszczęśliwić matkę jak składając w jej ręce dar dla dziecka? Kiedy na krzyżu Jezus uroczyście powierzył całą ludzkość Maryi jako Matce, oznaczało to, że Ona właśnie będzie szafarką darów odkupienia ku radości Syna i wszystkich świętych. Bo nie można przewyższyć w hojności Boga. Maryi, która najmniejszym drgnieniem serca nie odmówiła Mu nigdy niczego, Bóg dał ludzkość w opiekę. Ale zarazem dał prawo, jakiego mieć nie może żadna ziemska matka: cokolwiek zechce dać swym dzieciom, otrzyma dla nich.

By się umocnić w tej wierze i w tej nadziei, raz jeszcze powróćmy do tego przedziwnego prawa Świętych Obcowania, które cały świat żyjący w łasce łączy miłością. Jak drganie struny wydobywa dźwięk ze wszystkich strun tak samo nastrojonych, tak każda modlitwa zgodna z wolą Bożą porusza i jednoczy w tej samej prośbie wszystkie dusze zbawione i wszystkich aniołów. A tak samo każda łaska Boża uszczęśliwia ich, nim spłynie na nas. Spływa zaś na nas dzięki zasługom Syna Bożego, nie pomijając nigdy rąk Jego Matki.

Ów więc przywilej Maryi, który dzisiaj rozważamy, jakkolwiek zdumiewający, jest jasnym i niewątpliwym następstwem Bożego prawa miłości obejmującej całe dzieło stworzenia. Jej wszechpośrednictwo odgadują nie tylko serca nasze, ale skłaniają się przed nim także nasze umysły. Jeżeli nie ma ani jednej duszy w łasce, która by w jakiś sposób nie pośredniczyła w darach Bożych — o ileż więcej może Matka Boża i Współodkupicielka. Może Ona wszystko u Boga.

I znów powtórzmy, że dzieje się to z woli Boga w sposób przewyższający nasze ziemskie pojęcia. Więc nie wyobrażajmy sobie, że ów przywilej miłości uszczupla w jakikolwiek sposób wszechmoc Bożą, lub jest — jak to po ludzku się mówi — drogą służbową do tronu Bożego. Nasza Matka w niebie nie odgradza nas w jakikolwiek sposób od Boga, ani nie przedłuża drogi do Niego. Zjednoczona miłością z Trójcą świętą wiedzie Ona wszystkie dusze do tego niepojętego zjednoczenia, o które modlił się Chrystus: — „Niech będą jedno jako i My".

H. M.

DOKĄD ZMIERZA KAPITALIZM?

Pytanie to, w tytule postawione tak śmiało, choćby z największym bólem rozwiązać by należało.

Panujący w Stanach Zjednoczonych system gospodarki w swej obecnej postaci wykazuje często niedomagania i trudności, wywołujące potrzebę modyfikacji i szukania nowych rozwiązań. Poszukiwania te widoczne są w dwóch płaszczyznach: teoretycznych rozważań naukowych i konkretnych rozwiązań praktycznych proponowanych przez czynniki współdecydujące o linii rozwojowej życia gospodarczego.

Jest zrozumiałe, że budzą one żywe zainteresowanie także w Europie. *Le Monde* referował niedawno francuskie wydanie pracy Adolfa Berle [1], prof. prawa na uniwersytecie Columbia i byłego wieloletniego współpracownika Roosevelta. Autor analizuje rolę w społeczeństwie kapitalistycznym spółek akcyjnych i dochodzi do wniosku, że owe anonimowe twory, w założeniu swym ograniczone do domeny prawa prywatnego, w istocie stały się instytucjami prawa publicznego, rozporządzają bowiem takim istotnym atrybutem tego prawa, jakim jest władza. Władza ta posiada szeroki zakrès. Dyrekcja spółki może nie tylko przyjmować i zwalniać pracowników i wpływać na kształtowanie się poziomu płac, ale decyduje także np. o uprzemysłowieniu pewnych miejscowości lub regionów, o tym, jakie rynki będą zaopatrywane w produkowane przez nią towary, o rodzajach towarów i usług oferowanych kupującemu, o stopie procentowej kapitału itp.

Oczywiście pełnym depozytariuszem tej władzy nie jest poszczególne przedsiębiorstwo, ale niewątpliwie stanowi ona realny przywilej 200 największych spółek, w których ręku — według obliczeń ekonomistów — skupiona jest przeszło połowa całego przemysłu amerykańskiego. Znaczenie tego przywileju rośnie w miarę postępowania koncentracji kapitału i stopniowego ustępowania z areny życia gospodarczego czynnika tak charakterystycznego dla okresu kapitalizmu „drapieżnego", jakim była pełna wolność konkurencji (n. b. ani przedsiębiorcy, ani robotnicy nie chcieliby dzisiaj powrotu do zasady całkowicie wolnej konkurencji, przekładając nad

[1] Adolf A. Berle, *Le capital américain et la conscience du roi*, Editions A. Colin.

wszystkie jest strony dodatnie jedną korzyść, jaką im dzisiejszy system zapewnia: względną pewność egzystencji i wyeliminowanie niebezpieczeństwa znalezienia się niespodziewanie na marginesie życia gospodarczego).

Istniejący porządek prawny właściwie nie gwarantuje ochrony jednostki przed nadużyciami ze strony tego typu „władzy". Przykładowo autor przytacza sprawę *General Electric*, gdzie w roku 1953 komisja senacka postanowiła przeprowadzić w dwóch zakładach dochodzenie celem wykrycia komunistów: kiedy kilku pracowników odmówiło złożenia zeznań, powołując się na ustawowe prawo do nieświadczenia przeciwko sobie samemu, prezes koncernu zapowiedział, że pracownicy, którzy nie zechcą zeznawać, zostaną zwolnieni z pracy; w ten sposób podjął on się niejako funkcji „ustawodawczej" w dziedzinie, w której dotychczas nie istniała żadna sprecyzowana ustawa.

Nawiązując do powyższego przykładu A. Berle proponuje wydanie „pewnego rodzaju współczesnej deklaracji praw człowieka, przewidującej instancję, do której można by się odwoływać z widokami szybkiej i skutecznej interwencji. Jeśliby *General Electric*, *General Motors* lub *International Harvester* wpadły na pomysł uwięzienia kogoś, zostałoby natychmiast zastosowane prawo *habeas corpus*. Ponieważ jednak dzisiaj można zagrozić życiu człowieka, nie stosując zupełnie przymusu fizycznego, lecz po prostu odbierając mu możliwość pracy, przeto historyczny *habeas corpus act* już nie wystarcza".

Zastanawiając się nad przyszłością kapitalizmu autor przewiduje dalszy rozwój systemu polegającego na kombinacji własności prywatnej i państwowej oraz dalszy rozwój gospodarki planowej. Nie tu jednakże leży sedno problemów. Zdaniem jego, nadszedł teraz czas, by dyrekcje wielkich spółek akcyjnych zadały sobie zasadnicze pytanie: na czym polega wspólnota, w którą wierzą, której służą i której bronią. Społeczność ponadnarodowa, jaką w wiekach średnich próbował stworzyć Kościół katolicki, społeczeństwo bezklasowe, o jakim śni marksizm, to idee, które potrafiły lub potrafią jeszcze wlać entuzjazm w masy. Jak natomiast wygląda „jutro", oferowane przez *Standard Oil of New-Jersey*? Tym znakiem zapytania A. Berle kończy swe refleksje.

Inny uczony amerykański, prof. Frank Tannenbaum upatruje rozwiązanie postanowionego wyżej problemu w idei syndykalizmu [1]. „Ruch syndykalistyczny — pisze — stanowi podświadomy bunt przeciw atomizacji społeczeństwa przemysłowego". Kapitalizm zburzył wspólnotę. Zarówno pracownik jak akcjonariusz są anonimami, uzależnionymi od sił, nad którymi nie posiadają żadnej kontroli. Chcąc uciec od tej pustki moralnej pracownik zwraca się ku syndykatowi, który — podobnie jak dawne cechy — daje na-

---

1 Frank Tannenbaum, *Le Syndycalisme*. Editions La Colombe.

dzieję włączenia go w jakąś realną wspólnotę, podniesienia ponad sprawy czysto pieniężne.

By stworzyć warunki, w których pracownik poczuje się rzeczywistym członkiem spółki, trzeba zlikwidować sytuację sprzyjającą „bezosobowości" pracownika, ciągłemu zmienianiu przez niego miejsca pracy i brakowi poczucia odpowiedzialności. Jako drogę do tego Tannenbaum wskazuje dopuszczenie pracownika do współwłasności przedsiębiorstwa i współzarządzania nim, rozwiązanie, do którego — jego zdaniem — nieuchronnie zmierza proces rozwoju życia gospodarczego. Świadczą o tym choćby umowy zbiorowe, które stanowią przecież poważne zacieśnienie uprawnień pracodawców. Wprowadzenie zasady udziału w zyskach pracowników wpłynęłoby niewątpliwie korzystnie na ich zainteresowanie produkcją, a tym samym oddziałałoby na jej poziom.

Ta — rewolucyjna jak na stosunki amerykańskie — koncepcja niedługo pozostawała w sferze czystej teorii. Lecz w związku z wygaśnięciem w kwietniu br. umowy zbiorowej, obowiązującej w amerykańskim przemyśle samochodowym, Walter Reuther, przewodniczący związku zawodowego *United Automobile Workers* (liczącego 400.000 członków), wysunął jako podstawę do pertraktacji z pracodawcami w sprawie zawarcia nowej umowy następującą propozycję: zyski przedsiębiorstwa zostają podzielone w ten sposób, że 50% otrzymują akcjonariusze, 25% personel przedsiębiorstwa i 25% klienci — w formie obniżenia cen produkowanych samochodów. Udział pracowników w zyskach byłby połączony z ich wglądem w gospodarkę przedsiębiorstwa. Obniżenie ceny wozów miałoby na celu zwiększenie popytu i zbicie argumentów lansowanych stale przez pracodawców, jakoby podniesienie dochodów pracowników pociągało za sobą z konieczności tendencje inflacyjne.

Plan Reuthera stanowi zasadniczy zwrot w linii reprezentowanego przez niego syndykatu, który do niedawna wysuwał jedynie żądanie skrócenia tygodnia roboczego i podwyżki płac. Jak łatwo można się domyślić, nowy projekt wywołał zrozumiałą sensację i silne sprzeciwy ze strony pracodawców.

Juliusz Zychowicz

O „ECONOMIE ET HUMANISME"

Może najbardziej charakterystycznym, podkreślanym zresztą niejednokrotnie rysem katolickiego życia intelektualnego we Francji, to istnienie żywych, dynamicznych ośrodków, tak bardzo kontrastujących z objawami trwającego nadal powszechnego właściwie kryzysu wiary. Przygnębiające wrażenie robi widok gęsto rozsianych, prześlicznych romańskich kościołów wiejskich w malowniczej, południowej

Burgundii, niemal zupełnie opustoszałych i zaniedbanych. Na dziesięć parafii przypada tu dwu księży. Powolni, spokojni chłopi z okolic Cluny czy Autun, w typowych ciężkich sabotach, obojętnie wzruszają ramionami, gdy rozmowa schodzi na religijne tematy. Trudno zresztą uogólniać poszczególne fakty, zbyt łatwo bowiem ulega się pokusie ferowania autorytatywnych sądów. Nie można również nie dostrzec zjawisk wprost przeciwnych, często zaskakujących. W brzydkim, przemysłowym Lyonie bezpośrednio niemal sąsiadującym z wspomnianą Burgundią mieści się równocześnie kilka ciekawych, zasługujących na uwagę ośrodków katolickich. A więc przede wszystkim uniwersytet katolicki z interesującym Instytutem Społecznym i Zakładem Socjologii Religii: *Chronique Sociale de France* będące znanym wydawnictwem i redakcją miesięcznika pod tym tytułem, inspirującą szereg akcji, kursów, odczytów, a kierowaną przez Josepha Folliet, jednego z najwybitniejszych przedstawicieli katolickiej elity francuskiej; Centrum Studiów jezuickich z o. de Lubac i o. Calvez na czele; rozbudowana w formie komórek parafialnych organizacja *Pax Christi*. Wreszcie tuż pod Lyonem ma od niedawna swą siedzibę najciekawsza być może placówka zagadnień społeczno-ekonomicznych we Francji *Economie et Humanisme*.

W roku 1930, czyli na dziesięć lat przed powstaniem *Economie et Humanisme*, dominikanin o. Louis — Joseph Lebret, późniejszy założyciel a obecny dyrektor tej instytucji, zetknął się po raz pierwszy bezpośrednio z nędzą jako zjawiskiem społecznym. Kierował on wówczas Morskim Sekretariatem Społecznym w Saint-Malô mającym na celu obronę interesów drobnych rybaków bretońskich. Kilka lat pracy na tym stanowisku przekonało o. Lebret, iż rozwiązania problemu należy szukać na dużo szerszej płaszczyźnie niż wąski wycinek, jaki stanowi jedna grupa społeczna. Niełatwo było w przededniu drugiej wojny światowej zająć własne stanowisko różne od ostro krytykowanych liberalizmu i marksizmu oraz niemożliwych do przyjęcia środków zaradczych propowanych przez pretendujący do roli jedynego arbitra spraw społecznych narodowy socjalizm. W obliczu takich to podstawowych trudności powstaje z inicjatywy o. Lebret ośrodek studiów nad marksizmem, mający daleko większe ambicje niż sama krytyka istniejących doktryn społecznych. Na koniec w 1940 r. o. Lebret zakłada w Marsylii wespół z François Perroux, Gustave Thibon i kilku innymi osobami instytut badań ekonomicznych znany pod nazwą *Economie et Humanisme*.

Znamienną cechą instytutu, będącego z punktu widzenia prawnego stowarzyszeniem, jest to, że skupia on zarówno świeckich jak i duchownych. I tak obecnie w składzie dziewięcioosobowego zarządu znajduje się pięciu świeckich i czterech duchownych. Przewodniczącym jest z reguły świecki, dyrektorem zaś kierującym bezpośrednio pracą —

duchowny. Świeccy członkowie stowarzyszenia są wybierani, duchowni natomiast (przeważnie dominikanie) kierowani przez władzę kościelną. „Bazę" finansową instytutu stanowią częściowo dochody z wydawnictw, częściowo subwencje francuskiego Państwowego Ośrodka Badań Naukowych *(Centre National des Recherches Scientifiques)*, a częściowo dary i ofiary z źródeł prywatnych.

Pomimo niezaprzeczenie naukowego charakteru instytutu nie dociekania teoretyczne są zasadniczym celem podejmowanych prac. Drobiazgowa analiza zjawisk ekonomicznych w społecznym ich aspekcie ma służyć praktycznemu działaniu, przebudowie struktury ekonomicznej odgrywającej tak doniosłą rolę we wszelkich procesach zachodzących w społeczeństwach współczesnych. Stąd też ambicją zespołu *Economie et Humanisme* jest przerzucenie pomostu pomiędzy nauką a działaniem ludzi kierujących polityką ekonomiczną kraju na szczeblu przedsiębiorstw, związków zawodowych czy ministerstw. Dewizą współpracowników o. Lebret stało się wyrażenie *vivre avec* — żyć z ludźmi i dla ludzi, służyć i oddziaływać na tych, którzy na bieżąco, codziennie kształtują oblicze gospodarki krajowej, zarówno w dziedzinie przemysłu jak i rolnictwa. W ostatnich latach zakres zainteresowań zespołu przekroczył znacznie granice zagadnień związanych z gospodarką francuską obejmując w pierwszym rzędzie także problemy krajów ekonomicznie zacofanych.

Skuteczność wszelkiej działalności zależy bezsprzecznie od stopnia znajomości dziedziny, którą się chce zmienić. O wartości zaś osiągniętych wyników poznawczych decyduje zastosowana metoda. Należy z uznaniem podkreślić, że punktem wyjścia prac podjętych przez *Economie et Humanisme* było nie sformułowanie doktrynalnych założeń, lecz opracowanie sposobów gromadzenia i analizowania danych dotyczących socjologii życia gospodarczego. Otóż naczelną metodą, jaką posługuje się zespół, jest ankieta z całym pomocniczym aparatem w postaci najrozmaitszych kwestionariuszy, diagramów i wykresów. Chodzi bowiem o możliwie bezpośrednią i wierną obserwację, niezależną od większości oficjalnych statystyk. Od czasów kiedy zaczęto w latach czterdziestych badać w ten sposób warunki pracy dokerów w Marsylii, zespół *Economie et Humanisme* w znacznym stopniu udoskonalił swoje znane już szeroko ankiety. Osiągnięty w tej dziedzinie dorobek zawarty został w podstawowym czterotomowym dziele o. Lebret pt. *Guide pratique de l'enquête sociale* (1950—1957), poprzedzonym około trzydziestoma innymi pracami tegoż autora.

Wydaje się rzeczą zrozumiałą, dlaczego położono tak duży nacisk na ankiety. Właściwie ankieta bowiem pozwala skoncentrować uwagę na roli człowieka w mechanizmie gospodarczym, pozwala nie stracić z oczu humanistycznego aspektu ekonomii. Badania prowadzone przez *Economie et Humanisme* dotyczą

więc człowieka w całym jego bogatym kontekście społeczno - ekonomicznym, począwszy od struktury geograficznej danego obszaru, poprzez socjologiczną analizę grup społecznych, charakterystykę poziomu materialnego, poziomu techniki, życia kulturalnego, społecznego i duchowego — by w ten sposób na koniec wypracować „ekonomię potrzeb ludzkich" poszczególnych regionów. Równocześnie z drugiej strony analizuje się wszelkie możliwości rozwoju (w szerokim tego słowa znaczeniu) badanego obszaru, a także sposoby jak najszybszego wykorzystania rozporządzalnych zasobów, proponując przy tym, w oparciu o osiągnięte wyniki, możliwie celową i humanistyczną zarazem strukturę społeczną. Przykładem takiego właśnie podejścia do problemów ekonomicznych są na dużą skalę prowadzone obecnie przez *Economie et Humanisme* badania nad krajami Ameryki Łacińskiej. W wyniku tak olbrzymiego dopiero wysiłku powstaje to, co nazwać by można doktryną, a raczej zespołem wytycznych życia gospodarczego. Takimi wytycznymi są na przykład zasady, na których opiera się lansowana przez ten zespół „ekonomia potrzeb" w odróżnieniu od dotychczasowej „ekonomii zysku" czy też zasada pierwszeństwa jedności terytorialnej nad organizacjami zawodowymi.

Zarówno dziedzina zainteresowań *Economie et Humanisme* jak i płaszczyzna, na której stawia się i rozwiązuje poszczególne problemy nie angażuje bezpośrednio wiary. Stąd też współpraca na tym odcinku z niewierzącymi układa się w praktyce całkiem pomyślnie. Tym niemniej celem zespołu jest również odpowiedź na pytania będące konsekwencją katolickiego spojrzenia na rzeczywistość gospodarczą. Innymi słowy, chodzi o scalenie koncepcji „doczesnych" z „teologiczną wizją świata". Tym zadaniom służy osobna seria wydawnictw zatytułowana *Spiritualité*, podobnie jak organizowane corocznie cykle rekolekcyjne. Wyrazem tych tendencji w zakresie badań czysto naukowych są między innymi prace z dziedziny socjologii religii.

Economie et Humanisme bynajmniej nie zamierza wkroczyć w kompetencje związków zawodowych czy akcji katolickiej — wręcz przeciwnie — pragnie swoimi osiągnięciami służyć wszelkim organizacjom i poszczególnym jednostkom zaangażowanym w życiu społeczno - gospodarczym. Jednakże środowisko to nie rezygnuje z form bardziej bezpośredniego oddziaływania wychowawczego wychodząc z założenia, iż jakakolwiek forma struktury społecznej jest nie do pomyślenia bez uprzedniego uformowania ludzi. Tak więc prócz znanego, stojącego na wysokim poziomie dwumiesięcznika *Economie et Humanisme*, ukazuje się corocznie w ramach własnego wydawnictwa (połączonego obecnie z *Editions Ouvrières)* szereg monografii książkowych stanowiących osobną serię, jak np. *Les Cahiers de l'Economie humaine*, *Bases de l'humanisme*, *Efficacité*. Drogą wymiany instytut otrzymuje dwieście kilkadziesiąt czasopism fachowych

miesięcznie, co pozwala na wydawanie specjalnego biuletynu bibliograficznego umożliwiającego bieżące zorientowanie się w bezmiarze ukazujących się artykułów. Członkowie zespołu *Economie et Humanisme*, poza pracą „w terenie" i stałym kontaktowaniem się z wszelkimi pokrewnymi instytucjami naukowymi i zawodowymi, prowadzą też od szeregu lat wykłady na uniwersytecie katolickim w Lyonie i w Sao Paulo (Brazylia). Wreszcie rokrocznie organizowane są kilkudniowe sesje, zarówno dla duchownych jak i świeckich, poświęcone wybranym zagadnieniom. Sesje te mają charakter bądź międzynarodowy, bądź specyficznie francuski. W lipcu bieżącego roku odbędzie się w Paryżu otwarte dla wszystkich zainteresowanych spotkanie dyskusyjne połączone z serią wykładów na temat „Strategii i taktyki demokracji ekonomicznej". Istnieje również projekt utworzenia placówki pod nazwą *Institut de Recherches et de Formation en vue du développement*, mającej zasięg ogólnoświatowy, a współpracującej ściśle ze „światowym stowarzyszeniem do walki z głodem" i akcją l'abbée Pierre'a. Realizacja powyższego projektu uzależniona jest, jak łatwo się domyślić, od możliwości zebrania odpowiednich funduszów.

Bezpośrednie zetknięcie się z ludźmi z *Economie et Humanisme* wywołuje niewątpliwie silne wrażenie. Atmosfera wytężonej pracy a jednocześnie spokoju i realizmu budzi zaufanie do ich pracy i szacunek dla postawy — tak różnej od krzykliwej frazeologii francuskiej lewicy czy maskowanego „paternalizmem" egoizmu „szefów" wielkich przedsiębiorstw.

Krzysztof Kozłowski

EUROPEJSKA KOMISJA EKONOMICZNA

Karta Narodów Zjednoczonych (art. 1 i 55) stwierdza między innymi: „W celu stworzenia warunków stabilizacji i dobrobytu, potrzebnych dla zapewnienia przyjaznych stosunków między narodami, stosunków opartych na poszanowaniu zasady równości ludów i ich prawa do samostanowienia, Organizacja Narodów Zjednoczonych popierać będzie: a) podnoszenie stopy życiowej, pełne zatrudnienie, postęp i rozwój w dziedzinie ekonomicznej i socjalnej, b) rozwiązywanie problemów narodowych w płaszczyźnie ekonomicznej i socjalnej"...

Organem przewidzianym przez Kartę Narodów Zjednoczonych do realizowania powyższych celów jest Rada Ekonomiczna ONZ. W miarę jednak jak różnicowały się i komplikowały problemy ekonomiczne, nasuwała się potrzeba organizowania akcji i tworzenia instytucji koncentrujących się na zagadnieniach bardziej szczegółowych. Tak stworzo-

na została w r. 1943 słynna światowa organizacja pomocy UNRRA, do której należało 48 krajów i której wydatki osiągnęły cyfrę 3 miliardów 50 milionów dolarów. UNRRA była jednak organizacją tymczasową i nie obejmowała wszystkich palących zagadnień gospodarczych. W roku 1946 utworzono więc Podkomisję Odbudowy Zniszczonych Okręgów. Podkomisja ta dzieliła się na dwie grupy: dla Azji i Dalekiego Wschodu oraz dla Europy. Właśnie owa europejska grupa Podkomisji Odbudowy, a ściślej mówiąc delegaci W. Brytanii, Stanów Zjednoczonych i Polski wystąpili w r. 1946 do Zgromadzenia Ogólnego ONZ z inicjatywą utworzenia Europejskiej Komisji Ekonomicznej. Statut Komisji został na zlecenie Zgromadzenia Ogólnego zatwierdzony przez Radę Ekonomiczną w marcu 1947 r.

Europejska Komisja Ekonomiczna wchłonęła stopniowo trzy istniejące już wówczas instytucje międzynarodowe, które w r. 1957 zakończyły całkowicie swą działalność. Były to: Komitet Ekonomiczny Pomocy Europie, Europejska Organizacja Węglowa i Centralne Biuro Transportu. O ile więc idea Europejskiej Komisji Ekonomicznej wywodzi się z Karty Narodów Zjednoczonych i stanowi instrument jej praktycznej realizacji, o tyle organizacyjnie stanowi ona kontynuację Podkomisji Odbudowy oraz syntezę trzech międzynarodowych instytucji. Po utworzeniu Komisji Europejskiej powstały podobne komisje ekonomiczne dla Azji i Dalekiego Wschodu oraz dla Ameryki Łacińskiej, a w roku 1957 Zgromadzenie Ogólne ONZ postanowiło utworzyć także czwartą komisję — dla Afryki.

*

Europejska Komisja Ekonomiczna ma — podobnie jak wiele innych instytucji ONZ — równie specyficzny jak ograniczony sposób oddziaływania. Nie posiadając ani prawa decydowania, ani własnych środków finansowych ma ona przede wszystkim charakter doradczy oraz odgrywa rolę inicjatora i mediatora w szeregu umów czy posunięć gospodarczych. Ważną i pozytywną cechą Komisji jest fakt, że stanowi ona jedyną w tej chwili stałą płaszczyznę kontaktu i konsultacji przedstawicieli wszystkich krajów europejskich, nie wyłączając tych, które nie są członkami ONZ. Ze względu na niezwykle liczne powiązania gospodarcze Europy ze Stanami Zjednoczonymi biorą one również udział w pracach Komisji.

Cele Europejskiej Komisji Ekonomicznej są dwojakie: popieranie współpracy gospodarczej krajów europejskich pomiędzy sobą oraz krajów europejskich z innymi kontynentami stanowi jej główne, ale też trudniejsze zadanie. Prace naukowo-badawcze z zakresu ekonomicznego, jak statystyki, analizy rynków czy prognozy gospodarcze, to mniej może efektowna ale konkretna i niezmiernie w praktyce pożyteczna dziedzina działalności Komisji. O ile bowiem trudno jest czasem nakłonić bezpośrednio rządy różnych kra-

jów do podjęcia tych czy innych kroków gospodarczych, to wyczerpujące materiały rzeczowe i obiektywne wnioski zawarte w raportach i rocznych sprawozdaniach Komisji Ekonomicznej nie tylko cieszą się dużym uznaniem i zaufaniem rządów i przedsiębiorców prywatnych — jako znakomite źródła informacji — ale wywierają również pośrednio niemały wpływ na podejmowanie decyzji.

Organizacja Europejskiej Komisji Ekonomicznej odzwierciedla wymienione dwa typy zadań tej instytucji. Jeżeli chodzi o praktyczną, bezpośrednią współpracę gospodarczą, to odbywa się ona głównie w dziewięciu Komitetach, w których delegowani z różnych krajów eksperci omawiają i uzgadniają poszczególne zagadnienia gospodarki europejskiej, a mianowicie: sprawy rolnictwa, węgla, gazu, energii elektrycznej, mieszkań, transportu, stali, drzewa oraz handlu. Na konkretnej, roboczej płaszczyźnie Komitetów osiąga się zwykle wyniki bardziej realne niż na dorocznych plenarnych posiedzeniach Komisji, na których dominują nieraz tendencje do ogólnikowej propagandy politycznej. Doświadczenie 10 lat pracy Komitetów wykazuje też, że wobec istnienia dwu diametralnie różnych koncepcji ekonomicznych na terenie Europy próby osiągnięcia szybkiego porozumienia na tematy zasadniczej wagi nie mają wielkich szans powodzenia i rozsądniej jest ograniczać się do praktycznych zagadnień szczegółowych.

Prace naukowo-badawcze o zasięgu szerszym niż szczegółowe problemy Komitetów prowadzone są przez autonomiczny Sekretariat Komisji, w którym zatrudnieni są specjaliści z zakresu ekonomii, statystyki, techniki itd., przy czym duży nacisk kładzie się na obiektywność w interpretowaniu zebranych materiałów i w opracowaniu wskazań czy praktycznych programów gospodarczych. Dlatego też, podczas gdy w Komitetach zasiadają delegaci poszczególnych krajów, Sekretariat — dla zapewnienia maksymalnej bezstronności ocen — zatrudnia do opracowywania swych publikacji personel ONZ (w liczbie 170 osób), a jego Sekretarz generalny (obecnie b. premier Finlandii — Sakari Tuomioja) bierze osobistą odpowiedzialność za doroczny raport o sytuacji ekonomicznej Europy.

Mówiąc o konkretnych trudnościach i osiągnięciach Europejskiej Komisji Ekonomicznej w ciągu dziesięciolecia jej istnienia stwierdzić należy przede wszystkim, że daleko idąca współpraca gospodarcza wszystkich krajów Europy uzależniona jest w pierwszym rzędzie od polityki wielkich mocarstw i że Komisja — nie mając na tę politykę bezpośredniego wpływu — musi dostosowywać swą inicjatywę do każdorazowych aktualnie powstających możliwości.

Tak więc po okresie kiedy kraje wschodnio-europejskie wstrzymywały się od udziału w pracach Komitetów (wskutek czego Komitety te grupowały głównie państwa za-

chodnie i załatwiały ich sprawy), daje się zauważyć już od r. 1953 znaczny wzrost liczby delegatów krajów socjalistycznych w poszczególnych Komitetach, a odprężenie międzynarodowe ostatnich lat pozwoliło przeprowadzić szereg praktycznych umów i konwencji łączących Zachód i Wschód. Europejska Komisja Ekonomiczna, na specjalne zlecenie swych członków, koncentruje więc ostatnio swe wysiłki na pracy nad dalszym rozwojem współpracy gospodarczej krajów wschodniej i zachodniej Europy.

Prace Komisji w poszczególnych dziedzinach gospodarki dotyczą zwykle spraw technicznych, bardzo pożytecznych, w praktyce, lecz niezbyt imponujących dla szerokich rzesz obywateli.

Komitet dla spraw rolnictwa opracowuje np. — na podstawie analiz rynków i raportów poszczególnych krajów — roczne prognozy produkcji i zbytu głównych płodów rolnych, co ułatwia rządom ich politykę gospodarczą. Dzięki inicjatywie tegoż Komitetu wprowadzono w życie opracowane przez jego ekspertów jednolite warunki sprzedaży poszczególnych artykułów spożywczych oraz upowszechniono niektóre nowsze metody np. uprawy winnej latorośli czy podnoszenia wydajności gleby.

Komitet dla spraw węgla opracowuje na podstawie nadsyłanych mu kwartalnie danych biuletyny dotyczące aktualnej podaży i popytu tego bardzo ważnego surowca.

Komitet dla spraw gazu bada jego źródła naturalne w Europie, możliwości zbytu i wymiany oraz współczesne metody podnoszenia jakości gazu i jego transportu.

Komitet dla spraw mieszkaniowych upowszechnia nowe metody budownictwa, przeprowadza szereg ankiet na temat potrzeb, planów mieszkaniowych i metod finansowania budownictwa, oraz bada możliwości współpracy międzynarodowej w tej dziedzinie.

Komitet dla spraw stali koordynuje dostawy surowca i usprawnia kooperację; Komitet dla spraw drzewa organizuje spotkania dostawców i konsumentów oraz prowadzi przez swych ekspertów akcję doradczą w zakresie gospodarki leśnej.

Komitet dla spraw transportu wprowadził w życie w r. 1950 konwencję międzynarodową dotyczącą budowy i konserwacji sieci dróg międzynarodowych, odpowiadających określonym warunkom technicznym oraz opracował jednolite przepisy i znaki drogowe. Dzięki pracy i wpływowi Komitetu uproszczono i ujednolicono przepisy celne dotyczące samochodów turystów. Obecnie czyni się wysiłki, aby wprowadzić jednolite prawo jazdy i jednolite przepisy określające warunki, jakie muszą spełniać samochody dopuszczone do eksploatacji na drogach publicznych. W dziedzinie kolejnictwa Komitet przyczynił się m. in. do normalizacji taboru, do wprowadzenia dwu klas w pociągach pasażerskich, do podpisania konwencji zezwalającej na wolny od cła import części zamiennych, pozwalających na ewentualną naprawę wagonów w drodze. W dziedzinie że-

glugi wprowadzono jednolitą sygnalizację i czyni się wysiłki w kierunku ujednolicenia przepisów policyjnych.

Wszystkie powyższe, przykładowo podane, prace i osiągnięcia Komitetów ukazują perspektywy i możliwości stopniowej integracji Europy i należy je rozpatrywać przede wszystkim jako stwarzające te perspektywy.

Komitet dla spraw handlu koncentruje swe wysiłki na ożywieniu handlu Zachodu ze Wschodem. Zarówno względy natury politycznej jak niewielka masa towarowa hamowały przez długi czas inicjatywę w tej dziedzinie, lecz spotkanie ekspertów 24 krajów w r. 1953 przyniosło znaczne rezultaty i od r. 1954 Komitet ożywił swą działalność. Stanowi on dziś jedyną w Europie płaszczyznę współpracy gospodarczej Wschodu i Zachodu i to przy udziale Stanów Zjednoczonych. Komitet dla spraw handlu stanowi jednak nie tylko ośrodek dyskusji i wspólnych badań, ale również teren poważnych rokowań handlowych, co pozwala mu wywierać pewien wpływ w kierunku np. tak pożądanych umów długoterminowych. W dziedzinie prawnej Komitet wprowadził jednolite wzory umów w różnych gałęziach handlu i pracuje nad usprawnieniem arbitrażu międzynarodowego.

*

Jest rzeczą jasną, że w toku prac Komisji Ekonomicznej trzeba wciąż omijać wiele spraw pierwszorzędnej wagi, niewątpliwie jednak cenna jest praktyczna płaszczyzna kontaktu, jaką stwarzają Komitety oraz metody pracy, polegające na wspólnych badaniach, rokowaniach i umowach dotyczących spraw, które mogą być załatwione bez angażowania się w trudne i drażliwe konflikty wielkiej polityki. Komisja Ekonomiczna staje się w każdym razie coraz sprawniejszym instrumentem ulepszeń gospodarczych dla rządów krajów reprezentujących pół miliarda mieszkańców naszego kontynentu. O słuszności drogi wspólnych decyzji we wspólnych sprawach świadczą coraz liczniejsze zalecenia dla Komisji, żądające opracowywania przez nią nowych zagadnień i znajdowania lekarstw na stare i nowe bolączki.

Maria Garnysz

O MIĘDZYNARODOWEJ ORGANIZACJI PRACY

I

Jest już truizmem stwierdzenie, że właściwe rozwiązanie problemu współpracy międzynarodowej stanowi czołowy problem współczesnego świata. W latach ubiegłych przekonanie niektórych o bliskości wybuchu trzeciej wojny światowej łączyło się u nas z programowym, negatywnym stosunkiem do działalności ONZ i wielu innych organizacji międzynarodowych, traktowanych wyłącznie niemal jako ekspozytury

amerykańskiego imperializmu. Nie stwarzało to oczywiście sprzyjających warunków dla nawiązywania kontaktów i poznawania ich działalności. Kraje demokracji ludowej nie starały się o wykorzystanie możliwości współpracy; nie interesowano się i nie śledzono na bieżąco pracy tych organizacji. Nasza wiedza o nich jest po latach izolacji wciąż jeszcze niedostateczna.

Dla przykładu: Kazimierz Rusinek w swej blisko 500-stronicowej publikacji pt.: „Z dziejów walk o ochronę pracy" (Warszawa 1957) poświęca działalności Międzynarodowej Organizacji Pracy zaledwie 3 strony, opisując ją w sposób marginesowy i niezwykle uproszczony. Tymczasem — mimo nie sprzyjających warunków okresu „zimnej wojny" — Organizacja Narodów Zjednoczonych, a zwłaszcza jej „instytucje wyspecjalizowane" (jak np. UNESCO, Międzynarodowa Organizacja Zdrowia), dokonała sporo w dziedzinie współpracy ekonomicznej, kulturalnej i technicznej. Potężne przemiany gospodarcze, społeczne i cywilizacyjne, jakim uległy w latach powojenne kraje afro-azjatyckie, dokonane zostały nie bez poważnego wkładu ze strony organizacji działających w ramach ONZ. Wśród nich największe chyba tradycje i dorobek ma Międzynarodowa Organizacja Pracy, której rok 1959 przyniesie już czterdziestolecie istnienia. Pierwszym jej projektodawcą był jeszcze utopista Robert Owen (1817), lecz powstanie jej związane jest z traktatem wersalskim. Dzięki energii swych kolejnych dyrektorów przetrwała bankructwo Ligi Narodów, z którą była związana, i znalazła nowe pole do działania w ramach ONZ. Rolę tej mającej specyficzny charakter organizacji, która grupuje przedstawicieli rządów członkowskich (członkiem MOP może być państwo nie należące do ONZ), przedstawicieli świata pracy i pracodawców można by porównać z funkcją Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Ten ostatni bowiem, nie mogąc zapobiec wojnom, dąży jednak do złagodzenia ich przebiegu, do ulżenia cierpieniom niewinnych jej ofiar. MOP zaś jest organizacją, która — jakby na marginesie wielkich rewolucji i walk społecznych — drogą kompromisu i perswazji pracuje cierpliwie nad stałą poprawą stosunków społecznych w krajach zacofanych, dążąc do poziomu osiągniętego w przodujących krajach świata.

Właściwym polem wieloletniej działalności MOP jest praca nad międzynarodowym ustawodawstwem socjalnym. Czas, warunki pracy, ubezpieczenia i bezrobocie, praca kobiet i młodocianych, imigrantów itd. — oto są zagadnienia, którymi zajmują się kolejne Międzynarodowe Konferencje Pracy, ujmując wyniki swej pracy w formie Konwencji i Zaleceń. Oczywiście, skuteczność tej działalności legislacyjnej zależna jest od aktualnego stanu stosunków międzynarodowych, regulowanych międzynarodowym prawem publicznym. Współcześnie bowiem nadal niezbędna jest ratyfikacja

wszystkich Konwencji przez poszczególne państwa członkowskie. Wprowadza to zrozumiałe ograniczenia, ale nie niweczy możliwości wpływu na poprawę stosunków społecznych w wielu krajach.

Pomoc techniczna to wielkie powojenne dzieło Międzynarodowej Organizacji Pracy. Ponad 60 krajów, przeważnie afrykańskich i azjatyckich, skorzystało z różnorodnych form pomocy stworzonych przez tę organizację.

Wyliczmy najważniejsze: praktyki i stypendia, ośrodki wzorcowe produkcji przemysłowej, pomoce naukowe i szkoleniowe, a przede wszystkim eksperci: inżynierowie, specjaliści w dziedzinie BHP, naukowej organizacji pracy, organizacji systemu ubezpieczeń, urzędów zatrudnienia, problemów walki z różnymi formami pracy półniewolniczej itd. itd. Libia, Pakistan, Grecja, Indie a także w poważnej mierze Jugosławia były w ciągu paru ubiegłych lat terenem ożywionej działalności MOP.

Stałym sekretariatem organizacji, mającym swą tradycyjną siedzibę w Genewie, jest Międzynarodowe Biuro Pracy. Prowadzi ono także niezwykle wielostronną i „wielojęzyczną" działalność wydawniczą, nie tylko propagandową, lecz przede wszystkim naukową. Na szczególną uwagę zasługują publikacje o charakterze dokumentacji. *La formation professionnelle en Amerique Latine*, *Les conditions à bord des navires battant pavillon de Panama*, czy też *La politique sociale aux Antilles* to tylko przykładowe tytuły serii *Etudes et Documents, Nouvelle Série*, która dobiega już pięćdziesięciu pozycji.

Tych kilka przykładów działalności MOP prowadzi do wniosków oczywistych. Nie ulega wątpliwości, że w nieznacznym jeszcze stopniu wykorzystujemy możliwości, jakie daje współpraca międzynarodowa, zwłaszcza w ramach organizacji typu MOP. Potrzeba szerszego wykorzystania światowego dorobku naukowego narzuca się sama; wydaje się, że poza sprowadzaniem publikacji warto by pomyśleć także o wymianie ekspertów.

St. S.

II

W 1957 r. ukazała się w Stanach Zjednoczonych niewielka, tłumaczona z francuskiego książeczka Alberta Le Roy S. I. *The Dignity of Labour* („Godność pracy") z podtytułem „Udział katolików w pracy Międzynarodowej Organizacji Pracy". Z przedmowy wynika, iż wydanie jej miało na celu usunięcie z umysłów Amerykanów uprzedzeń związanych z przyjęciem Związku Radzieckiego do Międzynarodowej Organizacji Pracy.

Dla pochwały autora trzeba powiedzieć, że nie przeciąża on wcale tej niewielkiej publikacji jakimś „rozpływaniem się" nad rolą katolików. Wykazuje tylko, że:

1. W sformułowaniu zasad i celów Międzynarodowej Organizacji Pracy widać wpływ inspiracji chrześcijańskiej (zwłaszcza gdy chodzi o zasady przyjęte przy założeniu Organizacji w r. 1919 i wyrażone w tzw. Międzynarodowej Karcie Pracy, a potem w r. 1944 ujęte bardziej radykalnie przez Deklarację Filadelfijską — są one jakby wiernym odbiciem zasad sprawiedliwości społecznej stawianych przez biskupa Kettelera w r. 1869, powtórzonych i rozszerzonych przez Leona XIII w r. 1891 w *Rerum Novarum).*

2. W pracy samej Międzynarodowej Organizacji Pracy, a zwłaszcza jej różnych komitetów, dużą rolę odgrywają robotnicy delegaci z chrześcijańskich związków zawodowych, przedstawiciele różnych chrześcijańskich organizacji społecznych oraz tacy eksperci, jak np. misjonarze, którzy odegrali ważną rolę w opracowaniu konwencji przeciw uciskowi kolonialnemu. Ponadto dostrzec można wpływ świadomej działalności chrześcijan w samej kodyfikacji ustawodawstwa pracy w poszczególnych państwach.

3. Działalność Międzynarodowej Organizacji Pracy jest bardzo skuteczną, praktyczną realizacją chrześcijańskiej sprawiedliwości społecznej. Ta troska o człowieka spotkała się ze specjalnym błogosławieństwem Piusa XII, udzielonym w 1954 r. dla obradującego w Rzymie kierownictwa Międzynarodowej Organizacji Pracy.

Jak Międzynarodowa Organizacja Pracy walczy o prawa człowieka?

Wyzysk robotników w XIX w. wpływał powoli na zrozumienie konieczności porządkowania drogą umów międzynarodowych spraw związanych z ustawodawstwem pracy. Zalążkiem tego było powołanie w 1900 roku Międzynarodowego Stowarzyszenia dla Ustawodawstwa Pracy z centralą w Bazylei, które doprowadziło w 1905 i 1906 r. do zawarcia dwóch pierwszych konwencji międzynarodowych: zakazu używania białego fosforu (tańszego od czerwonego) do produkcji zapałek i zakazu nocnej pracy kobiet.

Prace tego stowarzyszenia przerwała pierwsza wojna światowa. Dopiero w 1919 r. na konferencji pokojowej w Paryżu na wniosek m. in. i chrześcijańskich związków zawodowych wyłoniono komisję dla opracowania konstytucji stałej organizacji dla międzynarodowego regulowania spraw pracy. I tak, wraz z zatwierdzeniem przedstawionego przez komisję projektu, powstała 11 kwietnia 1919 r. Międzynarodowa Organizacja Pracy.

Struktura jej jest dość prosta. Organem decydującym jest, zbierająca się raz na rok, Generalna Konferencja Państw-członków, na

które każde państwo wysyła 2 przedstawicieli rządowych, 1 przedstawiciela robotników i 1 pracodawców — razem 4 osoby. Konferencja Generalna wybiera tzw. Radę Kierowniczą złożoną z 40 członków (20 spośród przedstawicieli rządowych, 10 robotniczych i 10 ze strony przedsiębiorców). Rada Kierownicza wybiera Dyrektora Generalnego i na swoich zebraniach kwartalnych kontroluje prace Międzynarodowego Biura Pracy, przegląda raporty i przygotowuje Konferencję Generalną. Organem wykonawczym Ciała Kierowniczego jest Międzynarodowe Biuro Pracy, kierowane przez Dyrektora Generalnego. Jest to olbrzymia instytucja, o której rozmiarach świadczy fakt wydania około 300 periodyków dotyczących zagadnień pracy w różnych zawodach. Biuro posiada największą na świecie bibliotekę w tej dziedzinie: otrzymuje dziennie przeciętnie 1000 dzienników i periodyków ze wszystkich prawie państw świata. Pracownicy biura rekrutują się spośród 60 narodowości; składają zobowiązanie „wypełnienia swoich obowiązków, mając na względzie jedynie dobro Międzynarodowej Organizacji Pracy". Międzynarodowe Biuro Pracy może być uważane za „najlepsze obserwatorium społeczne na świecie".

W pracy Biura bardzo pomocnymi są tzw. Komitety Przemysłowe (branżowe) składające się również z przedstawicieli państw, robotników i przedsiębiorców. Warto też podkreślić wielką rolę tzw. regionalnych konferencji (np. azjatyckich, amerykańskich, europejskich, bliskowschodnich), które choć nie mają prawa uchwalania i akceptowania umów międzynarodowych, to jednak przyczyniają się do lepszego poznania specyficznych problemów społecznych tej części świata, a zarazem pomagają państwom, biorącym udział w tych konferencjach do ulepszenia swego ustawodawstwa pracy.

Fundamentem prac Międzynarodowej Organizacji Pracy była tzw. Międzynarodowa Karta Pracy, uchwalona w 1919 r., a potem zastąpiona w 1944 r. przez Deklarację Filadelfijską. Międzynarodowa Karta Pracy stwierdzała, iż: 1 — praca nie może być uważana za towar (podstawowa zasada w Dekl. Filadelfijskiej uproszczona: „praca nie jest towarem"), 2 — zarówno robotnicy, jak i przedsiębiorcy mają prawo stowarzyszania się, 3 — płaca musi odpowiadać rozsądnemu standartowi życia, 4 — długość pracy nie może przekraczać 8 godzin dziennie i 48 tygodniowo, 5 — każdy ma prawo do świętowania raz w tygodniu i to w niedzielę, 6 — usunięta musi zostać praca dzieci i ograniczona praca młodych tak, by pozwalała na naukę i nie przeszkadzała rozwojowi fizycznemu, 7 — kobiety winny być wynagradzane jednakowo z mężczyznami za taką samą pracę, 8 — prawodawstwo każdego państwa winno traktować jednakowo wszystkich zamieszkałych na jego terenie robotników, 9 — każde państwo musi zorganizować mający pełną swobodę działania system inspekcji pracy.

Głównymi narzędziami oddziaływania Międzynarodowej Organizacji Pracy są tzw. konwencje i zalecenia. Konwencje są umowami międzynarodowymi mającymi charakter wiążący dla wszystkich państw członkowskich. Nie jest to jednak ograniczeniem suwerenności poszczególnych państw. Istnieje jedynie układ międzynarodowy, mocą którego każde państwo-członek Międzynarodowej Organizacji Pracy musi przedstawić swemu parlamentowi czy innemu odpowiadającemu mu ciału ustawodawczemu uchwaloną przez Generalną Konferencję konwencję do ratyfikacji, a już do gestii danego parlamentu należy przyjęcie jej lub odrzucenie. W przeciwieństwie do konwencji, zalecenia nie mają charakteru ściśle obowiązujących, przy czym często są one związane jedynie z regionalnymi trudnościami. Do r. 1957 przyjęto 104 konwencje i 100 zaleceń. Każde państwo zobowiązane jest poza tym do składania sprawozdań określających stopień, w jakim udało mu się wypełnić stawiane przez Międzynarodową Organizację Pracy żądania.

Lata międzywojenne wypełnione były walką o przyjęcie przez państwa elementarnych zasad sprawiedliwości społecznej. Pierwszą konwencją, podpisaną na konferencji w Waszyngtonie w 1919 r., było ograniczenie dnia pracy do 8 godzin, rozciągnięte później różnymi konwencjami na wszelkie zawody, co do których początkowo robiono wyjątek (jak np. marynarze i sprzedawcy sklepowi). Próby ograniczenia godzin pracy do 40 tygodniowo spełzły na niczym, mimo że kilka państw bardziej zaawansowanych ekonomicznie zaczęło taką normę wprowadzać m. in. i do walki z bezrobociem. Gorzej kształtowała się sprawa płatnych urlopów pracowniczych. Dopiero w 1936 r. uchwalono konwencję o tygodniowym płatnym urlopie dla robotników.

Drugim polem pracy było zagadnienie ubezpieczeń społecznych. W tej dziedzinie uchwalono całą serię konwencji odnośnie zabezpieczenia na starość, w razie choroby, przymusowości ubezpieczeń itd. Trzecim zagadnieniem to praca kobiet, zwłaszcza problem macierzyństwa i związanych z nim urlopów. Czwarte — opieka nad młodocianymi; wiek, poniżej którego nie wolno przyjmować do pracy, ustalono wszędzie na 15 lat, jedynie w rolnictwie dopuszczono pracę od 14 roku życia. Za to np. w maszynowniach i ładowniach na statkach jako minimum przyjęto 18 lat. Piąte zagadnienie to bezpieczeństwo i higiena pracy.

Specjalną uwagę zwrócono na pracę na morzu i jej specyfikę, kwestię godzin pracy, urlopów, repatriacji marynarzy w razie wygaśnięcia umowy o pracę z dala od kraju.

Wielką troską Międzynarodowej Organizacji Pracy była praca tubylców w koloniach. Zakazano przymusowej pracy, rozdzielania rodzin, zatrudniania młodocianych, odebrano przedsiębiorcom prawo do sankcji karnych względem pracowników. Niemniej jednak tak niewolniczą prak-

tykę, jak wiązanie się na wiele lat kontraktem pracy z przedsiębiorcą, zniosła dopiero konwencja z 1955 r.

W związku z kryzysem światowym bezrobocie stało się też jednym z głównych problemów, nad którym przed wojną obradowano specjalnie w Międzynarodowej Organizacji Pracy. Już w 1929 r. Albert Thomas, ówczesny Dyrektor Generalny, na długo przed sławnym ekonomistą Keynesem, wskazywał na ważność podjęcia tzw. robót publicznych. Stało się to nawet przedmiotem zalecenia w 1937 r.

Druga wojna światowa przerwała tok prac Organizacji. W czasie tych zmagań stała się jednak jaśniejszą potrzeba współpracy międzynarodowej jako warunku osiągnięcia ogólnego dobrobytu. Jednocześnie nie walka z nadużyciami, ale pełny rozwój osobowości człowieka staje się zasadą działalności Międzynarodowej Organizacji Pracy. Przystępuje ona do walki o umożliwienie mu wszechstronnego rozwoju swych fizycznych umysłowych i moralnych możliwości.

Wyrazem tej zmiany jest Deklaracja Filadelfijska z 10. 5. 1944 r. Składa się ona z pięciu części. Pierwsza wyraża krótko zasady:

— praca nie jest towarem,

— wolność wypowiadania się i stowarzyszania jest istotnym czynnikiem postępu,

— bieda, gdziekolwiek na świecie, stanowi niebezpieczeństwo dla dobrobytu wszystkich innych obszarów,

— walka z niedostatkiem musi być prowadzona przez każdy naród, wspomagana wspólnym wysiłkiem międzynarodowym.

Druga część ustala zadania Międzynarodowej Organizacji Pracy w oparciu o podstawowe zasady sprawiedliwości społecznej:

— każda ludzka istota, bez względu na rasę, wiarę, płeć, ma prawo starać się zarówno o swój materialny dobrobyt, jak i duchowy rozwój w warunkach wolności, godności, ekonomicznego bezpieczeństwa i przy jednakowych ułatwieniach dla wszystkich,

— umożliwienie tego musi stanowić główny cel narodowych i międzynarodowych wysiłków,

— wszystkie wysiłki i przedsięwzięcia narodowe i międzynarodowe, szczególnie o charakterze ekonomicznym i finansowym, należy osądzać pod kątem widzenia ich przydatności dla tych podstawowych wytycznych,

— Międzynarodowa Organizacja Pracy ma obowiązek dokonywać powyższych osądów,

— przy wykonywaniu zadań z tym związanych Międzynarodowa Organizacja Pracy, po zbadaniu wszystkich odpowiednich czynników ekonomicznych i finansowych, może w swych decyzjach i zaleceniach zawrzeć wszelkie rozporządzenia, które uzna za wiodące do celu.

W trzeciej części za główny obowiązek Międzynarodowej Organizacji Pracy uznano realizację w skali światowej następujących postulatów:

— pełne zatrudnienie i podniesienie stopy życiowej,

— zatrudnienie robotników w zawodach, najbardziej odpowiadających ich zamiłowaniom i umiejętnościom,

— zagwarantowanie ułatwień w szkoleniu zawodowym oraz możliwości łatwej zmiany miejsca pracy,

— polityka gwarantująca wszystkim zarówno sprawiedliwy udział w owocach postępu ekonomicznego, jak i płacę zapewniającą każdemu pracownikowi minimum egzystencji,

— walka o rzeczywiste uznanie prawa: do układów zbiorowych, do współpracy między przełożonymi i pracownikami w podnoszeniu wydajności produkcji, do współdziałania robotników i przedsiębiorców przy obmyślaniu i stosowaniu środków zmierzających do podniesienia dobrobytu,

— zapewnienie, by ubezpieczenia społeczne zabezpieczały minimum egzystencji tym, którzy znajdują się w ostatecznej potrzebie, jak również i opiekę lekarską,

— odpowiednia opieka nad życiem i zdrowiem pracowników we wszelkich zawodach,

— dbanie o dobro dziecka i opieka nad matką,

— zapewnienie odpowiedniego wyżywienia, mieszkania i ułatwień rozrywkowych i kulturalnych,

— zapewnienie równości w ułatwieniach związanych z nauką i zdobywaniem zawodu.

Czwarta część Deklaracji Filadelfijskiej podkreśla, że pełne i szerokie wykorzystanie możliwości produkcyjnych świata może być osiągnięte dzięki wspólnemu ześrodkowaniu narodowych i międzynarodowych wysiłków i dlatego Międzynarodowa Organizacja Pracy winna współpracować z wszelkimi organizacjami międzynarodowymi (dziś MOP współpracuje najściślej z FAO, UNESCO, WHO i innymi organizmami powstałymi przy Organizacji Narodów Zjednoczonych).

Wreszcie w piątej części pokreśla się uroczyście, że zasady przyjęte w tej deklaracji są do przyjęcia i mogą być realizowane wśród wszelkich ludów, gdziekolwiek, chociaż sposób wprowadzenia ich w życie musi być określony w zależności od poziomu społecznego i osiągniętego przez dany naród rozwoju ekonomicznego. Stopniowe ich przyjęcie zarówno przez narody zależne od innych, jak i przez te, które dawno osiągnęły niepodległość, winno stanowić przedmiot troski całego cywilizowanego świata.

Deklaracja ta stała się podstawą dalszego rozwoju Międzynarodowej Organizacji Pracy.

Pierwszą troską stała się walka o ludzkie formy życia w krajach ekonomicznie i społecznie zacofanych, zwłaszcza w koloniach: opieka nad ludnością tubylczą, troska o naukę a także o takie szkolenie zawodowe, by narody mogły nadrobić dystans dzielący je od krajów bardziej zaawansowanych.

W parze z tym szła troska o przyszłość młodzieży całego świata. Już przed drugą wojną światową J. O. C. zwróciło się do Międzynarodowej Organizacji Pracy z apelem podkreślającym, iż bezrobocie ludzi starszych jest niczym w porównaniu z sytuacją młodych, którzy wchodząc w życie nie mogą znaleźć pracy, gdy są przed nimi zamknięte wszelkie perspektywy. Umożliwienie im zatrudnienia odpowiadającego w pełni ich zainteresowaniom i możliwościom stanęło nieomal w centrum zainteresowań Międzynarodowej Organizacji Pracy. Przyjęto tu bardzo rozsądną zasadę, że pełne wykorzystanie sił i umiejętności człowieka może nastąpić dopiero wtedy, gdy mu się da odpowiednio wszechstronne przygotowanie zawodowe. Stąd duży bardzo nakład wysiłków związanych z uruchomianiem w różnych krajach nowoczesnych ośrodków szkolenia zawodowego.

Dalszym polem pracy to walka o pełne zatrudnienie. Ten teren łączy się ściśle z poprzednim — i tu także wielką rolę gra pomoc w znalezieniu zawodu i wyuczeniu się go na nowoczesnym poziomie. Międzynarodowa Organizacja Pracy zaleca również państwom tworzenie urzędów zatrudnienia oraz tzw. służby zatrudnienia — państwowych oddziałów pracy — do której wstępowanie musi być jednak zupełnie dobrowolne.

Ważne jest także zagadnienie rozdziału siły roboczej w świecie. Międzynarodowa Organizacja Pracy wypowiada się za swobodną imigracją, przy czym w specjalnych konwencjach bierze pod opiekę prawa imigrantów do tych samych warunków pracy, płacy, ubezpieczeń itd., co obywateli stale zamieszkujących dany kraj.

Międzynarodowa Organizacja Pracy prowadzi także działalność, mającą na celu uregulowanie i wyrównanie w skali międzynarodowej poziomu płac.

W latach powojennych zwrócono też uwagę na sprawę zapewnienia wszędzie wolności stowarzyszeń. Odpowiednia konwencja została przyjęta w 1948 r.

Uchwalono również zalecenia odnoszące się do: układów zbiorowych, pojednania i arbitrażu, współpracy między przedsiębiorcami i robotnikami. W latach ostatnich zagadnienie to stało się przedmiotem szczególnego zainteresowania Organizacji.

Tomasz Wołowski

STRESS

TEORIE MEDYCYNY

Sprawy zdrowia i choroby są dość bliskie człowiekowi. Nic dziwnego więc, że od zarania świata ludzie zajmowali się medycyną. Medycyna jest zarazem nauką i sztuką. Jak wiele nauk i sztuk opiera się na teoriach. Teorii medycznych wylęgło się w ciągu wieków bardzo wiele. Można je jednak wszystkie streścić, dzieląc je na dwie grupy: teorie medyczne unitarne i teorie medyczne wielorakości.

Teorie unitarne są starsze. Głoszą, że każda choroba wynika z zaburzenia jednego i zawsze tego samego podstawowego mechanizmu w organizmie. Zewnętrzne objawy chorobowe, które są zmienne, zależą od drugorzędnych czynników otoczenia. Klasycznym przykładem jest starożytna teoria unitarna Hipokratesa, tzw. ojca medycyny. Twierdził on, że zdrowie istnieje tak długo, jak długo istnieje harmonia między krwią, flegmą, żółtą żółcią i czarną żółcią, czyli melancholią. Choroba była zaburzeniem harmonii.

Teorie wielorakości, wprost przeciwnie, głoszą, że każda choroba ma swój własny sposób powstawania. Różne choroby wynikają z zaburzenia różnych mechanizmów w organizmie. Klasycznym przykładem tutaj to wyniki pracy Pasteura. Odkrył on bakterie, z których wiele wywołuje sobie właściwe choroby, w sobie właściwy sposób.

RÓWNOWAGA FIZJOLOGICZNA

Każdy zdrowy organizm, także i ludzki, utrzymuje się w stanie wewnętrznej równowagi fizjologicznej. Walter Cannon, współczesny fizjolog amerykański, nazwał ją homeostazą.

Na przykład: ciepłota ciała utrzymuje się około 36°C, niezależnie od tego, czy się mieszka pod biegunem, czy na równiku. Tkanki składają się z około 80% wody. Ilość jej wcale się zbytnio nie zwiększa nawet po wypiciu kilkunastu litrów piwa. Ilość cukru w jednym litrze krwi wynosi około jeden gram. Znów ilość ta wcale zbytnio się nie zwiększa nawet po zjedzeniu niedzielnej super-porcji lodów.

Można by rzec, że póki utrzymuje się homeostaza, póty istnieje stan zdrowia. Choroba jest zaburzeniem homeostazy. Organizm, broniąc się przeciw chorobie, usiłuje utrzymać lub przywrócić homeostazę.

OBRONA „OGÓLNA" i OBRONA „SZCZEGÓLNA"

By zwalczyć chorobę, czyli aby utrzymać lub przywrócić homeostazę, organizm ma niejako dwa sposoby obrony: obronę „ogólną", *(non-specific)*, i obronę „szczególną" *(specific)*.

Obrony „szczególne" są liczne, wielorakie i niezgorzej znane. Medycyna koncentruje się najczęściej na dopomaganiu organizmowi w tej właśnie obronie. Na przykład: po złamaniu kości w nodze organizm wysila się na naprawę „szczególną", przez zrost, tej jednej złamanej kości. Można w tym organizmowi dopomóc przez zabiegi chirurgiczne. Lub: zarażenie się bakteriami tyfusu powoduje objawy chorobowe, typowe jedynie dla bakterii tyfusu. Organizm broni się przeciw bakteriom tyfusu wytwarzając „szczególne" przeciwciałka, które wstrzymują ich rozmnażanie się. Znów można dopomóc organizmowi w tej walce, dodając mu z zewnątrz „szczególne" przeciwciałka za pomocą szczepionek. Można też zabić bakterie w sposób „szczególny" antybiotykiem: chloromycetyną.

Tak więc organizm broni się przeciwko każdej chorobie w sposób „szczególny" dla tej choroby. Należy dodać, że każda choroba uszkadza organizm w sposób także sobie „szczególny".

Jednakże organizm również może bronić się w sposób „ogólny". W sposób, który jest zawsze ten sam i niezależny od rodzaju choroby. Człowiek chory po złamaniu nogi czy chory na tyfus lub chory nerwowo, okazuje pewne objawy, które są zawsze te same, stereotypowe. Są to objawy „czucia się chorym": gorączka, osłabienie, brak apetytu, słaba odporność na inne choroby itd. Te stereotypowe objawy powodowane przez wszystkie choroby, niezależnie od ich nazwy, są niejako odzwierciedleniem obrony „ogólnej" organizmu. Więc organizm broni się przeciw chorobom nie tylko w sposób „szczególny", ale także i w sposób „ogólny". Zaś każda choroba uszkadza organizm nie tylko w sposób dla niej „szczególny", ale i w sposób „ogólny", niezależny od jej istoty.

Medycyna dotychczas zajmowała się rzadko i raczej niechętnie „ogólnymi" reakcjami obrony.

STRESS

Na ważność obrony „ogólnej" zwrócił uwagę Hans Selye, Kanadyjczyk (pochodzenia austro-węgierskiego), profesor uniwersytetu montrealskiego. W ciągu licznych doświadczeń nad zwierzętami zauważył, że poddawanie ich działaniu najrozmaitszych środków uszkadzających wywołuje w nich zawsze te same, stereotypowe objawy. Czyli ten sam syndrom. Poddawał on swe zwierzęta działaniu niskich lub wysokich temperatur. Zakażał je bakteriami. Działał na nie szkodliwymi promieniami. Poddawał je nadmiernej pracy fizycznej, głodowi czy nawet „nadwerężeniu nerwów" przez nieustające działanie ostrego światła czy nieznośnego hałasu. Za każdym razem zwierzęta miały te same objawy: wrzody żołądka, spadek cukru i chloru, podwyżka białych ciałek

we krwi, zanikanie gruczołu grasicy i wzrost gruczołów nadnerczy itd. Wśród tych objawów niektóre, jak wzrost gruczołów nadnerczy, są wyrazem dobrego działania „ogólnej" obrony. Inne, jak wrzody żołądka, są przykrą konsekwencją zbytniego nasilenia tej obrony.

Stan zwierzęcia, które pozostaje pod ciągłym działaniem czynnika uszkadzającego, Selye nazwał: *stress*. Szkodliwy czynnik został nazwany: *stressor*. Słowo angielskie *stress* oznacza w przybliżeniu natężenie, napięcie. Trzeba natychmiast dodać, że codzienne życie również wywiera „napięcie" na organizm. Napięcie codziennego życia jest konieczne do pobudzania różnych czynności fizjologicznych. Jest ono natomiast za słabe, aby wywołać w organizmie oczywistą obronę. Jednakże ten sam *stress* codziennego życia, jeśli działa na przykład na kobietę ciężarną, już może być szkodliwy.

POWSZECHNY SYNDROM PRZYSTOSOWANIA

Napięcie *(stress)* jest więc stanem ogólnym *(non-specific)*. Jest niezależne od istoty *stressora* (czynnika uszkadzającego tj. „napinacza"). Organizm w stanie napięcia broni się zawsze w ten sam sposób. Obrona jest więc też „ogólna".

Selye przestudiował dość dokładnie objawy tej obrony, podczas gdy napięcie trwa. Całość objawów nazwał Powszechnym Syndromem Przystosowania. Syndrom składa się z trzech głównych okresów.

1. Okres alarmu. Jest to w pierwszych kilka dni po poddaniu zwierzęcia działaniu „napinacza". Zwierzę nie jest przygotowane do nagłej zmiany warunków otoczenia. Może chwilowo załamać się, wpaść w tak zwany stan szoku. Ale jeśli „napinacz" nie jest dość potężny, by zabić zwierzę w ciągu tych pierwszych paru dni, następuje w zwierzęciu mobilizacja sił do obrony. Wchodzi ono w drugi okres syndromu.

2. Okres przystosowania. Może on trwać miesiące, a nawet lata. Zwierzę przystosowuje się do działania „napinacza". Nabiera przeciw niemu odporności. Niestety nie dzieje się to bez szkód dla innych czynności fizjologicznych.

W miarę jak odporność na działanie danego „napinacza" wzrasta, odporność na dodatkowe, inne czynniki może wybitnie zmaleć.

3. Okres wyczerpania. Jeśli działanie „napinacza" nie ustanie w ciągu okresu przystosowania, lecz dalej trwa, nastąpi w końcu wyczerpanie absolutne: śmierć.

Liczne typowe zmiany morfologiczne, patologiczne i chemiczne, zachodzące w ciągu tych trzech okresów, zostały dość dobrze przestudiowane. Bodaj że najciekawsze wśród nich są zmiany w gruczołach dokrewnych.

HORMONY I STRESS

Organizm składa się z różnych systemów, które utrzymują go przy życiu. Są to: system trawienny, oddechowy, krwionośny, rozrodczy i inne. Wśród tych wszystkich systemów są dwa, których czynność polega na nadzorowaniu pozostałych. Te dwa to systemy: dokrewny i nerwowy.

System dokrewny jest rozwojowo starszy. Pojawia się po raz pierwszy już u roślin. U zwierząt składa się w dużej mierze z gruczołów dokrewnych i ich wydzielin — hormonów. Człowiek ma około siedmiu gruczołów dokrewnych. Dwa spośród nich odgrywają szczególnie ważną rolę w nadzorowaniu reakcji obronnych podczas napięcia. Są nimi: przysadka mózgowa i gruczoły nadnerczy. Rola ich polega na przyśpieszaniu lub zwalnianiu obrony zarówno „ogólnej", jak i „szczególnej".

Można wyciąć szczurowi doświadczalnemu jeden lub drugi z tych gruczołów. Następnie można poddać zwierzę działaniu napięcia. Na przykład można umieścić je na kilka dni w zimnej izbie, o temperaturze + 5°C. Zoperowane zwierzę tego napięcia już nie zniesie, wkrótce zginie. Zwykle szczury oczywiście mogą żyć miesiące w podobnej temperaturze. Zwierzęta pozbawione gruczołów i hormonów przysadki czy nadnercza straciły zdolność przystosowania się do „napinacza". W tym wypadku: do niskiej temperatury. Drugi okres Powszechnego Syndromu Przystosowania został wybitnie skrócony u tych zwierząt. Natomiast trzeci okres — wyczerpania — został przyśpieszony.

Wiele hormonów, wydzielanych przez przysadkę mózgową i przez nadnercze, dobrze już dzisiaj znamy. Niektóre są nawet produkowane sztucznie w laboratoriach. Selye dzieli je na dwie klasy.

1. H o r m o n y p r z e c i w - z a p a l e n i o w e *(anti-phlogistic)*. Należą tu na przykład Kortykotropina (A. C. T. H.) z przysadki i Kortyzon z nadnercza. Działanie ich polega, między innymi, na wstrzymaniu wzrostu ciała i tkanek, oraz na opóźnianiu lub obalaniu stanów zapaleniowych.

2. H o r m o n y z a p a l e n i o w e *(Pro-phlogistic)*. Tu należą Hormon Wzrostu (S. T. H.) z przysadki i Aldosteron z nadnercza. Przyspieszają one wzrost całego ciała i poszczególnych tkanek oraz pobudzają i sprzyjają rozwojowi stanów zapaleniowych. Trzeba dodać, że stany zapaleniowe (zaczerwienienie, obrzęk i ból) są reakcją obronną, „ogólną", przed skutkami uszkodzenia miejscowego.

W czasie napięcia organizm wydziela hormony przeciwzapaleniowe i zapaleniowe w takich ilościach, by jak najskuteczniej przystosować się do działania „napinacza". Innymi słowy, by jak najskuteczniej nadzorować obronę „ogólną" i „szczególną".

CHOROBY PRZYSTOSOWANIA

Jednakże w czasie napięcia system dokrewny może się wykoleić z dróg, którymi zwykle przeprowadza nadzór nad obroną. Wtedy zamiast pomagać organizmowi, hormony wprowadzają jedynie zamieszanie. Wynika stąd cała plejada zaburzeń. Zostały one nazwane Chorobami Przystosowania.

Koncepcja chorób przystosowania nie jest jeszcze doświadczalnie w pełni ugruntowana. Jest jednak nad wyraz ważka we wnioskach, które by z niej wynikały. Tłumaczyłaby na przykład, dlaczego kobiety w obozach koncentracyjnych cierpią na zaburzenia lub zanik menstruacji. Dlaczego jedni zapadają na gruźlicę, inni zaś nie, choć jedni i drudzy wdychają te same zarazki. Widocznie ci, którzy zapadają, żyli w stanie jakiegoś napięcia, który wykoleił hormony z ich zwykłych dróg działania. Obrona przestała być nadzorowana skutecznie. Koncepcja ta tłumaczyłaby również, dlaczego ludzie żyjący w nadmiernym napięciu nerwowym często zapadają na wrzody żołądka.

I CO DALEJ?

Od dawien dawna ludzie przypuszczali, że jedni są bardziej odporni, inni mniej na trudy codziennego życia, na różne choroby, słowem, na napięcie. Po raz pierwszy przypuszczenia te zostały ujęte w sposób naukowy, doświadczalny i ilościowy przez koncepcję *stressu*. Koncepcja ta jest nawrotem do unitarnych teorii medycyny. Zwraca uwagę na ogromnie ważną rolę obrony „ogólnej" *(non-specific)*. Obrony, która jest niezależna od istoty *stressora* i która jest nadzorowana przez jeden system dokrewny.

Koncepcja *stressu* została sformułowana po raz pierwszy w 1936 r. Od tego czasu dziesiątki tysięcy prac pojawiło się na ten temat. Niektórzy naukowcy nie zgadzają się z nią. Twierdzą, że nie tylko nie pomaga ona rozwojowi medycyny, ale nawet go cofa. Na krytykę Selye odpowiada: „Fakty, które badacz odkrywa, muszą być prawdziwe. Teorie, które wygłasza, nie muszą być prawdziwe; byle pomagały w odkrywaniu nowych faktów. Z nowych faktów wypłyną nowe teorie, może lepsze".

Wincenty W. Adamkiewicz

Université de Montréal

P. S. Związana w pewnej mierze ze sprawami, o których pisze dr Adamkiewicz, jest dosyć sensacyjna wypowiedź dr Lartigue'a na kongresie medycyny w Lyonie (donosi o niej „Paris-Match" z 1. III. br.). Lartigue twierdzi, że 75% topielców umiera wskutek „szoku wodnego", który — podobnie jak szok elektryczny — brutalnie zatrzymuje „elektro-

chemiczną centralę mózgu": *diencefalię*. Proste upuszczenie krwi może ją uruchomić spowrotem, co zresztą dr Lartigue wypróbował, ratując topielców. „Wstrząsy fizyczne, chemiczne czy psychiczne — mówił na kongresie Lartigue — wytrącają z równowagi *diencefalię*. Mogą zatem wywołać różne zaburzenia przystosowania, począwszy od zwykłej pokrzywki, skończywszy na zablokowaniu serca przez szok wodny, na atakach astmy czy zgoła na anarchii komórkowej, która jest jedną z cech raka". Pewne doświadczenia wydają się popierać tę teorię: przeprowadza je prof. de Gaetani, najwybitniejszy włoski onkolog i prof. Champy w Paryżu, który zaszczepiwszy śwince morskiej komórkę rakową wywołał u niej zaburzenia *diencefalii*, a w dalszym skutku rozsianie raka.

ROZMOWA Z HEMINGWAYEM

Ernest Hemingway rzadko wypowiada się w prasie, rzadko udziela informacji o sobie i swoim dziele. Toteż rodzajem sensacji stał się w świecie literackim obszerny wywiad, którego udzielił swemu przyjacielowi Georges Plimptonowi, drukowany w trzech kolejnych numerach tygodnika *Arts*.

Georges Plimpton naprzód opisuje otoczenie, w jakim Hemingwaya zastał, także udziela o nim paru informacji biograficznych. Hemingway, wielki włóczęga i podróżnik, obywatel całego świata, mieszka obecnie na Kubie, w mieście La Havane w swej posiadłości *Finca Vigra*. Codziennym miejscem jego pracy jest nie oficjalna, piękna pracownia, umieszczona w wieży, lecz jego pokój sypialny, przedzielony szafami, pełen książek, lamparcich skór, kłów i rogów różnych dzikich bestii, także zawalony najdziwaczniejszymi drobiazgami, które odgrywają rolę — nie wiadomo — pamiątek czy talizmanów. W tym otoczeniu, patrząc przez okno w piękny morski widok, przy wysokim pulpicie stoi Hemingway codziennie od godziny 6 rano do południa i — pracuje. Po południu chodzi na spacer, łowi ryby, czyta, ciągle ustawicznie czyta, słucha muzyki ale — jak sam się przyznaje — właściwie stale pisze, bo dzieło w pisarzu ustawicznie narasta, a choć samo pisanie jest trudem i wysiłkiem, Hemingway żyje tylko myślą o nim i nieraz nie może się doczekać ranka, który pozwoli mu znowu stanąć przed pulpitem i wziąć ołówek do ręki. Hemingway bowiem pierwszy szkic swych książek pisze zwykle ołówkiem, na papierze maszynowym, tym, co my nazywamy „przebitką"; kartki numeruje i odkłada na osobny stos — bo ten wielki awanturnik, łowca, człowiek kochający się w wojnach, walkach byków i przygodach, jest w pracy pedantycznie systematycz-

ny. Zanim zacznie pisać, odczytuje, co napisał dnia poprzedniego, poprawia i dalej rzecz ciągnie.

Na zapytanie, czy dużo poprawia, odpowiada z cechującym go rozsądkiem, że — rozmaicie. Czasem mało, czasem dużo. Zależy. Zakończenie „Pożegnania z bronią" np. przepisywał 39 razy, bo stale był z tego, co napisał, niezadowolony.

Życie tego pedantycznego pracownika było pełne przygód i urozmaicone. Hemingway jest synem lekarza mieszkającego nad jeziorem Michigan. Rodzice przeznaczyli go albo na muzyka, albo na doktora, ale żadna z tych karier nie odpowiadała małemu Ernestowi. Odkąd świat pamięta, pragnął być pisarzem. Ale przede wszystkim pociągała go przygoda i wabił świat. Już w domu jego życie nie było monotonne. Ojciec zabierał go w swe objazdy pacjentów, do których należały także plemiona indiańskie. Także od dziecka zaprawiał go w dwóch zajęciach, które się staną wielką pasją jego życia: pierwszą wędkę dostał Hemingway mając lat dwa, a pierwszą strzelbę, gdy miał lat dziesięć.

Wszystko to jednak nie wystarczało burzliwemu chłopcu, którego poza tym nudziła nauka szkolna. Uciekł więc z domu i był kolejno to parobkiem na farmie, to *sparing-partnerem* bokserów, to znowu tragarzem portowym. Po dwóch latach wrócił do domu, ale na krótko, bo wnet wybuchła I wojna światowa. Hemingway pojechał do Europy i wstąpił do Czerwonego Krzyża. Potem, gdy Ameryka do wojny przystąpiła, przeszedł do służby liniowej.

Po wojnie został w Paryżu, zarabiając na życie jako dziennikarz. Hemingway uważa, że dziennikarstwo, które zmusza, by to, co się ma powiedzieć, mówić zwięźle i jasno, jest doskonałą zaprawą dla pisarzy. Praca dziennikarska nie była jednak zbyt lukratywna. Hemingway nieraz przymiera głodem, ale pieniądz nie był nigdy dla niego ważny. Dziś ma go w nadmiarze. Za każde słowo jego tekstu płacą amerykańskie pisma po dolarze, a przez swe życie, jak oblicza *Times*, zarobił honorariami ponad milion dolarów. Ale gdy pieniędzy nie miał, umiał się bez nich obchodzić i — nie dbał o nie. Natomiast używał w pełni na kulturalnym i intelektualnym życiu Paryża. Dostał się w środowisko ciekawe. Do jego bliskich przyjaciół zaliczali się Cocteau, Gertrude Stein, Picasso, Braque, poeta Erazm Pound. Hemingway wiele od nich korzysta. Przy tym kształci się i czyta. Czyta ciągle uważając, że wykształcenie literackie, malarskie i muzyczne, jest dla przyszłego pisarza konieczne. Nie zaniedbuje też życia czynnego. Przede wszystkim pasjonują go sprawy gwałtowne, jak wyścigi i — walki byków. Często bywa w Hiszpanii i bierze udział w przeszło tysiącu *Corridach*. Wśród tego bogatego i urozmaiconego życia pisze. Pracuje powoli, bo aż osiem lat potrzebuje dla wykończenia swoich dwóch pierwszych książek: „Słońce także wschodzi" i „Pożegnanie z bronią". Zresztą książki te nie przynoszą mu zbytniego rozgłosu.

Z Ameryki, gdzie wraca po paru latach, jedzie do Hiszpanii, gdy wybucha tam wojna domowa. Bierze w niej udział jako korespondent i potem w przeciągu 17 miesięcy pisze książkę, która stawia go w rzędzie największych pisarzy świata: „Komu bije dzwon".

Drugą wojnę spędza na froncie jako korespondent wojenny. Udaje się tam już tylko pędzony ową nigdy nie opuszczającą go ciekawością świata i wielkich jego zmagań. Bo już jest człowiekiem niezależnym i bogatym. Może żyć jak chce i lubi. A lubi przede wszystkim wolność. „Robić co chcę, być gdzie chcę, jechać gdzie chcę". Oto jego ideał i jego program. Program ten wypełnia. Przedtem już poznał Europę. Teraz przemierza Afrykę, polując na grubego zwierza. Pływa po dalekich morzach, najchętniej po Morzu Karaibskim, polując na wieloryby. Podczas trzech wojen, w których brał udział, był 6 razy ranny w głowę, dostał w nogę 237 odłamków szrapnela, kula zniosła mu czubek kolana. Poza tym doznał wielu przygód i katastrof, z czego najgroźniejsza zdarzyła się temu 4 lata, gdy dwa razy pod rząd rozbił się samolotem. Po drugiej z owych katastrof myślano powszechnie, że Hemingway zginął. Gdy leżał w szpitalu, jego najmilszą rozrywką było czytywać własne nekrologi w prasie.

Tak więc ten olbrzym, ciężki, brodaty, ma chyba w ręku materiał, jakim dysponuje mało który pisarz, materiał zebrany na wszystkich kontynentach i poprzez cały przekrój ludzkości.

Hemingway swą olbrzymią wiedzę o świecie zużytkował i wyzyskał znakomicie w swym dziele. Ale nie w celach literackich świat poznawał. Chciał go poznać i poznał, bo był go ciekawy. Uważa, że w poznawaniu świata w celach literackich tkwi już w założeniu fałsz i płycizna. Zapytany przez swego rozmówcę, czy patrząc na świat i obserwując go myśli, co z oglądanego materiału w dziele swym zużytkuje — odpowiada: „Pisarz, który przestaje obserwować, jest skończony. Ale nie potrzebuje obserwować świadomie i patrząc myśleć, co z widzianych rzeczy może mu się przydać. Może tak bywa na początku. Ale potem wszystko, co człowiek widzi, włącza się w ten wielki rezerwuar rzeczy, które się widziało i które się zna. Dla mnie twórczość literacka jest oparta na zasadzie góry lodowej. Tylko siódma jej część jest widzialna. Reszta tkwi pod wodą. Trzeba z dzieła wyeliminować wszystko, co wyeliminować się da. To wzmacnia górę. To wszystko wchodzi w skład tego fundamentu, który nie jest na powierzchni. Ale jeżeli pisarz opuści coś dlatego, że nie wie — od razu w jego historii powstaje dziura".

Hemingway zapytany, czy umie się przerzucać z jednego zajęcia w drugie i pracę przerywać, odpowiada: „Fakt, że przerywam moją pracę, żeby odpowiadać na tego rodzaju pytania, dostatecznie wykazuje, że głupota moja jest wielka i że zasługiwałbym na porządną karę". Georges Plimpton się nie zraża. Najwięcej wypytuje oczywiście o to, jak

Hemingway pracuje, jak powstaje w nim pomysł, jak się rozwija. To Hemingwaya nieraz irytuje. Zapytany, jaką drogą myśli wypracował swój styl, odpowiada: „Oto pytanie męczące i wymagające długiej odpowiedzi. I gdybym stracił dwa dni, żeby panu odpowiadać na ten temat, nie mógłbym już więcej pisać, tak bardzo byłbym wszystkiego świadomy... Po prostu staram się pisać najlepiej jak umiem".

Mimo tej zwięzłości odpowiedzi i niechęci, z jaką Hemingway mówi o swych przeżyciach najgłębszych, niejednej ciekawej informacji udzielił nam o swym dziele. Tak np. mówi, że książka „Zielone wzgórza Afryki" nie jest i nie miała być powieścią. Miała to być próba. Autorowi chodziło mianowicie o to, czy książka absolutnie prawdziwa, ukazująca oblicze danego kraju i opis miesiąca życia w tym kraju spędzonego, może rywalizować z dziełem o fabule fikcyjnej.

W ogóle stosunek prawdy życia do imaginacji pisarza żywo Hemingwaya interesuje. Opowiada się za imaginacją. „Dobry pisarz — mówi — nigdy nie opisuje. Wymyśla albo bierze coś ze swego doświadczenia osobistego lub nieosobistego, czasami jednak może się zdawać, że ma nie dającą się wytłumaczyć znajomość pewnych rzeczy, która może pochodzić z jakichś zapomnianych atawizmów. Któż uczy młodego gołębia latać — dodaje poetycznie. — Skąd czerpie młody byk swą odwagę i dzielność?"

Słowa i wyznanie zadziwiające u autora, który w stopniu rzadko spotykanym, jest realistą ścisłym, konkretnym i rzeczowym. Wydaje się, że tak wiele praw imaginacji może przyznawać tylko pisarz tak szeroko i dogłębnie znający świat, pisarz, który nie tylko po nim spacerował, ale stale brał się z nim za bary. Dopiero na podłożu tej dogłębnej znajomości i w oparciu o nią pozwala Hemingway pracować swej wyobraźni. Także szanując głębokie, na pół świadome procesy, odbywające się w duszy twórcy, pracuje nad swym dziełem świadomie, pilnie i rzetelnie.

Najszerzej o tym, co się dziś nazywa „warsztatem pisarza", mówi Hemingway à propos swego słynnego opowiadania „Stary człowiek i morze". Opowiada, że długo bardzo pracował, aby „Starego człowieka" sprowadzić do krótkich rozmiarów. Przecież mógł on mieć — jak powiada autor — przeszło 1000 stron (zresztą wiadomo, że naprzód był pomyślany jako większa powieść, której brulion istnieje. To, co znamy, jest tylko owej powieści epilogiem). Można bowiem było — objaśnia Hemingway — opisać wioskę rybaka, jej życie, całą jej historię. Ale autor zaczął swoim systemem eliminować wszystko, co zbędne, wszystko, co nie przyczyniało się do poinformowania czytelnika o tej przygodzie i tym przeżyciu i co nie czyniło tego opowiadania dla czytającego przekonywającym. Bo o to zawsze chodzi Hemingwayowi w pierwszym rzędzie: chodzi mu, by czytelnik naprawdę uwierzył w to, co czyta. „To jest bardzo trudne — mówi — i musiałem bardzo praco-

wać... Moim szczęściem było to, że miałem pod ręką poczciwego człowieka i poczciwego chłopca i że dotąd pisarze nie spostrzegli się, że takie rzeczy istnieją. Poza tym ocean pozwala ukazać człowieka takim, jakim jest. Miałem szczęście. Znalem rzecz do głębi i o niej mówiłem".

Jednak reporter chciał wiedzieć więcej — więcej, niż częstokroć wie pisarz. Jaki jest ukryty sens dzieła Hemingwaya, jaka jest tego dzieła „wielka metafora"? Zapytał więc: „Czy zgodzi się pan na to, że w pańskich powieściach tkwi pewien symbolizm?" „Przypuśćmy, że zawierają one symbole — odpowiedział pisarz — skoro krytycy je odnajdują. Ale niech pan pozwoli sobie powiedzieć, że nie lubię o nich mówić. Także nie lubię, by mnie o nie wypytywano. Już bez tego jest dość trudno pisać powieści i opowiadania, cóż dopiero je tłumaczyć! Zresztą to byłoby z krzywdą egzegetów. Ponieważ pół tuzina zawodowych tłumaczycieli podejmuje się tego, po cóż mieszałbym się w to? Czytajcie, co piszę, dla przyjemności czytania. Wszystko, co w mych książkach znajdziecie poza tym, to będzie to, coście sami w nie wnieśli...

W ‚Starym człowieku' starałem się po prostu opisać chłopca, starca i rekina. A jeśli ich opisałem dosyć dobrze, mogą oznaczać wiele rzeczy. Rzeczą prawdziwie trudną jest zrobić coś rzeczywiście prawdziwego, czasami bardziej prawdziwego niż prawda".

Pytany o ideologię, o to, co uważa za sprawiedliwe, i o to, czy pisarz powinien o tym, co sprawiedliwe, rozstrzygać, odpowiada Hemingawy, że nie posiada on daru uogólnień (tu parę uszczypliwych słów pod adresem Grahama Greene'a), że nie posiada daru wypowiadania myśli i zapatrywań generalnych, ale niemniej uważa, że pisarz, który nie miałby wyczucia, co jest sprawiedliwe — lepiej by zrobił pisząc almanachy i słowniki niż powieści. Każdy pisarz ma swoje sumienie i to mu dyktuje, czy i po jakiej stronie ma się politycznie angażować, czy i w jakim stopniu w rozgrywki polityczne i ideologiczne świata włączać. Jednak za rzecz właściwą pisarzowi, wielkiemu pisarzowi — bo tylko tacy zdają się Hemingwaya interesować — uważa... nos. „Nos niezawodny, który by od razu pozwalał wyczuć g... Ten nos to radar pisarza i wszyscy wielcy pisarze posiadają go".

Jeżeli zaś chodzi o najgłębszą pobudkę pisania — do czego Georges Plimpton niestrudzenie w swych pytaniach wraca — to Hemingway uważa, że jest nią chęć wyrwania przemijaniu rzeczy widzianych i poznanych. Pisarz patrzy dookoła siebie i zaczyna pragnąć, by wszystko, co widzi i poznaje, stało się nieśmiertelne. Nieraz mu się to zresztą udaje. „I dlatego właśnie się pisze, nie dla żadnych innych powodów, o których pan może myśleć. Ale cóż można powiedzieć o wszystkich przyczynach i pobudkach pisania? Nie zna ich nikt". Tymi słowy, zamykającymi wieko szkatuły swej samowiedzy autorskiej, kończy Ernest Hemingway swój wywiad.

ZSM

NA MARGINESIE DYSKUSJI O DOWODZIE KINETYCZNYM

Druga część studiów ks. Kazimierza Kłósaka poświęconych dowodzeniu istnienia Boga („W poszukiwaniu pierwszej przyczyny", Warszawa 1957, Pax) przyniosła m. in. wznowienie polemiki na temat tzw. argumentu kinetycznego, która przed paru laty toczyła się na łamach katolickich czasopism. Wśród kręgów zainteresowanych problematyką filozoficzno-światopoglądową dyskusja wywołała wyjątkowo głęboki i żywy oddźwięk — zapewne dzięki temu, że przedmiot jej pozostaje w bezpośrednim związku z centralnymi problemami filozoficznymi i światopoglądowymi, jak również dzięki pasji, z jaką była prowadzona.

W toku polemiki podniesiona została sprawa przynależności dowodów istnienia Boga (z dowodem kinetycznym włącznie) do metafizyki. W notatkach niniejszych chodzi o zwrócenie uwagi na fakt, że we wspomnianej sprawie, po fazie początkowych rozbieżności, polemiści zajęli stanowiska bardzo do siebie zbliżone. Pociągnęło to za sobą równoczesną korektę w zapatrywaniach ks. Kłósaka na wartość argumentacyjną dowodu z ruchu.

*

Dyskusję spowodował artykuł ks. K. Kłósaka „Kinetyczny dowód istnienia Boga wobec nowych zarzutów", „Znak" Nr 19 (1949) s. 392—402. W artykule tym, po przytoczeniu szeregu danych z zakresu współczesnej fizyki, ks. Kłósak pisał: „zakładając znajomość tych i wielu jeszcze innych danych o dynamicznym charakterze wszystkich bytów fizycznych, chciałbym tylko podkreślić, iż sięganie do nadświatowego pierwszego motoru nieruchomego straciło dziś dawny swój sens" (s. 397). Opowiadając się za negatywną oceną dowodu kinetycznego twierdził ks. Kłósak, że dowód ten „wobec osiągnięć współczesnej fizyki eksperymentalnej stracił swą łączność z rzeczywistością fizyczną i wskutek tego nie może już dziś przekonać nikogo, kto jest obeznany z najnowszą fizyką... Jest prawdą, że dla wytłumaczenia ruchu materii nie potrzebujemy uciekać się do Boga jako pierwszego motoru. Motyw takiego motoru był motywem zbędnej ingerencji nadzwyczajnej Boga" (j. w.). Dodać trzeba, że tłumacząc ruch materii działaniem jej własnych sił, ks. Kłósak równocześnie stwierdzał, iż „istnienie materii... stanie się dla nas zrozumiałe dopiero wówczas, gdy założymy istnienie Boga stwórcy" (tamże) oraz podkreślał, że „nie możemy... przyjmować wieczności materii wraz ze wszystkimi jej ruchami, bo taka koncepcja jest nie do przyjęcia dla logicznie myślącego umysłu" (s. 401). Mimo te sprecyzowania pozostało faktem, że ks. Kłósak zakwestionował sensowność pierwszej drogi św. Tomasza powołując się na dane fizyki.

W polemice ze stanowiskiem ks. Kłósaka wzięli m. in. udział ks. Wi-

told Pietkun oraz o. Albert Krąpiec.

W artykule „Dowód kinetyczny wobec teorii kwantów" („Ateneum Kapłańskie" t. 52 (1950) s. 185—197) ks. Pietkun zauważył, że „...w wypowiedziach ks. Kłósaka przejawia się przecenianie argumentacji na płaszczyźnie fizykalnej w porównaniu z argumentacją ściśle metafizyczną", podczas gdy w zagadnieniu istnienia Boga „właściwa argumentacja znajduje się na płaszczyźnie metafizycznej" i opiera się „o zasadę przyczynowości w znaczeniu ontologicznym" (s. 186—187). Analizując w dalszym ciągu swych wywodów zjawisko ruchu, jako przejście z możności do aktu, ks. Pietkun wyraził przekonanie, że dowód kinetyczny związany z takim właśnie rozumieniem ruchu „jest dowodem poprawnym" i umożliwia naukowe stwierdzenie istnienia Pierwszej Przyczyny (s. 189).

Podobne myśli — z mocniejszymi jeszcze akcentami — znalazły się w artykułach o. Krąpca: „Raz jeszcze o kinetycznym dowodzie istnienia Boga" („Znak" Nr 25 (1950) s. 281—296) oraz „O poprawne rozumienie kinetycznego dowodu na istnienie Boga u św. Tomasza" („Polonia Sacra" 2—4 (1953—54) s. 97—114). W obu tych artykułach zostało wykazane, że podstawowe pojęcia występujące w dowodzie kinetycznym, zwłaszcza zaś pojęcie ruchu, związane z koncepcją metafizyczną bytu, należy interpretować w sposób filozoficzny. Wobec tego ocena omawianego dowodu z pozycji pozafilozoficznych jest wręcz chybiona. W toku swych rozważań o. Krąpiec podkreślił, że „zagadnienie poznawalności istnienia Boga jest ściśle filozoficzne, dlatego też w opracowaniu tego zagadnienia trzeba posługiwać się metodą ściśle filozoficzną, właściwą tylko filozofii w jej naczelnej dyscyplinie-metafizyce" („O poprawne rozumienie..." s. 98; por. s. 100).

Do problemu „pierwszej drogi" św. Tomasza wrócił ks. Kłósak w rozprawie „Pierwszy argument kinetyczny na istnienie Boga" („Polonia Sacra" 2 (1952) s. 89—132). W rozważaniach swych na temat zasady ruchu, występującej w dowodzie kinetycznym[1], doszedł ks. Kłósak do wniosku, że zasada ta „jest zasadą wyłącznie metafizyczną, której fizyk przy pomocy swoich danych nie jest w stanie obalić" (s. 130—131). Przy okazji tej wypowiedzi również wyjaśnił, że pisząc artykuł „Kinetyczny dowód..." („Znak" Nr 19), nie uświadamiał sobie transcendentności zasady ruchu w stosunku do danych fizyki. Następnie zaś dodał, że nie może już podtrzymywać twierdzenia wypowiedzianego w artykule z 19 nr „Znaku", iż fizyka eksperymentalna zdołała wskazać takie wypadki akcji ruchowej, do których nie można zastosować dowodzenia zasady ruchu, opartego na metafizycznych pojęciach możności i aktu („Pierwszy argument..." s. 131; por. s. 102).

Te same sprostowania — świadczące wymownie o rzetelności naukowej, z jaką prowadzona jest dyskusja — zamieścił ks. Kłósak w swej

[1] Chodzi o zasadę: *omne quod movetur, ab alio movetur* (wszystko, co się porusza, jest wprowadzane w ruch przez inny byt).

najnowszej, wspomnianej wyżej pracy „W poszukiwaniu pierwszej przyczyny" cz. II, s. 254 (por. 226). We wstępie do tej pracy rozważa on niektóre — także dotąd nie publikowane — wypowiedzi swoich oponentów, zauważając, że dyskusja nad argumentem kinetycznym trwa nadal (s. 25 n.). Na dalsze więc głosy czekamy, żywiąc nadzieję, że będą równie interesujące jak dotychczasowe. W tej chwili podkreślić trzeba, że to, co w minionym etapie dyskusji stwierdzono na temat metafizycznego charakteru dowodu z ruchu, a przy okazji w ogóle na temat dowodzenia istnienia Boga, jako problemu z zakresu metafizyki — jest czymś decydującym zarówno dla dalszego ciągu polemiki nad tym dowodem, jak i dla krytycznej analizy innych zagadnień z dziedziny czysto rozumowej nauki o Bogu.

Ks. Bohdan Bejze

O POPRAWNE UJMOWANIE DOWODÓW ISTNIENIA BOGA

W rozprawce Bertranda Russella „Dlaczego nie jestem chrześcijaninem" (Warszawa 1956, Biblioteczka „Po prostu") znajduje się — wśród uwag krytycznych skierowanych przeciw dowodom istnienia Boga — następująca wypowiedź:

„Kościół utrzymuje, że wszystko, co widzimy na tym świecie, ma jakąś przyczynę, i że posuwając się coraz dalej wzdłuż tego łańcucha przyczyn, musimy dojść do pierwszej przyczyny, która otrzymuje nazwę „Boga".

Skłonny jestem przypuszczać, że ten argument nie ma dzisiaj wielkiej wagi, przede wszystkim dlatego, że pojęcie przyczyny nie jest już tym, czym było dawniej. Filozofowie i uczeni pogłębili to pojęcie, które w następstwie zatraciło swą dawną żywotność; ale niezależnie od tego łatwo zauważyć, że argument głoszący konieczność pierwszej przyczyny nie może posiadać żadnej wartości.

W młodych latach gdy rozmyślałem bardzo poważnie nad tymi zagadnieniami, godziłem się przez długi czas na argument pierwszej przyczyny, ale pewnego dnia, mając osiemnaście lat, przeczytałem „Autobiografię" Johna Stuarta Milla i znalazłem tam następujące zdania:

Ojciec mój pouczył mnie, że na pytanie: Kto mnie stworzył? — nie można dać odpowiedzi, gdyż bezpośrednio potem wyłania się nowe pytanie: Kto stworzył boga? To proste zdanie wykazało mi zwodniczość argumentu pierwszej przyczyny. Jeśli wszystko musi mieć przyczynę, to bóg musi mieć ją również. Jeśli może być coś bez przyczyny, może to być równie dobrze świat, jak bóg, tak, że argument ten

jest zupełnie bezwartościowy. Jest on równoznaczny z poglądem indyjskim, według którego świat spoczywa na słoniu, a słoń na żółwiu; gdy zaś pytano: A żółw? — Hindus odpowiedział: Może byśmy tak zmienili temat rozmowy?

Argument pierwszej przyczyny nie jest w gruncie niczym lepszym".

Przytoczony fragment jest charakterystyczny dla całej książeczki Russella, zarówno jeśli idzie o wartość treściową, jak i o specyficzny ton zawartych w niej wywodów. Co jednak ważniejsze, znajdują się w nim nieporozumienia, dotyczące tych aspektów argumentacji na istnienie Boga, które decydują o jej poprawności. A są to równocześnie takie nieporozumienia, jakie obarczają dziś poglądy wielu osób borykających się z trudnościami wobec problemu istnienia Boga. Dlatego też warto zanalizować bliżej cytowany tekst.

*

Nieporozumienia, którym uległ Russell, są kolejno biorąc — następujące:

1. Na początku przytoczonego wyżej wyjątku czytamy: „Kościół utrzymuje, że wszystko, co widzimy..." itd. — Słowa te są typowym przykładem pomieszania pojęć. Kościół w przysiędze antymodernistycznej domaga się od swych wiernych uznania, że istnienie Boga może być dowiedzione (*Denzinger*, 2145); prawda zaś, ujęta ogólnie, że Boga można poznać w sposób pewny *per ea quae facta sunt*, uzyskała na soborze watykańskim rangę dogmatu (*Denzinger*, 1785; 1808). Jednakże opracowywanie czy choćby tylko formułowanie metafizycznych argumentów istnienia Boga (do których należy dowód z przyczynowości), jak również innych twierdzeń z dziedziny czysto rozumowej nauki o Bogu, nie wchodzi w zakres funkcji Kościoła ani *de iure*, ani *de facto*. Zajmują się tym m. in. ludzie, którzy skądinąd należą do społeczności Kościoła, ale nie uprawiają oni filozofii w imieniu Kościoła ani też nie uprawiają jej dlatego, że są katolikami czy chrześcijaninami — lecz po prostu jako filozofowie.

Nie znaczy to oczywiście, by żywe zainteresowanie, jakie Kościół okazuje dla filozofii, oraz oficjalne orzeczenia o wartości różnych systemów, koncepcji i dzieł filozoficznych, wydawane przez urzędowe czynniki kościelne — nie miały uzasadnienia. Między filozofią a nauką wiary i moralności, zaczerpniętą z objawienia i wykładaną przez Kościół a metodycznie ujętą w system teologiczny, zachodzą bliskie powiązania. [1] One to tłumaczą fakt, że Kościół przykłada tak wielką

[1] Filozofia uzasadnia m. in. takie tezy oraz wyjaśnia takie pojęcia, które wchodzą do wstępnego stadium nauki teologii (np. tezy o istnieniu Boga i duszy, pojęcia bytu, substancji, osoby itd.) — W literaturze filozoficznej z ostatnich lat pisze na ten temat ks. Piotr Chojnacki, *Podstawy filozofii chrześcijańskiej*, Warszawa 1955, Pax, s. 22—24.

wagę do filozofii, iż pewne doktryny, czy kierunki filozoficzne potępia (jako błędne), inne zaś wyróżnia i poleca studiować w kościelnych zakładach naukowych.[2]

Jest rzeczą również zrozumiałą, że przynależność konkretnych filozofów do Kościoła — oczywiście przynależność żywa, oparta na konsekwentnej wierze — wywiera wpływ na sposób uprawiania filozofii. Mówi się w tym wypadku o chrześcijańskiej postawie w filozofowaniu, albo o chrześcijańskim sposobie filozofowania (a najczęściej wprost o tzw. filozofii chrześcijańskiej), który wyznaczony jest ideą niesprzeczności między wiedzą a wiarą.[3]

Niemniej, uwzględniając wszystkie związki filozofii z teologią oraz wpływ wiary na uprawianie filozofii, stwierdzić trzeba, że filozofia, także w tej części która zajmnuje się zagadnieniem Boga, jest nauką autonomiczną (posiada własny przedmiot, metodę i zasady), niezależną od objawienia, którego wykład należy do nauczycielskiego urzędu Kościoła.[4] Kiedy więc Russell, przedstawiając dowód z przyczynowości powołuje się na Kościół — popełnia rażącą nieścisłość. Niestety, nie jest pozbawiona podstaw obawa, że tego rodzaju ujęcie może u wielu czytelników broszurki Russella wywołać fałszywe przeświadczenie, iż argument oparty na fakcie przyczynowości należy do dziedziny wiary.

2. Drugim z kolei nieporozumieniem w zacytowanym powyżej fragmencie jest mniemanie Russella, że w rezultacie dociekań filozofów i uczonych pojęcie przyczyny „zatraciło swą dawną żywotność", co spowodowało równoczesne osłabienie argumentu z przyczynowości. Wypowiedź ta jest sformułowana w sposób bardzo ogólnikowy. Ci czytelnicy rozprawki Russella, którzy solidaryzują się z jego opinią, jakoby dowodzenie istnienia Boga oparte na prawie przyczynowości zostało zachwiane przez naukowe badania tego prawa — mają najczęściej na uwadze przyczynowość w rozumieniu przyrodniczym. Trafnego wyjaśnienia tej kwestii dostarczają następujące uwagi ks. Chojnackiego:

„Dowód z przyczynowości nie ulega osłabieniu z powodu kryzysu, jaki pojęcie przyczynowości przechodzi. Przyczynowość w znaczeniu

---

[2] O wpływie, jaki wywarli papieże (zwłaszcza zaś Leon XIII przez encyklikę *Aeterni Patris* z 4. 8. 1879 r.) na odrodzenie i rozwój filozofii tomistycznej, pisze m. in. ks. Piotr Oborski, *Neoscholastyka w swojej genezie, teorii i praktyce*, Poznań 1947, T-wo Wyd. „Kultura", s. 3 nn.

[3] Filozof chrześcijański uznaje w tezach wiary czynnik regulujący (tzw. normę negatywną). Tezy te wpływają na rozumowanie filozofów w tym sensie, że negują to, co znajduje się w sprzeczności z nimi, same jednak nie wchodzą w skład zasad i twierdzeń filozoficznych. Por. ks. Chojnacki, *Podstawy*... s. 23—36.

[4] Por. m. in. ks. Chojnacki, *Podstawy*... j. w. oraz s. 15—18; ks. P. Oborski, *Neoscholastyka*... s. 23—28; St. Swieżawski, *Byt*, Lublin 1948, KUL, s. 343 nn.

metafizycznym jako zależność w istnieniu jednego bytu od drugiego, utrzymuje się niezachwianie, aczkolwiek powstają różne teorie o fizykalnej przyczynowości. Teorie te bowiem zatrzymują się na przestrzenno-czasowych zjawiskach przyczynowych, nie wchodząc w istotę związku przyczynowego. Przedmiotem formalnym dla metafizyka w zagadnieniu przyczynowości jest istota związku przyczynowego, tzn. zależność w bytowaniu; przejawy czasowo-przestrzenne tego związku stanowią dla niego drugorzędną sprawę, aczkolwiek dla badacza przyrodnika stanowią sprawę zasadniczą".[5]

Inaczej mówiąc, nie należy mieszać ze sobą dwu różnych koncepcji przyczynowości: przyrodniczej i metafizycznej. Zasadę metafizyczną przyczynowości wyrazić można w formule: byt, którego istnienie jest przygodne (a więc który nie musi istnieć) — posiada różną od siebie przyczynę swego istnienia. Omawiany argument opiera się na przyczynowości ujętej w takiej właśnie zasadzie. Stąd też znajduje się on całkowicie poza problematyką przyczynowości rozumianej nie metafizycznie.

3. Wreszcie nieporozumienie trzecie — najpoważniejsze. Cały dowód oparty na przyczynowości zbija Russell cytatem z „Autobiografii" J. St. Milla: „...na pytanie: Kto mnie stworzył? — nie można dać odpowiedzi, gdyż bezpośrednio potem wyłania się nowe pytanie: Kto stworzył boga?... Jeśli wszystko musi mieć przyczynę, to bóg musi mieć ją również".

Przytoczone zdania zawierają kardynalny błąd. Zasada bowiem przyczynowości, występująca w omawianym dowodzie, nie dotyczy bytów absolutnie wszystkich (nieuzasadnione jest więc wnioskowanie: „jeśli wszystko musi mieć przyczynę, to..." itd.). Sam Russell przyznał w słowach zacytowanych na początku niniejszych rozważań, że punktem wyjścia dowodu z przyczynowości jest stwierdzenie, iż „wszystko, co widzimy na tym świecie, ma jakąś przyczynę". A więc bierze się pod uwagę nie wszystkie byty, lecz tylko przygodne. Tylko do nich stosuje się zasada przyczynowości — właśnie ze względu na ich przygodność.

Do wszystkich zresztą tzw. pierwszych zasad metafizycznych, będących prawami bytu, dochodzi się poprzez obserwację i intelektualną analizę rzeczywistości poznawalnej zmysłowo. Metafizyczne zaś argumenty na istnienie Boga z dowodem z przyczynowości na czele są pewnymi sposobami („drogami") racjonalnego tłumaczenia faktu, że zmysłowo uchwytne rzeczy, wypełniające świat, rzeczy nie istniejące ze swej natury — istnieją. Ostateczną przyczyną tego istnienia może być, wedle argumentacji metafizycznej, jedynie Byt, któremu istnienie przysługuje z istoty.

[5] *Podstawy*... s. 97 nn.; por. s. 73.

Poprawnie więc rozumiana metafizyczna zasada przyczynowości nie wiedzie do pytania: kto stworzył Boga? — jak to za Millem utrzymuje Russell. Pytanie to zaś postawione u kresu dowodzenia opartego na przyczynowości byłoby pytaniem wręcz absurdalnym. Stwierdzenie bowiem — w rezultacie metafizycznej analizy bytów uprzyczynowanych — istnienia Boga, jest niczym innym, jak stwierdzeniem istnienia bytu nieuprzyczynowanego, a więc z natury nie stworzonego. Bo tylko taki Byt tłumaczy ostatecznie istnienie wszystkiego, co nas otacza. A jakże pod adresem tego Bytu można by pytać z sensem: kto Go stworzył? [6]

*

Przed każdym, kto zajmuje się dowodami istnienia Boga, staje problem ich pewności. Rozróżnia się dwa rodzaje pewności: logiczną i psychologiczną. Logicznie pewne jest każde twierdzenie, które jest oczywiste bezpośrednio, bądź też jest wnioskiem z poprawnego dowodu. Pewność psychologiczna to taki stan psychiczny, w którym wykluczone są poważne wahania na dany temat. Doświadczenie uczy, że obydwa rodzaje pewności nie zawsze idą w parze: można mieć pewność psychiczną bez dostatecznych argumentów i można znać poprawny dowód a nie mieć pewności psychicznej. Normalnie jednak źródłem pewności psychicznej bywają logicznie pewne twierdzenia. [7] Dlatego zadaniem nauczającego jest takie przedstawienie dowodów istnienia Boga, by nie budziły zastrzeżeń co do swej wartości argumentacyjnej.

W rozumieniu Russella dowodowi z przyczynowości brakuje tej właśnie wartości; innymi słowy, konkluzja jego nie jest tezą pewną logicznie.

---

[6] W świetle powyższej analizy okazuje się, że wysoce nietrafne jest zestawienie dowodu na istnienie Pierwszej Przyczyny z hinduskim mitem o żółwiu, który podtrzymuje słonia i świat. Sensowne jest pytanie: na czym spoczywa żółw. Ale nie można bez narażania się na konflikt z prawem sprzeczności stawiać problemu uprzyczynowania Pierwszej Przyczyny, nazywamy ją bowiem Pierwszą, stwierdzając jej istnienie jako bytu właśnie nieuprzyczynowanego.

Warto na tym miejscu odnotować, że broszurka Russella budzi ogromne zdumienie, gdy czyta się ją ze świadomością, że Russell należy do poważnych uczonych. Kompromitujący poziom jego wypowiedzi zarówno na tematy teologiczne, jak i filozoficzno-metafizyczne, tłumaczy chyba ta okoliczność, że na teologii Russell po prostu się nie zna, jako filozof zaś należy do kierunku obcego zupełnie metafizyce (filozofii bytu).

[7] Różni ludzie, zależnie od postawy psychicznej, dochodzą do Boga rozmaitymi drogami. Dla niektórych większą skuteczność od pięciu dowodów św. Tomasza, zwanych ogólnie dowodami kosmologicznymi, posiadają argumenty psychologiczne, historyczne i i. — Argumenty te omawia szczegółowo ks. Franciszek Kwiatkowski, *Filozofia wieczysta w zarysie*, t. III., Kraków 1947, Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy, s. 42 nn.

Jak wyżej wspomniano, argument oparty na fakcie przyczynowości jest jednym z argumentów metafizycznych, zwanych za św. Tomaszem pięcioma drogami. Wydaje się więc rzeczą nieodzowną, by w wykładzie tomistycznych „dróg" omawiać, choćby w sposób bardzo zwięzły, następujące sprawy:

1. Pojęcie filozofii, a zwłaszcza pojęcie metafizyki jako podstawowej dyscypliny filozoficznej badającej rzeczywistość od strony jej najgłębszej struktury i w świetle pierwszych zasad bytu i myśli. [8] System tak rozumianej metafizyki (a w nim i metafizyczne dowody istnienia Boga) jest autonomiczny zarówno wobec teologii, jak i wszelkich innych nauk niefilozoficznych. [9]

2. Realistyczny charakter dowodów istnienia Boga. Wspólnym punktem wyjścia dla wszystkich metafizycznych dowodów jest stwierdzenie, że rzeczy, które nas otaczają, jak również i byty ludzkie — nie istnieją mocą swej natury, że istnienie nie jest koniecznie związane z ich istotami. Co o tym świadczy? Najgłębsza struktura tych rzeczy, istota bowiem i istnienie stanowią w nich elementy realnie różne, jakkolwiek w konkretnym bycie nierozdzielne. [10] Po wtóre świadczą o tym takie zjawiska uchwytne empirycznie, jak ruch (pojęty jako przechodzenie od stanu mniej — do bardziej doskonałego), zależność przyczynowa w istnieniu, przygodność istnienia (byty powstają i giną), ustopniowanie bytów pod względem doskonałości oraz celowe działanie bytów, które nie mają świadomości swego celu. Analiza tych zjawisk znajduje się właśnie u podstaw poszczególnych „dróg" [11] wiodących do ostatecznego wytłumaczenia rzeczywistości.

A jaki jest kres omawianych dowodów? Racjonalne tłumaczenie świata, który nie istnieje sam ze siebie, a więc którego istnienie jest spowodowane, domaga się uznania, że istnieje Byt konieczny, istniejący ze swej istoty, który powołał do istnienia wszystko, co jest od niego różne. Teza więc o istnieniu Boga, występująca u kresu dowodów metafizycznych, uzasadniona jest (a więc jest pewna logicznie) przez

---

[8] Na temat metafizyki tomistycznej piszą w sposób rzeczowy, syntetyczny, a zarazem przystępny: o. Albert Krąpiec, *Tajemnica i absurd w ostatecznym tłumaczeniu świata*, „Tygodnik Powszechny" Nr 418; *Metafizyka?* „Tygodnik Powszechny" Nr 427; *Egzystencjalizm tomistyczny*, „Znak" Nr 28; Stefan Swieżawski, *O niektórych przyczynach niepowodzeń tomizmu*, „Znak" Nr 41; o. Innocenty Bocheński, *ABC tomizmu*, „Znak" Nry: 23 i 25.

[9] Dodajmy tu, że metafizyk powinien znać wyniki badań nauk przyrodniczych i wykorzystywać je w filozoficznej interpretacji świata. Musi jednak przełożyć je na język filozoficzny, nie może zaś pojęć, czy twierdzeń np. fizykalnych włączać mechanicznie w system metafizyki, która ma własną aparaturę pojęciową, własny przedmiot, zasady i metodę.

[10] Por. o. A. Krąpiec, *Tajemnica i absurd*...

[11] Por. m. in. ks. Kwiatkowski, *Filozofia wieczysta*, t. III, s. 28 nn.

analizę bytów realnych rozpatrywanych w świetle zasady racji dostatecznej; stanowi przeto stwierdzenie bytu również realnego.

Wyjaśnienie powyższych problemów, zaznaczonych tutaj w najogólniejszych zarysach, nastręczać może sporo trudności, zwłaszcza że o dowodzeniu istnienia Boga mówi się młodzieży w szkołach średnich tylko we wstępie do dogmatyki. Mała jest jednak nadzieja, by bez tych wyjaśnień dowody pomogły młodzieży uzyskać trwałą pewność psychologiczną odnośnie do prawdy o istnieniu Boga i zapobiec nieporozumieniom, którym uległ Russell i którym ulegają inni.

Do wysiłku w nauczaniu argumentów metafizycznych zachęca świadomość faktu, że ich konkluzja harmonizuje w pełni z określeniem, jakie sam Bóg przekazał nam o sobie: jest Tym, który jest (*Ex.* 3, 13).

Ks. Bohdan Bejze

SPRAWY RODZINY

Konferencja Międzynarodowych Organizacji Katolickich (*Conférence des O. I. C*) powołała Komisję dla spraw rodziny i wychowania w rodzinie (*Commission Famille-Enfance*), której zadaniem jest: zapoznawać się z ważniejszymi zagadnieniami rodzinnymi na całym świecie, informować o ruchu rodzinnym i o ośrodkach przygotowywania i poradnictwa małżeńskiego w różnych krajach, wreszcie inicjować studia naukowe nad zagadnieniami rodzinnymi z katolickiego punktu widzenia.

W programie prac na rok 1958 Komisja stawia sobie m. in. takie zadania:

— zebranie danych o najświeższych publikacjach katolickich na tematy małżeństwa i rodziny,

— nawiązanie kontaktu z katolikami całego świata, którzy interesują się i walczą o sprawy rodziny,

— doprowadzenie do ścisłej współpracy ekspertów-katolików dla przemyślenia najlepszych metod zgodnej z naturą regulacji urodzin,

— zorganizowanie w ostatnich dniach czerwca trzydniowego studium w Rzymie na temat *przygotowania do małżeństwa.*

Przewodniczącą Komisji jest Mlle du Rostu, która pełni równocześnie funkcję przewodniczącej światowej Unii Katolickich Organizacji Kobiecych.

Adres Komisji: Commission Famille-Enfance 86, rue de Gergovie, Paris XIVe.

lub: Centre International de Formation religieuse, 184 rue Washington, Bruxelles, Belgique.

K. P.

PRZEGLĄD KRAJOWEJ PRASY KATOLICKIEJ

Pierwszy tegoroczny numer „Ateneum Kapłańskiego" (1/294, styczeń-luty 1958) poświęcony jest zagadnieniu przygotowania do małżeństwa. Redakcji należy się niewątpliwie uznanie za postawienie tego problemu, tak niezwykle ważnego nie tylko z punktu widzenia moralności katolickiej i chrześcijańskiego życia, ale życia społecznego i moralnego w ogóle. Jak niewątpliwie jedną z istotnych przyczyn współczesnego kryzysu życia społecznego jest kryzys rodziny, tak z kolei ważną przyczyną kryzysu rodziny jest brak przygotowania czy — powiedzmy wprost — wychowania do życia małżeńskiego. Wyraża się to w skutkach niewłaściwym częstokroć stosunkiem do małżeństwa, nieumiejętnością budowania szczęścia swego i swych bliskich, zupełną wreszcie nieumiejętnością rozwiązywania konfliktów i trudności życia rodzinnego. Przygotowanie do małżeństwa nie tylko — praktycznie rzecz biorąc — w Polsce niemal nie istnieje, ale w ogóle problemu tego się niemal zupełnie nie stawia, jakkolwiek powinien on interesować wszystkie instytucje i społeczności zajmujące się przygotowaniem młodzieży do życia. Oczywiście materiały zawarte w „Ateneum" nie wyczerpują problemu i podchodząc do niego przede wszystkim z punktu widzenia duszpasterskiego nawet nie sygnalizują wszystkich jego aspektów (pominięty jest np. istotny problem wpływu ekonomicznych trudności współczesnego życia na kryzys rodziny). Byłoby rzeczą niezwykle celową, aby katolicka i niekatolicka prasa, nie tylko fachowa, lecz również społeczno-kulturalna zajęła się szerzej tymi zagadnieniami.

Świeckiego czytelnika „Ateneum" zapewne najbardziej zainteresują dwa pierwsze artykuły stawiające zagadnienie od strony ogólnej. Są to: ks. A. Majdańskiego: „Problemy moralne współczesnego życia rodzinnego" i ks. K. Wojtyły: „Propedeutyka sakramentu małżeństwa". Ks. A. Majdański, przechodząc od wstępnych rozważań nad aktualną rangą problematyki moralnej w ogóle do problemu życia rodzinnego, pisze: „Prawa moralne życia rodzinnego... porównane z rzeczywistością, jaką winny kierować, dają obraz tych problemów (w języku potocznym nazywanych chętnie „trudnościami"), które charakteryzują kryzys współczesnego życia rodzinnego. Wydaje się, iż wolno je ująć w trzy główne grupy: problem k u l t u r y w s p ó ł ż y c i a w małżeństwie, problem ś w i a d o m e g o r o d z i c i e l s t w a, oraz problem w y c h o w a n i a". W dalszej części artykułu znajdujemy rozwinięcie tych trzech zagadnień, przy czym autor podkreśla (cytując za: J. Leclercq-J. Dawid, *Die Familie*): „Cała historia świadczy o tym, że chrystianizm na polu życia rodzinnego ograniczył się do tego, by przyjętą tradycję ludzkości uszlachetnić i doprowadzić do pełnego rozkwitu. Moralność chrześcijańska jest naprawdę moralnością ludzką".

Ks. Wojtyła, zaczynając od postawienia problemu kryzysu małżeństwa

jako instytucji i sakramentu, pisze m. in.: „Odrodzenie może przyjść tylko przez fakty przeciwne tym wszystkim faktom, które składają się na całokształt kryzysu małżeństwa. ...Chodzi... bowiem nie tyle o zapobieganie złu, jakim jest kryzys instytucji, ale przede wszystkim o wydobycie w całej pełni tego dobra, jakie w małżeństwie może być zrealizowane właśnie dzięki temu, że jest to instytucja sakramentalna. Sakrament Małżeństwa jako źródło łaski winien być trwale wykorzystywany przez ludzi w nim żyjących, przez małżeństwa i rodziny. Całe życie małżeńskie, owszem — całe życie odkupionej ludzkości od strony prokreacji i wychowania trzeba w świetle Objawienia pojmować jako współpracę z łaską Sakramentu Małżeństwa". Nie negując znaczenia faktów natury np. ekonomicznej dla tego kryzysu, najgłębszych jego źródeł autor doszukuje się jednak w błędnej koncepcji człowieka przenikającej współczesną cywilizację: „Dawna filozofia podkreślała to, przez co człowiek jest osobą, nowożytna inklinuje do tego, przez co człowiek przeżywa siebie jako osobowość". W szczegółowej części artykułu autor koncentruje się na trzech zagadnieniach: wychowanie miłości, perspektywy prokreacji i podbudowa nierozerwalności.

Duże zainteresowanie wszystkich wychowawców powinien wzbudzić artykuł ks. Wł. Okońskiego MIC: „Rola czystości młodzieży w przygotowaniu do zadań życia małżeńskiego" oraz recenzja ze świetnej, wydanej w Anglii książki tegoż autora pt. „Wielka tajemnica", książki przeznaczonej dla chłopców i ujmującej zagadnienie czystości w aspekcie samowychowania. Nawiasem mówiąc, warto zauważyć, że wydanie tej czy analogicznej, ale równie dobrze napisanej książki jest w Polsce potrzebą palącą.

Nr 2 miesięcznika „Więź" (omówiewienie pierwszego numeru tego nowego pisma zamieściliśmy w numerze poprzednim „Znaku") koncentruje znaczną część swych materiałów na zagadnieniu personalizmu i osobie Emmanuela Mounier, nawiązując do 8 rocznicy jego śmierci. T. Mazowiecki w art. „Dlaczego personalizm?" rozważa wartość i perspektywę tego kierunku dla prób przezwyciężania współczesnego kryzysu społecznego. Pisze m. in. „Personalizm nie stanowi recepty pozwalającej w jakiś cudowny sposób usuwać niepokoje, które nas dręczą, i usuwać trudności, które przeżywamy. Tak jak rozumiemy to słowo — nie jest on systemem czy programem urządzeń społeczno-gospodarczych ani się z takim systemem czy programem nie utożsamia. Jest on orientacją filozoficzno-społeczną, która daje „ster" w rękę, kiedy szukamy dróg zaangażowania we współczesną historię". Do zagadnienia personalizmu nawiązuje też „Chrześcijańskie pojęcie osoby" — tłumaczenie fragmentu książki E. Gilsona *Esprit de la philosophie médiévale*. Osobie Mouniera, obok krótkiej noty biograficznej i bibliografii jego prac, poświęcone są rozmowy, w których Jerzy Turowicz i Jan

Strzelecki mówią o swych spotkaniach z Mounierem i jego myślą filozoficzno-społeczną. Warto tu może zacytować fragment opinii Strzeleckiego — jako niekatolika — o znaczeniu Mouniera dla myśli współczesnej: „Znaczenie Mouniera widzę w konsekwencjach, jakie wyciąga on ze zrozumienia głębokich związków między sprawą rozwoju osobowości a układem mechanizmów społecznego życia. Dzięki temu myśl jego towarzyszy nie tyle odcieleśnionej osobowości, która na mocy teologicznego orzeczenia przysługuje każdemu z nas, lecz sięga konkretnych sytuacji, w których kształtuje się żywa osobowość historycznego człowieka. Obrona sprawy osobowości zstępuje przy tym ujęciu z filozoficznego firmamentu, na którym chętnie gromadzą się wszelkie masywne hipokryzje, i schodzi pomiędzy ludzi. Sprawy ducha ulegają wcieleniu — mówiąc zapożyczoną terminologią. To jest, moim zdaniem, ta wspólna płaszczyzna współczesnego humanizmu, ku której prowadzą drogi ludzi o różnych światopoglądowych orientacjach. Znaczenie Mouniera dla myśli katolickiej polega, moim zdaniem, na tym, że tę drogę wytyczał, nie rezygnując przy tym z niczego, co uważał za rzeczywiste bogactwo chrześcijańskiej tradycji. Poza tym – i tu już sięgamy szerzej poza krąg katolickiej myśli — w epoce, którą można by nazwać epoką militaryzacji światopoglądów, otwierał myśl, za którą czuł się odpowiedzialny, na różnorodność ludzkich doświadczeń, napełniał nową treścią sprawę tolerancji, widząc w niej bynajmniej nie objaw dekadencji i upadku jakiejkolwiek wiary, lecz jeden z przejawów międzyludzkiego braterstwa". Rozmowa z A. Urbanowiczową, tłumaczką pierwszego polskiego przekładu „Manifestu personalistycznego" dotyczy interesującej historii wydania tego tłumaczenia w czasie wojny w Warszawie jako druku konspiracyjnego.

Drugą osią numeru są materiały związane z ponurą rocznicą objęcia władzy przez Hitlera w Niemczech (25-lecie). Szczególną uwagę zwraca tu artykuł R. Buchały „Śmierć republiki", mówiący o „glebie intelektualnej", na której wyrósł i rozwinął się ruch narodowo-socjalistyczny. W numerze należy poza tym odnotować kapitalny „Rachunek sumienia chrześcijańskiego myśliciela i naukowca" oraz „Rachunek sumienia działacza" pióra o. L.-J. Lebret OP (inne fragmenty tego cyklu drukował niedawno „Znak"), a także krytyczny artykuł J. Susuła „Wokół «Matki królów»".

J. A. E.

Ze względu na brak miejsca w numerze bieżącym następne odpowiedzi na ankietę oraz dalszy ciąg „Wskazówek bibliograficznych z dziedziny katolickiej literatury religijnej" drukować będziemy w numerze następnym.

Résumé

Depuis octobre 1956 la vie économique en Pologne se conforme de façon beaucoup plus conséquente au jeu des lois économiques. Tout en conservant le régime d'une économie nationale dirigée on abandonne néanmoins le dirigisme administratif qui la caractérisait jusqu'alors. Cela crée le devoir d'un engagement positif et précis dans l'oeuvre de rénovation économique nationale. Les questions de la discipline sociale et d'un meilleur rendement du travail deviennent des problèmes majeurs dans la lutte pour l'existence du pays qu'en l'espace de deux siècles à peine on tenta par de deux fois rayer de la carte de l'Europe comme Etat aussi bien que comme nation. (1795—1945). Ces menées, dûes surtout à la Prusse et à son hégémonie en Allemagne, laissèrent des traces profondes: au point de vue de civilisation et économie la Pologne devint un pays arriéré en comparaison des autres pays européens. Ce retard, le polonais doit aujourd'hui le rattrapper par une intensification du travail.

La condition en est une discipline sociale plus consciente d'elle-même, plus particulièrement en ce qui concerne le rendement du travail; elle doit s'appuyer sur la conscience morale sociale et l'attrait que donne la perspective d'une productivité mênée à bien et non pas sur la crainte des sanctions administratives. Le rendement du travail se marquera à l'échelle nationale par la mobilisation des forces disponibles en même temps que par l'amélioration de la qualité de la production. (Qualités professionnelles, probité, techniques modernes). En ce domaine les réalisations sont multiples pour les années d'après la II-e guerre mondiale: mentionnons un équilibre plus heureux entre l'embauche et la main-d'oeuvre disponibles et les investissements dans l'industrie nationale au point même que le niveau de vie le plus élémentaire en fut menacé. A ces efforts s'interposèrent des facteurs comme de graves interruptions du travail par suite des maladies, un accroissement inconsidéré de postes d'emploi sans rapport avec les besoins réels, un rendement insuffisant du travail et la méconnaissance d'un entrainement

professionnel solide. A part les causes toutes naturelles d'une industrialisation et urbanisation accélérées, une part très grande de responsabilité de cet état de choses doit être attribuée aux fautes graves commises dans la création et la formation des cadres, celle de la jeunesse, de l'ouvrier, du technicien et des dirigeants nouveaux.

Ces faits furent aperçus et pris en considération. On tâche à présent de les éliminer. Le problème est de l'écueil d'un nouveau „dirigisme" administratif et bureaucratique. L'auteur du présent essai est d'avis qu'on y parviendra en montant les salaires des travailleurs qualifiés ce qui serait le point de départ d'une nouvelle redistribution des salaires. Grâce a sa portée très générale, une semblable décision servirait considérablement à l'éducation des masses et, conjointement à l'évaluation du coût de la production, jouerait dans le sens d'une progressive élimination d'emplois „à vide", donnerait des meilleurs résultats dans l'organisation générale du travail et avancerait le progrès technique.

Le développement économique du pays devrait être assuré de façon à ce que l'acroissement des forces disponibles devançat insensiblement, à l'échelle nationale, la disponibilité des postes d'emploi. Ceci assurera une plus grande discipline sociale, une plus grande estime des qualités professionnelles et de la probité du travail de même qu'un empressement plus marqué à accepter le travail dans différents secteurs de l'économie nationale et là où un déficit de travailleurs se faisait jusqu'ici particulièrement sentir. Il faudrait, au surplus, supprimer un acroissement abusif dans le domaine des assurances contre maladies et constituer une sorte de caisse d'épargne et d'assurance sociale en cas de chômage sporadique. Un autre problème c'est celui de la jenuesse qu'en devrait, à la sortie des écoles primaires, former aux différents métiers tout en multipliant simultanément les ateliers de main-d'oeuvre — ces meilleures écoles d'apprentissage professionnel pour l'économie nationale. Et finalement on devrait poser devant la science polonaise un strict devoir de promouvoir le progrès des connaissances scientifiques et techniques au niveau mondial et donner comme tâche aux sciences économiques la formation des dirigeants habiles et expérimentés.

Les techniques modernes de l'exploitation agricole donnent, selon l'auteur, une part prépondérante à l'homme: pour organiser la production il doit élaborer des plans et veiller au maintien de l'équilibre biologique et économique de l'entreprise agricole. Cultivateur, à côté de certaines fonctions mécaniques il

contrôle le procès de la production en découvrant et prévenant ses erreurs. C'est ce qui assimile, en un certain sens, l'agriculture à la production automatisée. L'agronomie d'aujourd'hui et les particularités géographiques et économiques des entreprises agricoles donnent un rôle préponderant aux qualités professionnelles des dirigeants, à l'expérience et à l'attachement au métier de tous les travailleurs ainsi qu'aux traditions qui complètent les connaissances théoriques. Une cause importante de la crise de l'agriculture en Pologne — conclut l'auteur — consiste dans le fait que l'on accorde une attention insuffisante au facteur humain dans l'agriculture. L'auteur met en garde contre les conséquences possibles de cet état de choses.

L'auteur compare les opinions sur le travail ainsi que les lois et les moeurs qui s'ensuivent chez les juïfs et les païens avant le christianisme. Ensuite il démontre l'apport du christianisme des premiers siècles dans ce domaine.

Les opinions du paganisme de l'antiquité se manifestaient dans l'antinomie du travail intellectuel et physique et le mépris pour ce dernier. Ces idées correspondaient avec le système social, dans lequel il ne convenait pas aux classes supérieures privilegiées de travailler pour gagner son pain. Au contraire, ce sont les classes inférieures et les esclaves qui furent chargés d'un travail accablant pour la production des biens matériels.

Dans l'histoire d'Israël biblique on peut observer les influences païennes aux prises avec les verités fondamentales de la Révélation, qui soulignent la nécéssité, l'importance et la dignité du travail. Ces vérités ont changé d'une manière essentielle les idées et les moeurs païennes, exigeant le respect pour toute sorte du travail et entre autres améliorant considérablement le sort des esclaves.

Une réhabilitation entière du travail manuel s'est effectuée seulement dans le christianisme qui créa une conception du travail compris comme un service rendu au prochain pour l'amour de Dieu. Dès lors on accentue très fortement que le travail c'est notre devoir. Les Pères de l'Eglise, surtout St. Augustin, attachent une grande importance au rôle éducateur du travail, ordonnant et recommandant le travail manuel pour tous, y compris les prêtres et les moines.

L'auteur examine les idées principales de l'oeuvre de Daniel Bell *Work and its Discontents* (Beacon

Press, Boston USA, 1956) traduit en polonais et publié par Instytut Literacki à Paris en 1957. Ce livre nous démontre que les efforts des organisateurs de l'industrie pour rationaliser le travail et le rendre productif ont contribué à révéler des facteurs psychologiques et sociologiques importants concernant les problèmes du travail et les relations sociales dans l'entreprise. Le conflit entre l'exigence du rendement du travail et son importance pour l'épanouissement de la personne humaine sera — peut-être — résolu ou attenué par l'automation.

En Amérique la rationalisation depersonnalisée du travail paraît aboutir à un changement dans l'attitude des ouvriers, qui réclament une participation effective dans les revenus ainsi que dans l'administration de l'entreprise.

Les changements économiques et sociaux contemporains et les crises qui en résultent embrassent aussi les pays de l'Europe occidentale pourtant très avancés au point de vue économique. La concentration excessive du capital entre les mains des particuliers devient, dans un certain sens, une dégénération du droit de propriété; elle prouve à nombre d'économistes et de sociologues d'Occident la nécessité des réformes afin de permettre à tous une accession à la propriété, et le besoin de recourir aux stimulants tant économiques que psychologiques pour intéresser d'avantage les travailleurs aux résultats de leur travail. Parmi ce genre de réalisations on peut mentionner les „Partnerschaften". Un accord individuel ou collectif y est passé entre patron et employés. Ces derniers participent aux revenus de l'entreprise sous forme par ex. des prestations sociales plus élevées ou des primes périodiques, on leur fait part des plans de production ou bien ils participent aux dispositions prises par l'établissement. Tout ceci ne supprime pourtant pas la disproportion qui s'est fait jour entre le capital et le travail fourni et c'est pourquoi d'autres encore se sont essayés à la solution du problème. Une très grande activité en ce domaine est déployée depuis quelques années en Autriche par l'„Institut für Sozialpolitik und Sozialreform". L'Institut se base sur la doctrine sociale chrétienne, laquelle reconnait la propriéte privée tant individuelle que sociale et voit dans le travail une condition essentielle au plein épanouissement de la personne humaine. L'Institut s'attache donc à montrer le bien-fondé d'une limitation de la grande propriété au profit de la moyenne et petite propriété de façon à en faire profiter le plus grand nombre possible d'individus. Dans le domaine des réalisations pratiques l'Institut s'intéresse aux multiples problèmes selon leur importance morale et sociale: problèmes des familles

et de la jeunesse, du travail dans l'industrie et à la campagne, de l'assistance sociale etc. L'Institut accorde une attention particulière aux quelques coopératives de travail existant en Autriche et dont l'apport, après quelques années de travail, est assez positif. Malgré quelques réserves qu'on pourrait formuler il faut dire que l'activité déployée par l'Institut est toute à son avantage — particulièrement en ce qui regarde son constant souci des conditions sociales vraiment humanitaires.

L'évolution de la conscience collective des ouvriers de la grande industrie consiste principalement dans un dépérissement progressif de l'ancien type du travailleur, dont le travail, même à l'usine, conservait son caractère d'artisan. Il fut remplacé par un nouveau type d'ouvrier qui exécute seulement quelques simples opérations, servant une machine specialisée et finalement des machines automatiques qui éliminent tout travail manuel. La production industrielle — à partir du moment où on introduisit la mécanisation — est basée de plus en plus sur une organisation scientifique du travail. Le but essentiel de cette organisation consiste dans un partage du travail, qui écarte petit à petit la nécessité d'un emploi du travailleur qualifié. Elle exige en même temps une subordination totale aux méthodes de travail strictement définies. Ainsi les travailleurs qui auparavant formaient un monde isolé se distinguant par une autonomie professionnelle particulière, furent obligés de reconnaître leur dépendance des réalités collectives. Ces réalités collectives sont d'une manière générale plus importantes que les problèmes intérieurs du monde ouvrier. Sous la pression d'une telle situation sociale disparaissent les particularités culturelles des ouvriers: pour défendre leurs lois ils sont obligés d'outrepasser leur propre classe qui par ce fait même rejoint les problèmes sociaux universels. L'évolution de la concience ouvrière consiste avant tout dans la lutte pour des meilleures conditions de vie, une participation juste au revenu national; il s'agit donc en premier lieu de la consommation. Auparavant les ouvriers exigeaient surtout le respect pour leur travail, c'est à dire pour leur part dans la production. Les ouvriers d'aujourd'hui — dans le monde entier — réclament une réorganisation complète de la vie sociale et publique, en s'appuyant sur l'unité d'action de la classe ouvrière.

Chronique.

Ostateczny termin zapisów na I rok studiów roku akad. 1958/59 na KUL (wydziały: nauk humanistycznych, filozoficzny, teologiczny, prawa kanonicznego) mija w dniu 15 czerwca.

Szczegółowych informacji w sprawie zapisów i warunków studiów udzielają kancelarie Wydziałowe (Lublin, Al. Racławickie 14).

TYDZIEŃ K.U.L. 1958 r.

— od 1 do 8 czerwca —

Możesz pomóc

KATOLICKIEMU UNIWERSYTETOWI LUBELSKIEMU modlitwą, ofiarą na tacę w dniu 1. 6. b. r., ofiarą do puszki przed kościołem w dniu 8. 6. b. r., przystąpieniem do Towarzystwa Przyjaciół KUL w swojej parafii.

Konto KUL w PKO nr 2-9-153

TREŚĆ ZESZYTU

ZDARZENIA — KSIĄŻKI — LUDZIE

IN HOC

SIGNO

VINCES